

BIULETYN IPN

nr 11 (20)/2013

pamięć **POL**



1918

Premierzy terroryści

Poligon doświadczalny Holokaustu

Żołnierze Berlinga



Święto Niepodległości:
bitwa na rocznice



Roman Dmowski



Marszałek Józef Piłsudski (1867-1935)

1978

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

Dodatek specjalny:
plakat na święto Niepodległości
oraz broszura

Marszałek Józef Piłsudski (1867-1935)

Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posilkowe dostarczające, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sferderowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwiodowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsułów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywą Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsułów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterech quaestores classis. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsułom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsulatu, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonym eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classis. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiążył szpiera, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szpierzów, które pełnił nauarchus metaleum, dla lepszej ochrony podbrzusza; helm typu beockiego na jego pokładzie znajdowały się mniejsza lub większa liczba żalagii. W jej skład wchodziła kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednio tempo wiosłowaniu. Oficerowie pokładowych, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przeprawy przez Kartaginę-czyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sternika, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczką wiosłarską), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wyprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszar wypełnionych jadowymi węzami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późniejszej republiki oraz przynajmniej classarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety”) i przyciężone do niego pteruges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; helm typu beockiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napolicznymi wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione wzorami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabański przyszykły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do żalg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich żalg wchodził: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Mauroowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Mauroowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowali się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy luczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim lucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: helm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, luk refleksyjny, którego ciężką napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakria) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli lucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od proczary. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wyp Balaerskich, chociaż znani i cenieni byli także proczarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociśki, tunika, helm i krótki miecz bądź pugnial. Jako proczarz służył też zwykły Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym zryku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewer – periplus), zdruzgotania ich wiosel kadłubem (dieklplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpywały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wypłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Ataki taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepywały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do osmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczyonemu przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny

www.histmag.org

FOTOGRAF
Z AUSCHWITZ

Jestem pod dużym wrażeniem lektury książki **FOTOGRAF Z AUSCHWITZ**. Nie jest to praca naukowa ani też sensu stricte pamiętnik, ale wnosi bardzo dużo do wiedzy dzisiejszych zwyczajnych ludzi nie tylko o obozie, lecz i o systemie, który takie obozy stworzył."

Władysław Bartoszewski
b. więzień Auschwitz I
Nr 4427

www.fotografzauschwitz.pl

3 AKTUALNOŚCI IPN**4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Krzysztof Gottesman, **Jana Pawła Marchlewskiego****STOPKŁATKA****9** Tomasz Stempowski, **Rasistowski album****WYWIAD****13** **Przyjaciele i wrogowie** – rozmowa z dr. Tytusem Jaskułowskim, znawcą dziejów NRD**Z ARCHIWUM IPN****18** Grzegorz Majchrzak, **Sprawa na niepokornych****WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****20** Maciej Żuczowski, **Czterej premierzy terroryści****24** Elżbieta Szumiec-Zielińska, **Wybuch w Cytadeli****28** Daniel Rubiś, **Poligon doświadczalny Holocaustu****33** Maciej Korcuć, **Sowiecka polityka, nasza krew****38** Sławomir Poleszak, **Ostatni. Józef Franczak „Laluś” (1918–1963)****43** Artur Zybrant, **„Mały Londyn” po Powstaniu**

Fot. PAP/DPA



Fot. NAC



Fot. AIPN



Fot. Muzeum Narodowe

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego



Fot. NAC

**Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO****47** Grzegorz Dumala, **Bitwa na rocznice****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****51** Jerzy Eisler, **Polonia Restituta****PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****54** Jerzy Kochanowski, **Pegeery****Z BRONIĄ W RĘKU****56** Michał Mackiewicz, **Gewehr 98**
– legenda wśród karabinów**ORZEŁ BIAŁY****59** Tomasz Zawistowski, **U progu niepodległości**
– orzeł wz. 17**EDUKACJA HISTORYCZNA****63** Karolina Wichowska, **Odwrócić choć część wyroku****HISTORIA W KINIE****68** Grzegorz Wołk, **Wałęsa**. Film niespełnionych nadziei**71** RECENZJE**73** BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

Wymazywanie pamięci o przeszłości jest jedną ze standardowych metod stosowanych przez systemy totalitarne do reedukacji i tworzenia „nowego” człowieka i „nowego” społeczeństwa. W Polsce po II wojnie światowej komunistyczni specje od propagandy i „utrwalacze” nowego ładu systematycznie i starannie fałszowali historię Rzeczypospolitej – zarówno tę bliższą, jak i tę odległą. Przy czym, rzecz jasna, zdawali sobie także sprawę z tego, że szczególne znaczenie dla kształtowania i umacniania świadomości obywateli mają uroczyste obchodzone święta narodowe. Nowa władza forsowała 22 lipca – Narodowe Święto Odrodzenia Polski, moment ogłoszenia przejścia rządów – jako najważniejsze święto państwowe, które miało zawłaszczyć obchodzone przed wojną i w jej trakcie Święto Niepodległości 11 listopada. Mówiąc półzartem, mieli przynajmniej polscy komuniści tyle taktu, że nie użyli w nazwie nowego święta słowa „niepodległość”.

Oficjalnie swoją drogą, a pamięć narodowa swoją: Polacy pamiętali o listopadowym święcie, kojarzyli niepodległość z Piłsudskim, Dmowskim i rokiem 1918, a nie z 1944 i 22 lipca (który z czasem kojarzył się raczej z fabryką czekolady), PKWN i Osóbką-Morawskim.

Władza tzw. ludowa próbowała zagłuszyć i przejąć pamięć o 11 Listopada także w inny

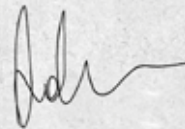
sposób, ekwilibrystycznie lansując mit o źródłach niepodległości Polski w rewolucji październikowej czy rocznicę efemerycznej republiki tarnobrzesckiej (6 listopada). O tej bitwie o pamięć, w której bronią były rocznice, pisze w niniejszym numerze Grzegorz Dumala. Tworzeniu mitu miał także służyć bój pod Lenino, w którym polscy żołnierze z „radzieckim” orzełkiem na helmach stali się dla radzieckiej propagandy pożywką pod uprawę legendy o polsko-radzieckim braterstwie broni. Maciej Korkuć opisuje rzeczywiste intencje Stalina, rolę Związku Patriotów Polskich i tragedię polskiego żołnierza.

O innym polskim żołnierzu, walczącym po drugiej stronie frontu (a po wojnie – kto wie, czy nie przeciwko zmanipulowanym i oszukany weteranom spod Lenino), pisze Sławomir Poleszak. Niedawno minęła 50. rocznica śmierci ostatniego, najdłużej stawiającego opór żołnierza antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. W 1963 roku z bronią w ręku, w walce z milicją i SB zginął „Laluś”. Pamięć o nim władza ludowa także próbowała zatrzeć, a co najmniej zniekształcić, już za życia przedstawiając go jako pospolitego przestępcę.

Listopad to miesiąc szczególny, w którym staramy się pamiętać o tych, którzy odeszli. Pamiętajmy zwłaszcza o tych, którzy mieli udział w walce o niepodległą, wolną i demokratyczną Polskę – wśród nich o zmarłym 28 października premierze Tadeuszu Mazowieckim.

Do numeru dołączyliśmy plakat z portretami dwóch spośród twórców niepodległości Polski: Romanem Dmowskim i Józefem Piłsudskim oraz broszurę o Marszałku, przygotowaną w ramach akcji „Patroni naszych ulic”.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Robert Klementowski,
dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarek,
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik,
Krzysztof Gottesman, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszak,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

28 października 2013 roku zmarł

Tadeusz Mazowiecki

pierwszy po II wojnie światowej
niekomunistyczny premier rządu polskiego,
uczestnik obrad Okrągłego Stołu,
wybitny działacz opozycji demokratycznej,
poseł na Sejm, współzałożyciel Klubu Inteligencji Katolickiej,
wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Więź”.



W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

5 grudnia 1953 roku Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego PRL otrzymało cios, od którego zatrzęsły się struktury całego aparatu represji w Polsce. Podpułkownik Józef Światło, wicedyrektor Departamentu X MBP, jeden z najwyższych funkcjonariuszy bezpieki uciekł do Berlina Zachodniego, a następnie do USA, gdzie wkrótce uzyskał azyl. Na dodatek nie tylko przekazał Amerykanom informacje na temat funkcjonowania aparatu bezpieczeństwa, lecz także – występując w audycjach Radia Wolna Europa – obnażył metody jego działania przed społeczeństwem PRL. O przebiegu, kulisach i skutkach ucieczki ppłk. Światły pisze Paweł Ceranka.



Fot. AIPN

■ Centrala Instytutu Pamięci Narodowej zmieniła lokalizację. Od 21 października obowiązuje **nowy adres do korespondencji**: ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa. Czytelnia Akt Jawnych IPN, która mieściła się przy ul. Towarowej, działa tymczasowo w Centrum Edukacyjnym im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” przy ul. Marszałkowskiej 21/25. Na Marszałkowską przeniosła się również księgarnia IPN.

■ 15 listopada w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w **Łodzi** (ul. Piotrkowska 282) zostanie otwarta **wystawa „Stowarzyszenie PAX, czyli Bolesława Piaseckiego państwo w państwie”**, przygotowana przez łódzki Oddział IPN.

Komuniści powołali po wojnie wiele dywersyjnych organizacji katolickich, z których pomocą próbowali rozsadzić od wewnątrz i podporządkować sobie Kościoły w poszczególnych krajach satelickich ZSRR. W Polsce taką rolę miało spełniać m.in. Stowarzyszenie PAX. Szefujący mu Bolesław Piasecki i jego współtowarzysze stworzyli środowisko, które przez dziesięciolecia przekonywało władze i społeczeństwo, że możliwe jest pogodzenie dwóch sprzeczności – socjalizmu i chrześcijaństwa. W czasach stalinizmu PAX – przedstawiany jako ruch „postępowych katolików” – był jednak w istocie narzędziem komunistów w walce z Kościołem. Równocześnie wśród rzeszy członków Stowarzyszenia nie brakowało ludzi, którzy autentycznie pragnęli współtworzyć katolickie życie intelektualne w istniejących warunkach realnego socjalizmu.



■ Na 26 listopada w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** planowane jest otwarcie **wystawy „Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na uchodźstwie 1945–1990”**. Ekspozycja ukazuje powojenne dzieje i dorobek emigracji niepodległościowej: trwanie instytucji niezawisłego Państwa Polskiego przez 45 lat rządów komunistycznych, działalność i spory partii politycznych, liczne inicjatywy społeczne oraz bogate życie kulturalne.



oprac. Filip Gańczak

Katyń w Strasburgu

21 października br. Wielka Izba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu ogłosiła ostateczny wyrok w sprawie połączonych skarg kateńskich. Skarżącymi byli obywatele polscy, krewni dwunastu ofiar Zbrodni Katyńskiej, którzy zarzucili Federacji Rosyjskiej, że w sprawie śmierci ich bliskich jej władze nie przeprowadziły skutecznego śledztwa oraz że niewłaściwie reagowały na prośby o uzyskanie informacji o losie krewnych.

16 kwietnia 2012 roku Izba Trybunału orzekła, że w odniesieniu do dziesięciu skarżących nastąpiło naruszenie art. 3 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (zakaz niehumanitarnego i poniżającego traktowania). Trybunał uznał również, że Rosja naruszyła art. 38 Konwencji (obowiązek udzielenia niezbędnych ułatwień dla zbadania sprawy). Zarazem jednak stwierdził, że nie jest władny do zbadania istoty zarzutu naruszenia art. 2 Konwencji (prawo do życia).

Takie orzeczenie było częściowym sukcesem skarżących. Trybunał rozpatrzył bowiem pozytywnie dwa z trzech polskich zarzutów. Ponieważ jednak uznał, że nie ma kompetencji do oceny rosyjskiego śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej, na wniosek skarżących sprawa została przekazana do rozpoznania Wielkiej Izbie Trybunału. Rozprawa odbyła się 13 lutego 2013 roku. W postępowaniu przed Izbą i Wielką Izbą występował w charakterze trzeciej strony Rząd RP, wspierając argumentację skarżących.

21 października Trybunał większością głosów oddalił roszczenia skarżących o przyznanie słusznego zadośćuczynienia. Wielka Izba uznała, że nie jest władna do zbadania zarzutu o braku skuteczności śledztwa w odniesieniu do zdarzeń, które miały miejsce przed przyjęciem Konwencji w 1950 roku. Ponadto w czasie, gdy Konwencja weszła w życie w stosunku do Rosji, śmierć polskich jeńców wojennych była już ustalonym faktem. W rozumieniu Trybunału nie było zatem stanu przedłużającej się niepewności co do ich losu.

Jednocześnie Trybunał stwierdził, że Rosja naruszyła obowiązek wynikający z art. 38 Konwencji, odmawiając przedstawienia postanowienia o umorzeniu śledztwa kateńskiego. Wielka Izba podkreśliła, że sądy rosyjskie nie zbadały zasadności utrzymywania niejawnego charakteru tego postanowienia.

Orzeczenie z 21 października stanowi utrudnienie w staraniach rodzin kateńskich o podjęcie umorzonego śledztwa i zagwarantowanie bliskim ofiar realizacji ich praw jako pokrzywdzonych. Podjęcie tych czynności zależy teraz wyłącznie od woli władz rosyjskich.

Prawa krewnych ofiar Zbrodni Katyńskiej są jednak respektowane w toku śledztwa prowadzonego w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie. Jego celem jest m.in. imienne ustalenie wszystkich ofiar zbrodni, nieznanych dotąd miejsc ich kaźni i pochówku, sporządzenie pełnej listy osób, którym przysługują prawa pokrzywdzonych, ustalenie wszystkich sprawców zbrodni, określenie zakresu odpowiedzialności każdego z nich i – o ile to będzie możliwe – pociągnięcie do odpowiedzialności karnej żyjących sprawców.

Małgorzata Kuźniar-Plota – prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie, kierownik Zespołu Śledczego prowadzącego postępowanie dotyczące Zbrodni Katyńskiej

POSTAĆ MIESIĄCA

15 listopada 1948: Major Hieronim Dekutowski „Zapora” został skazany na śmierć przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie.

W młodości Dekutowski działał w harcerstwie. Walczył w wojnie obronnej 1939 roku. Został internowany na Węgrzech, ale zbiegł z tamtejszego obozu i przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do tworzących się Polskich Sił Zbrojnych. Po klęsce armii francuskiej trafił do Wielkiej Brytanii. Przeszedł elitarnie szkolenie dla cichociemnych. We wrześniu 1943 roku został zrzucony do kraju i wkrótce otrzymał przydział do Okręgu AK Lublin. Stworzony przez „Zaporę” oddział partyzancki przeprowadził liczne akcje zbrojne przeciwko Niemcom.

Po wkroczeniu na Lubelszczyznę Armii Czerwonej Dekutowski przez pewien czas się ukrywał. Na początku 1945 roku powrócił do konspiracji, tym razem skierowanej przeciwko Sowietom i polskim komunistom. Stał na czele grupy dywersyjnej prowadzącej akcje odwetowe przeciw NKWD, UB, KBW i MO. Od czerwca 1945 roku dowodził wszystkimi oddziałami leśnymi w Inspektoracie „Lublin” Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ). Niebawem – na rozkaz dowódcz-



Fot. AIPN

▶ Hieronim Dekutowski (1918–1949)

stwa – rozwiązał podległe sobie oddziały. Bezskutecznie próbował przez Czechosłowację przedostać się na Zachód. Wrócił na Lubelszczyznę, gdzie podporządkował mu się oddziały Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – następcy DSZ. W lutym 1947 roku „Zapora” formalnie zaprzestał akcji zbrojnych, a w czerwcu się ujawnił. Zagrożony aresztowaniem, we wrześniu ponownie próbował opuścić Polskę. Został wówczas aresztowa-

ny i poddany wielomiesięcznemu brutalnemu śledztwu. Proces trwał niespełna dwa tygodnie. Sąd pod przewodnictwem mjr. Józefa Badeckiego skazał Dekutowskiego na siedmiokrotną karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

Za przygotowywanie ucieczki z celi śmierci więzienia mokotowskiego „Zapora” został skatowany – wybito mu zęby oraz połamano ręce i nogi. 7 marca 1949 roku zginął od strzału w tył głowy i został pochowany w bezimiennym mogile. Tego samego dnia stracono także sześciu jego podkomendnych.

W 1988 roku Dekutowski został pośmiertnie awansowany przez rząd RP na uchodźstwie do stopnia pułkownika, a dziewiętnaście lat później – odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. W 1994 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie unieważnił wyrok wobec „Zapory”. Szczęśliwie oficerowi udało się odnaleźć i zidentyfikować w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych od ubiegłego roku w kwaterze „L” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.

1 listopada 1918: We Lwowie wybuchły walki między Ukraińcami a Polakami. W tym dużym mieście, przez prawie 150 lat wchodzącym w skład zaboru austriackiego, Polacy stanowili najliczniejszą grupę ludności – przed Żydami i Ukraińcami. Klęska Austro-Węgrów w I wojnie światowej wytworzyła polityczną próżnię. Pierwsi wykorzystali to Ukraińcy, którzy 1 listopada opanowali we Lwowie większość gmachów publicznych i proklamowali powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Zaciekły opór stawili im nieliczni polscy żołnierze i zwykli mieszkańcy, w tym niepełnoletnia młodzież, nazwana



Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA

▶ obrońcy Lwowa, listopad 1918 roku; z lewej Stanisław Kato

Orlętami. Po trzech tygodniach ze skuteczną odsieczą polskim obrońcom przybyły wojska dowodzone przez ppłk. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Gdy oddziały ukraińskie opuściły miasto, doszło do krwawych zająć antyżydowskich.

Przez kilka kolejnych miesięcy Lwów był oblegany przez Ukraińską Armię Halicką. Sytuacja zmieniła się dopiero w drugiej połowie maja 1919 roku. Szalę zwycięstwa na stronę polską przechyliła wtedy przybyła z Francji Błękitna Armia gen. Józefa Hallera. Rok później Polacy zdołali obronić Lwów przed bolszewikami. Wkrótce Naczelnik Państwa Józef Piłsudski odznaczył miasto Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.



Fot. IPMS

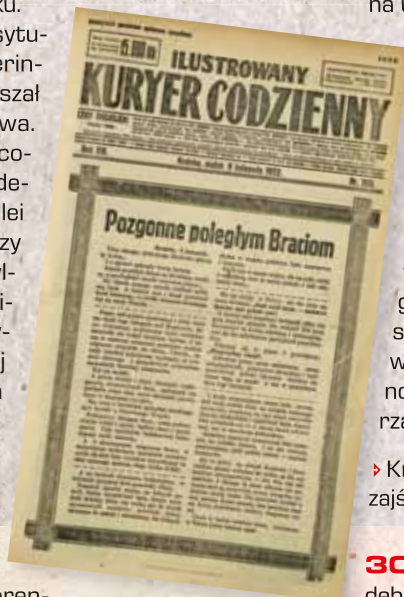
▶ Żołnierze kompanii szturmowej – obrońcy Lwowa, 1918 rok

NA ODSIECZ DO LWOWA!
 Siębną już ramiona bobaterskich obrońców
 Lwowa.
 Ich garstka maleje ale trzyma się nadlud-
 kim wynikiem i czeka pomocy.
 Niech każdy z nas pamięta, że krew tych
 najszlachetniejszych
O POLSKĘ WALCZĄCYCH
 spadnie na jego sumienie!
 Jeśli chcesz już drzeć! Jeśli chcesz mieć swoje imię!
 Jeśli chcesz mieć swoje imię!
 W BIURZE ODSIECZY DLA LWOWA
 Uniwersytet II. p. od. 11
 Rodziny ochotnicy

Fot. IPMS

6 listopada 1923: W Krakowie doszło do krwawych starć policji i wojska z robotnikami. Wydarzenia te bywają określane jako powstanie krakowskie 1923 roku.

Był to czas wyjątkowo trudnej sytuacji gospodarczej. Szalała hiperinflacja, rosło bezrobocie, pogarszał się poziom życia społeczeństwa. By złamać strajki, centroprawicowy rząd Wincentego Witosa zdecydował się na militaryzację kolei i wprowadzenie wobec kolejarzy sądów doraźnych. To jednak tylko wzmogło opór. Na początku listopada Centralny Komitet Wykonawczy opozycyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej i Centralna Komisja Związków Zawodowych ogłosiły strajk generalny. W odpowiedzi wojewoda krakowski



Kazimierz Junosza-Galecki zakazał zgromadzeń pod gołym niebem. Robotnikom, którzy we wtorek 6 listopada mimo to wyszli na ulice miasta, drogę zagroziły wojsko i policja. Demonstrantom udało się rozbroić część mundurowych. Gdy do szarży ruszył pułk ułanów, rozszalała się strzelanina. Zginęło czterestu żołnierzy i oficerów, a także kilkunastu robotników i przypadkowych przechodniów. Ofiary śmiertelne były też w Boryslawiu w południowo-wschodniej Polsce.

W tej dramatycznej sytuacji rząd oświadczył, że gotów jest wycofać się z sądów doraźnych i militaryzacji kolei oraz przychylić się do żądań ekonomicznych pracowników państwowych. W zamian PPS i związki zawodowe odwołały strajk generalny. Jednak jeszcze 8 listopada tragedia powtórzyła się w Tarnowie, gdzie zginęło pięciu demonstrantów (później w wyniku ran zmarły dwie kolejne osoby). Krwawe zajścia w Tarnowie, Boryslawiu, a zwłaszcza Krakowie przyspieszyły upadek rządu. 14 grudnia 1923 roku gabinet Witosa złożył dymisję.

► Krakowski „IKC” obszernie informował o tragicznych zajściach; tu: wydanie z 9 listopada 1923 roku

28 listopada 1943:

Rozpoczęła się czterodniowa konferencja w Teheranie. Po raz pierwszy spotkała się tzw. wielka trójka, czyli przywódcy koalicji antyhitlerowskiej: premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, prezydent USA Franklin D. Roosevelt i sowiecki dyktator Józef Stalin. „Był to kluczowy moment II wojny światowej. Tutaj podjęto decyzje na temat dalszego, końcowego etapu wojny, ale także powojennych losów Europy, w tym Polski” – mówił nieżyjący już dziś historyk prof. Paweł Wieczorkiewicz. Rozmowy w Teheranie potoczyły się po myśli Stalina. Ustalono, że żadna ze stron nie zawrze separatystycznego pokoju z Adolfem Hitlerem, lecz wszyscy alianci dążyć będą do bezwarunkowej kapitulacji i likwidacji Trzeciej Rzeszy. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zobowiązały się w tym celu do inwazji na okupowaną Francję. Wielka trójka zgodziła się wstępnie, by zachodnia granica Polski przebiegała na Odrze, a wschodnia wzdłuż tzw. linii Curzona, co oznaczało wchłonięcie przez ZSRR mniej więcej połowy terytorium II Rzeczypospolitej. Zdecydowano też *de facto*, że Polska znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów. „Z polskiego punktu widzenia był to dyktat. Ale tak było i żadne gesty, a nawet czyny, nie mogły temu zapobiec” – ocenia w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Decyzje w sprawie Polski podjęte w Teheranie początkowo trzymano w tajemnicy. Zależało na tym zwłaszcza Rooseveltowi, który przed kolejnymi wyborami prezydenckimi liczył na głosy amerykańskiej Polonii. Ustalenia teherańskie zostały potwierdzone i uściślone w 1945 roku podczas kolejnych konferencji „wielkiej trójki” – jałtańskiej i poczdamskiej.

Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA



► Józef Stalin, Franklin D. Roosevelt i Winston Churchill podczas spotkania w Teheranie

30 listopada 1988: Telewizja Polska nadała na żywo debatę Lecha Wałęsy i Alfreda Miodowicza.

Z propozycją takiej dyskusji wystąpił na łamach „Trybuny Ludu” Miodowicz, członek Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych (OPZZ). Najwyższe władze PRL przystały na to, by obok niego w telewizyjnym studiu zasiadł lider Solidarności, którego przez kilka lat uporczywie kreowały na osobę prywatną.

Był to okres impasu w negocjacjach strony rządowej z opozycją. Władze nie godziły się na ponowną legalizację NSZZ „Solidarność”. Miodowicz liczył na to, że w rozmowie z Wałęsą przekona Polaków do hasła „jeden związek w jednym zakładzie pracy”, czyli do utrzymania związkowego monopolu OPZZ. Liderowi Solidarności w przygotowaniu się do debaty pomagali m.in. Adam Michnik i reżyser Andrzej Wajda. Z Miodowiczem ćwiczyli zaś Stanisław Ciosek i Jerzy Urban – bliscy współpracownicy gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Dyskusja na żywo odbyła się w czasie najlepszej oglądalności – tuż po Dzienniku Telewizyjnym. Śledziły ją miliony widzów. Znany z impulsywności Wałęsa tym razem nie dał się ponieść emocjom. Był spokojny, umiarkowany, a przy tym pewny siebie. Przekonująco mówił o zapaści gospodarki i potrzebie kompromisu. Miodowicz raził zaś nijakością i partyjną nowomową. 63,8 proc. Polaków ankietowanych przez CBOS oceniło, że wygrał Wałęsa. Przeciwnego zdania było zaledwie 1,3 proc. respondentów, a reszta uważała dyskusję za nierozstrzygniętą.

„Debatę postawiła na porządku dnia legalizację Solidarności. Nikt nie jest już w stanie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego się temu sprzeciwiamy” – zanotował w dzienniku premier Mieczysław Rakowski. Wynik telewizyjnej dyskusji utorał drogę do rozmów Okrągłego Stołu, które ruszyły ostatecznie w lutym 1989 roku.



Fot. PAP

► Alfred Miodowicz i Lech Wałęsa tuż przed debatą telewizyjną

4 listopada 1925 roku

2 listopada 1925 roku w Warszawie odsłonięto Grób Nieznanego Żołnierza. W trzech środkowych arkadach pałacu Saskiego złożono zwłoki bezimiennego, nastoletniego bohatera walki o Lwów z 1920 roku oraz czternaście urn z ziemią z pól bitewnych, których nazwy umieszczono na tablicach. O tej uroczystości informował dwa dni później, 4 listopada 1925 roku, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”.

O 6.00 rano przybył na Dworzec Główny pociąg wiozący szczątki Nieznanego Żołnierza. Przyjmując raport od komendanta pociągu, gen. Waleriana Marjańskiego, minister spraw wojskowych gen. Władysław Sikorski powiedział: „Oddaję hold w imieniu armii zwłokom Bezimiennego Bohatera jako symbolu ofiarnej walki o niepodległość, a następnie o nienaruszalność i potęgę Rzeczypospolitej Polskiej. Delegacjom patriotycznej ziemi lwowskiej składam gorące żołnierskie życzenia z powodu sprawiedliwego wyroku losu, który wyznaczył sławne i od wieków przesiąknięte krwią polską pobojowisko Lwowa jako przedmiot specjalnego kultu narodu”.

Po nabożeństwie, które rozpoczęło się w katedrze św. Jana o 11.00, „kawalerowie orderu Virtuti Militari wynieśli trumnę i złożyli ją na lawecie działowej, oczekującej przed kościołem. [...] Przed trumną postępowało wyższe duchowieństwo, z kardynałem [Aleksandrem] Kakowskim na czele, zaś za zwłokami bezpośrednio szły matki, wdowy i sieroty po poległych, a w pewnym odstępie za nimi Prezydent Rzeczypospolitej [Stanisław Wojciechowski] w otoczeniu członków rządu, Sejmu i Senatu, generalicji, komitetu honorowego i przedstawicieli armii obcych. Następnie szli weterani z 1863 roku, a potem nieprzejrzane tłumy ludności. [...] Z chwilą przybycia trumny na Plac Saski znajdujące się tam oddziały wojskowe sprezentowały broń [...] Kawalerowie Virtuti Militari podszli do lawety działowej, wzięli trumnę i zanieśli na barakach do mauzoleum. Minister spraw wojskowych złożył do grobowca wieczysty akt o złożeniu zwłok Nieznanego Żołnierza. [...] Następnie p. Prezydent Rzeczypospolitej podanym sobie ogniem zapalił przed mauzoleum znicz, który płonąć będzie po wszystkie wieki. [...] przez cały czas uroczystości pogrzebowej szybowano nad miastem pięć aeroplanów pościgowych w pewnej odległości”.

„Kurier” informował też o nabożeństwie ku czci Nieznanego Żołnierza, odprawionym w warszawskiej synagodze: „Rabin warszawski Szor wygłosił piękne przemówienie, odpowiadając modły za poległych w latach 1918 do 1920 oraz za pomyślność Rzeczypospolitej”.



2 listopada 1939 roku

„Silne Niemcy to stanowcza gwarancja pokoju w Europie” – te słowa Władysława Gombrowicza, premiera i komisarza spraw zagranicznych ZSRR, przytoczył w numerze 5 z 2 listopada 1939 roku „Goniec Krakowski”. Niemiecka gadzinówka, wydawana dla Polaków w Generalnym Gubernatorstwie, obszernie cytowała słynne dziś przemówienie sowieckiego polityka, wygłoszone dwa dni wcześniej w Moskwie na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR. Molotow nazwał wówczas Polskę „poczwarnym bękartem traktatu wersalskiego”, nie ukrywając radości z jej zniknięcia z mapy Europy. „Goniec Krakowski” pominął jednak te ostre słowa, przywołując jedynie frazę o „upadku państwa polskiego”.

Więcej uwagi dziennik poświęcił tej części przemówienia, która była wymierzona w Wielką Brytanię i Francję. Zausznik Stalina skrytykował te dwa państwa za chęć „zniszczenia hitleryzmu”: „Cel ten, do którego dążą mocarstwa pod płaszczykiem demokracji, nazwał Molotow po prostu zbrodniczym. Idee państwowe, jak na przykład narodowy socjalizm, można przyjąć albo odrzucić, ale uznawać je za powód do wojny – to oczywiście jest bezsensownem i zbrodniczem. Prawdziwe cele wojny prowadzonej przez mocarstwa zachodnie to utrzymanie ich panowania nad światem i dalsze bezkarne łupienie ludów mieszkających w kolonjach”. Na tym tle sowiecki premier – a za nim „Goniec Krakowski” – chwalił zwrot „w stosunkach między Rosją a Niemcami”, zapewniając o ustanowieniu „długotrwałej przyjaźni między temi dwoma największemi państwami Europy”.

Owa przyjaźń, zapoczątkowana paktem Ribbentrop–Molotow i nowym rozbiorem Polski, przetrwała jednak tylko do 22 czerwca 1941 roku, kiedy to wojska III Rzeszy uderzyły na ZSRR. Krakowska gadzinówka gwałtownie zmieniła wówczas linię, przytaczając słowa Adolfa Hitlera mające uzasadnić agresję: „żydowsko-bolszewicki potentaci w Moskwie bez skrupułów podjęli próbę narzucenia nam i innym europejskim narodom swojego panowania”.



Jana Pawła Marchlewskiego

Krzysztof Gottesman

Listopad to niebezpieczny miesiąc dla Polaków – pisał Wyspiański w *Nocy listopadowej*. Niebezpieczny również dzisiaj. Rodzi wszak pokusę, by spojrzeć na historię, przejrzeć własną pamięć. Dzień Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny, odwiedziny grobów do tego skłaniają. I jeszcze więcej wprowadzają znaków zapytania.

„Narody, tracąc pamięć, tracą życie” – taki napis znajduje się na bramie do jednego z najpiękniejszych cmentarzy w Polsce, na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem. Prawda oczywista, chce się powiedzieć. Bo jak żyć, nie pamiętając o przeszłości, nie wyciągając z niej wniosków? Jak podejmować decyzje, nie pamiętając, jakie skutki przyniosły niegdyś podobne? Jak patrzeć na ludzi, jak ich oceniać bez wiedzy o ich życiu, dokonaniach? Co myśleć o instytucjach, nie znając ich historii? Nie da się.

Przez Polskę w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przetoczył się niejeden walec historii. Jeszcze sto lat temu, co w życiu narodów nie stanowi wcale tak wiele czasu, nie mieliśmy niezależnego państwa. Miliony Polaków żyły rozproszone w trzech zaborach, były poddanymi trzech monarchów. Ilu z tych milionów w swej pamięci miało Polskę, ilu – słuchając bicia własnego serca – mówiło „A to Polska właśnie”? Kiedy żołnierze Pierwszej Kadrowej niedługo potem wkraczali do Kielc, słyszeli przede wszystkim huk zatrzaśkiwanych okiennic. Tego samego doświadczyli wędrujący przez Warszawę podchorążowie w czasie Nocy Listopadowej. Cztery lata po kieleckim rozczarowaniu, w listopadzie 1918 roku,

stał się Józef Piłsudski Naczelnikiem, a w 1920 roku tysiące Polaków zgłaszały się do wojska, by bronić zagrożonej niepodległości. Byli zapewne wśród nich również kielczanie niedawno chowający się za firankami i okiennicami. Co łączy te postawy, jaki jest ich wspólny mianownik? Czy trzeba go szukać?

II Rzeczpospolita wydała pokolenie najbardziej chyba patriotyczne, oddane wspólnocie i sprawom publicznym. Jego niedobitki, których nie zabili ani Niemcy, ani Sowieci, musiały przejść jeszcze jedną próbę. Po terrorze stalinowskim, walce w lasach, ubeckich więzieniach, wywózkach – wiedli życie w PRL, kraju quasi-wolnym, będącym namiastką i substytutem Polski. Jak żyli? Nie ma jednej odpowiedzi. Jedni chowali się w domach, szukali ukojenia w Kościele i sensu życia w pracy, inni wspomagali nową władzę. Z wyrachowania, dla świętego spokoju, z oportunistów, bo inaczej nie można, również z przekonania. Czy buntowali się? Tak, ale bardzo, bardzo nieliczni.

W Solidarność na początku uwierzyli wszyscy. Tych dziesięć milionów to nie była fikcja. Pracowałem wówczas w „Tygodniku Solidarność”, pamiętam worki listów przychodzących do redakcji każdego dnia. Listów ze skargami na władzę – pełnych gorczy, ale znacznie częściej z nadzieją na lepszą

przyszłość. Dlaczego zatem tak trudno było się doliczyć już nie dziesięciu milionów, ale choćby kilkuset tysięcy po 13 grudnia? Dlaczego tyle okien zostało znowu zatrzaśniętych?

Cmentarz Wojskowy na Powązkach. Kiedy chodzimy po nim, zwłaszcza w listopadzie, pytania o pamięć i historię cisną się do głowy szczególnie mocno. Nigdzie bardziej niż tu nie widać, jak kręte są losy Polaków. Obok bohaterów leżą ich kaci, generałowie II Rzeczypospolitej i ludowego Wojska Polskiego, gen. Stanisław Sosabowski i członkowie WRON, gen. August Emil Fieldorf „Nil” i zdegradowany gen. Stanisław Zarako-Zarakowski, płk Ryszard Kukliński i gen. Florian Siwicki. Tu leżą również Bierut, Marchlewski, Gomułka, Ochab. Czy tu zostanie pochowany gen. Jaruzelski, jaki będzie miał pogrzeb? Do dziś w alei zasłużonych znajdują miejsca ministrów peerelowskich rządów. Wśród artystów, obok Przymanowskiego i Putramenta, leży Paweł Jasienica. Fragment historii, część pamięci każdego z nas. Co z nią zrobić, jak sobie z nią poradzić? Co zrobić z grobami ludzi, których historia już osądziła? Czy naprawdę śmierć wyrównuje wszystkie rachunki? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Na pewno mnie to boli. A czy bym potrafił głosować za usunięciem niektórych grobów? Dlatego, że oni tak robili? Nie wiem, chyba nie. Na pewno chcę, by prawdziwi bohaterowie zostali pochowani godnie.

Jest w Warszawie aleja Jana Pawła II. Pamiętam, jak po śmierci Ojca Świętego wzdłuż krawężników stały tysiące zniczy, leżały kwiaty. Robiło to ogromne wrażenie. Do roku 1989 patronem ulicy był komunista Julian Marchlewski. Ładnych kilka lat temu zdarzyło mi się usłyszeć w autobusie pytanie o przystanek przy ulicy Jana Pawła Marchlewskiego. Zgrywa, przekora, niewiedza? Też pamięć... ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

RASISTOWSKI ALBUM

Tomasz Stempowski



► Cherlawi, obdarczi, z mało inteligentnym wyrazem twarzy – „typowi Polacy” według hitlerowskiej propagandy

Fotografie biednych, zaniedbanych, ułomnych postaci ze wspólnym podpisem „typy polskie” – takie zestawienie było jednym z elementów propagandy nazistowskiej, która przekonywała, że Polacy to „podludzie”.

Wzespole archiwalnym byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, przechowywanym w Archiwum IPN, znajduje się kilka albumów fotograficznych stworzonych przez Centralę Przesiedleńczą w Łodzi. Trzy – zatytułowane *UWZ*, co oznacza *Umwandererzentralstelle*, czyli właśnie Centralę Przesiedleńczą – są niemal identyczne, różnią się jedynie kolejnością stron i pojedynczymi zdjęciami. Pokazano w nich obozy przesiedleńcze i plansze wystawy „Planung und Aufbau im Osten”, otwartej 23 października 1941 roku w Poznaniu, a poświęconej wysiedleniom Polaków i Żydów z Kraju Warmy. Kilkanaście fotografii dokumentuje wysiedlenia Polaków z Zamojszczyzny i Żydów z Warthelandu, nazywanego też Warthegau.

Czwarty album ma inny charakter; zawiera wyłącznie portrety kobiet, mężczyzn i dzieci różnych typów etnicznych, podpisane rasistowskimi określeniami, takimi jak: „Obcy rasowo”; „Rasowo wartościowe dzieci obcej narodowości”; „Rasowy bastard”; „Nie wszystko złoto, co się świeci...”; „Prymitywne typy polskie”; „Rezultat krzyżowania ras w pierwszym pokoleniu”. Składa się z kart poglądowych będących świadectwem pseudonaukowych badań rasowych.

Łódzka Centrala Przesiedleńczą była oddziałem Centrali Przesiedleńczej w Poznaniu. Najpierw w październiku 1939 roku Specjalny Sztab ds. Wysiedlenia Polaków i Żydów, działający przy Kierowniczym Odcinku Służby Bezpieczeństwa, przekształcono w Urząd ds. Wyszędlenia Polaków i Żydów, a następnie w marcu 1940 roku – w Centralę Przesiedleńczą z siedzibą w Poznaniu, ekspozyturą w Łodzi i oddziałami terenowymi ►



Fot. AIPN

obejmującymi kilka powiatów. W realizacji zarządzeń poznańskiej centrali podstawowe znaczenie miała właśnie ekspozytura w Łodzi, której podporządkowane były obozy przesiedleńcze.

Centrala Przesiedleńcza miała realizować niemiecką politykę ludnościową w Kraju Warty, utworzonym z części ziem wcielonych do Rzeszy w 1939 roku. Jej celem była całkowita germanizacja tych terenów. Zamierzano to osiągnąć, wysiedlając kilka milionów Polaków i sprowadzając na ich miejsce Niemców. Kraj Warty w zamierzeniach jego namiestnika Arthura Greisera miał się stać wzorcową prowincją Rzeszy Niemieckiej. Politykę germanizacyjną prowadzono tu w inny sposób niż na pozostałych ziemiach polskich wcielonych do Niemiec. O ile Albert Forster na Pomorzu Gdańskim i Fritz Bracht na Śląsku dążyli do „germanizacji ludzi”, o tyle Greiser uważał, że germanizować należy ziemię, a mieszkających na niej Polaków – usunąć. W przemówieniu w Kilonii w 1942 roku stwierdził: „Zniemczenie Warthegau oznacza według mnie, że żaden inny naród oprócz narodu niemieckiego nie ma prawa tam mieszkać. To jest różnica między moją kolonizacją a starą kolonizacją bismarckowską”.

Z „germanizacji ludzi” też jednak nie zrezygnowano całkowicie. W obręb narodu niemieckiego włączano osoby pochodzenia niemieckiego, które wpisywano do jednej z czterech kategorii volkslisty. Zniemczano także dzieci. Te, które po przeprowadzeniu pomiarów antropologicznych uznawano za odpowiadające wzorcowi rasy germańskiej, były odbierane polskim rodzicom i przekazywane do niemieckich rodzin lub sierocińców. Szef SS i policji, minister spraw wewnętrznych Rzeszy Heinrich Himmler w przemówieniu wygłoszonym w Poznaniu pod koniec 1943 roku stwierdził: „Weźmy od innych narodów to, co dla naszej krwi przedstawia pewną wartość, porywając, o ile to będzie konieczne, dzieci i wychowując je tu wśród nas”.

Badania rasowe prowadzono również w Centrali Przesiedleńczej. Wszyscy wysiedleni skierowani do obozu przy ul. Łą-

kowej w Łodzi zaraz po przybyciu podlegali wstępnej klasyfikacji rasowej. Tych, których uznano za nadających się do zniemczenia, poddawano dalszym badaniom rasowym i lekarskim. Jeśli zakwalifikowano ich do germanizacji, otrzymywali paszporty obcokrajowców, lepsze zakwaterowanie i wyżywienie. Ponadto 19 stycznia 1943 roku Centrala Przesiedleńcza rozpoczęła badania rasowe i biologiczne oraz sprawdzanie przydatności do pracy ludności polskiej z Kraju Warty. Badanych podzielono na cztery kategorie: 1. szczególnie nadających się do zniemczenia, 2. nadających się, 3. nienadających się do zniemczenia, 4. nienadających się do zniemczenia, z domieszką krwi pozaeuropejskiej. Wyodrębniono także kategorię osób aspołecznych.

Według oficjalnych niemieckich sprawozdań, od listopada 1939 do października 1944 roku z Kraju Warty wysiedlono 629 595 osób. Nie wiadomo, ile z nich dokładnie przeszło przez obozy podległe UWZ w Łodzi, ale szacuje się, że było ich kilkaset tysięcy. Całkowita liczba obywateli polskich przebadanych rasowo, uznanych za nadających się do zniemczenia i wysłanych w tym celu na tereny Rzeszy też nie jest znana, ale były ich tysiące. Spośród całej tej masy ludzi do albumów wybrano fotografie zaledwie kilkunastu osób.

„Typy polskie” z albumu *UWZ* w pierwszej chwili mogą kojarzyć się ze zdjęciami etnograficznymi, zawierającymi wizerunki przedstawicieli poszczególnych narodów i grup etnicznych. Tuż po wynalezieniu fotografii liczone, że nowa technologia umożliwi skatalogowanie i typologizację ludów całego świata z wiernością, której nie gwarantował rysunek. W drugiej połowie wieku XIX i na początku XX powstały tysiące wizerunków przedstawicieli narodowości z całej kuli ziemskiej. Do rozpowszechnienia portretów przyczyniły się zwłaszcza karty pocztowe. Reprodukowane na nich postaci są ubrane w stroje regionalne, czasami trzymają też charakterystyczne przedmioty związane z ich zawodem czy rolą społeczną. Pozują na tle fragmentów budowli stanowiących

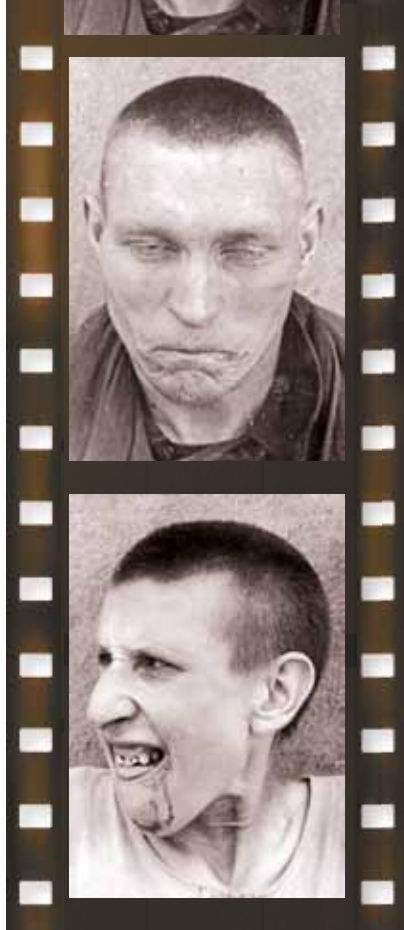
Fot. AIPN



ich naturalne otoczenie bądź w atelier. Wśród wielu w ten sposób sportretowanych grup narodowych znaleźli się także Polacy. Na pocztówkach ich podobizny często podpisano terminem „typy polskie”, a po niemiecku „Polnische Typen” lub „Volkstypen aus Polen”.

Geneza zdjęć z albumu *UWZ* jest jednak bardziej skomplikowana. Powstały one na styku kilku dziedzin: antropologii, eugeniki i kryminologii. Duży wpływ na ich kształt miała wypracowana przez niemieckich antropologów koncepcja rasy. Hans F.K. Günther, nazywany „papieżem rasy”, definiował ją jako „grupę ludzi, która przez właściwe sobie cechy cielesne i właściwości duchowe różni się od innych”. Rasy nie można utożsamiać ani z narodowością, ani z grupą językową czy przynależnością państwową. Przez wieki doszło do licznych przemieszczeń ludności i do mieszania się ras, wskutek czego – twierdzili niemieccy antropolodzy – na tym samym terytorium zamieszkują przedstawiciele różnych typów rasowych, a także grupy ludzi pod względem rasowym mieszanych. Społeczeństwa poszczególnych państw, lub narody są w różnym stopniu „skażone” obcymi domieszkami. W literaturze „rasoznawczej” panował jednak pewien nieład terminologiczny. Niejasny był zwłaszcza stosunek między pojęciami rasy (Rasse) i narodu lub ludu (Volk). Poszczególne badacze często mieli odmienne poglądy na tę kwestię.

Rasy zestawiano hierarchicznie. Za najdoskonalszą uznano aryjską, do której należeli Niemcy. Niektóre narody – zwłaszcza Żydzi, Cyganie i Słowianie, a wśród nich Polacy – były określane przez ideologów nazistowskich terminem *Untermenschen* – podludzie. Wspólne życie z nimi na jednym terenie – przekonywano – mogło prowadzić do skażenia germańskiej krwi. Zapobiec temu „niebezpieczeństwu” miały ustawy norymberskie uchwalone 15 września 1935 roku, które m.in. zakazywały zawierania małżeństw między Żydami a osobami krwi niemieckiej i utrzymywania między nimi stosunków seksualnych, które nieoficjalnie nazywano „hańbie-



Fot. AIPN

niem rasy”. Kilka lat później, po wybuchu wojny, za podobne zagrożenie dla niemieckiej krwi uznano przedstawicieli narodów słowiańskich, zwłaszcza gdy do Rzeszy przywieziono ze wschodu miliony robotników przymusowych. Profesor Otto Reche, dyrektor Instytutu Rasologii i Ludoznawstwa Uniwersytetu w Lipsku, już w 1939 roku pisał: „Ludność polska to bardzo niefortunna mieszanka elementów rasy »prasłowiańskiej« (spokrewnionej ze skandynawskimi Lapończykami), »wschodniobałtyjskiej« i »ostyjskiej«, z lokalnie bardzo silnie zauważalnymi domieszkami mongolskimi. Należy w każdym razie unikać przemieszania się tej [...] »słowiańskiej« ludności z Niemcami, a można to osiągnąć jedynie przez usunięcie Polaków”.

Według wielu ówczesnych antropologów i „rasoznawców” niemieckich, w odniesieniu do rasy można mówić o ścisłym powiązaniu cech fizycznych z umysłowymi. Pogląd ten był na tyle rozpowszechniony, że zaczęła się formować odrębna dziedzina badawcza określana mianem „psychologii rasy”. Na szczycie hierarchii stawiano zazwyczaj rasę nordycką. Jak pisał Hans F.K. Günther: „Jeśli przestudiuje się uzdolnienie

poszczególnych ras, o patrząc na liczbę twórczych jednostek, to rasa nordycka jest wyjątkowo utalentowana”. Polacy nie wypadali w takich rankingach najlepiej. Według Rudolfa Hippusa, który od 28 maja do 25 września 1942 roku przeprowadził w Poznaniu badania psychologiczne 877 osób między osiemnastym a czterdziestym rokiem życia, podstawowymi cechami Niemców były „wytrwałość, podległość, energiczność i nasilona dynamika działań”, Polaków zaś – „otwartość na pełnię życia, kompulsywne zachowania i ubóstwo sił witalnych”. Związki przedstawiciele obu narodów miały być niekorzystne. W raporcie z badań Hippus pisał, że „niemiecka zdolność do pracy zostaje utracona wskutek krzyżowania”, oraz że „znaczne szkody w mieszanej populacji oznaczają nie tylko populację trudną do kierowania, ale także znaczne trudności w życiu praktycznym i cywilnym”.

Tego typu poglądy były rozpowszechniane w wydawnictwach popularnych i propagandowych. Profesor Instytutu Studiów Granicznych i Zagranicznych Niemieckiej Wyższej Szkoły Polityki w Berlinie, Karl C. von Loesch, w wydanej w 1940 roku broszurze *Polski charakter narodowy* stwierdził, że charakter polski cechuje się sprzecznościami niewystępującymi u „cywilizowanych” ▶



Fot. AIPN



Fot. AIPN

narodów: uprzejmość miesza się z brutalnością, pobożność z okrucieństwem, duma i mania wielkości z kompleksem niższości i służalczością.

Powyzsza charakterystyka musiała prowadzić do przekonania o niższości Polaków w stosunku do Niemców. Współgrało ono zresztą z rozpowszechnionymi już w społeczeństwie niemieckim antypolskimi stereotypami, takimi jak określenie „polnische Wirtschaft”, będące synonimem chaosu i bałaganu. Z kolei pogląd o rzekomej gwałtowności i okrucieństwie Polaków był wzmacniany oskarżeniami o prześladowanie mniejszości niemieckiej w Polsce. Pod koniec sierpnia 1939 roku w kilku niemieckich gazetach ukazał się artykuł, w którym pisano o 204 aktach przemocy Polaków wobec Niemców i sześciu ofiarach śmiertelnych. Autor publikacji twierdził, „że prawdziwa natura Polaków przejawia się przede wszystkim w bestialskich napadach na Niemców”. Do rozpowszechnienia podobnych opinii przyczyniły się też z pewnością instrukcje kierowane do oddziałów wojskowych w sierpniu 1939 roku – przed napaścią na Polskę. Pisano w nich o Polakach, że „to tylko zgraja byle jak wyszkolonych żołnierzy, którzy nie mają żadnych szans w wojnie przeciwko wojskom Rzeszy. [...] Polscy żołnierze są chyba najgłupszy w Europie, może oprócz rumuńskich”.

Portrety publikowane w literaturze antropologicznej przypominają policyjne zdjęcia sygnalityczne, z tą różnicą, że postulowano, aby ukazywały ludzi rozebranych. Takie zdjęcia miały być wykonywane zwłaszcza osobom charakteryzującym się „złymi” cechami rasowymi. Chodziło o to, żeby ukazać charakterystyczne cechy fizyczne i symptomy „degeneracji” poszczególnych jednostek i w ten sposób dowieść



Fot. AIPN

► Plansza z wystawy „Planung und Aufbau im Osten” otwartej 23 października 1941 roku w Poznaniu, zawierającej portrety Polaków i Żydów wysiedlonych z Kraju Warty

ich nagromadzenia u poszczególnych grup ludności.

Zupełnie inaczej portretowano „właściwe” typy rasowe. Wprawdzie też odwoływano się do stosowanego przez fotografów policyjnych wzorca pary fotografii *en face* i z profilu, jednak ekspozowano przede wszystkim twarz i szyję, pokazując też fragmenty eleganckiej odzieży. Także oświetlenie dobierano tak, by podkreślić urodę portretowanych twarzy. Wiele przykładów takich fotografii można znaleźć w publikacjach niemieckich „rasoznawców” Hansa F.K. Günthera i Ludwiga F. Claußa. Z jednej strony popularyzowały one w społeczeństwie niemieckim obraz „właściwych” twarzy germańskich, zgodnych z rasistowskim ideałem, z drugiej budowały i umacniały stereotypowe wizerunki obcych. Przy czym tych drugich pokazywano jako bardziej dzikich i prymitywnych, ubogich i zaniedbanych, co sugerowało, że są oni mniej cywilizowani i po prostu gorsi.

„Typy polskie” zamieszczone w albumach *UWZ* ilustrują skrajnie negatywny stereotyp Polaka. Propagandowy charakter fotografii kompromituje się nawet w zetknięciu z sąsiednimi kartami tych samych albumów. Zamieszczone na nich zdjęcia reportażowe poświęcone przesiedleniom pokazują Polaków daleko odbiegających od rasistowskich wyobrażeń. Rodzi się pytanie, dla kogo przeznaczony był taki przekaz. Wygląda na to, że twórcy albumu kierowali go do samych siebie. Album nie był szeroko rozpowszechniany. Dostęp do niego miała ograniczona grupa ludzi, prawdopodobnie tylko pracownicy centrali i ich zwierzchnicy. Zwyczajni Niemcy mogli się zetknąć z podobnymi zdjęciami stosunkowo rzadko. Przykładem może być zreprodukowana w albumie *UWZ* plansza z ekspozycji poświęconej wysiedleniom Polaków i Żydów z Kraju Warty.

Pokazano na niej, jak głosi napis, „typy polskie i żydowskie” osób wysiedlonych z Warthelandu. To jednak wyjątek. Naziści chętnie stosowali wizualne środki przekazu, ale fotografii używali przede wszystkim do propagandy „pozytywnej”, czyli takiej, która ekspozowała ich osiągnięcia i ideały.

Obraz fotograficzny jest otwarty na interpretację; jego znaczenie w dużym stopniu zależy od kontekstu, w którym zostaje umieszczony. Mimo to fotografie „typów polskich”, nawet pozbawione rasistowskich tytułów, nie są całkiem niewinne. Zarówno ich treść, jak i forma są wynikiem oddziaływania kilku silnie zideologizowanych dyskursów. W rezultacie sportretowane osoby zostały wtłoczone w ściśle określone schematy i potraktowane jak owady przybite szpilkami do tablicy pogładowej. Trzeba także pamiętać, że w czasie, kiedy te zdjęcia powstały, patrzono na nie, konfrontując je z utrwalonymi wyidealizowanymi obrazami „typów niemieckich”. Kontrast między tymi przedstawieniami pokazuje, jak bardzo fotografia może być myląca. ❀

Tomasz Stempowski – kustosz w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Przyjaciele i wrogowie

Ani enerdowska Stasi nie była tak potężna, ani polska Służba Bezpieczeństwa tak nieudolna, jak często można usłyszeć – przekonuje **dr Tytus Jaskułowski** w rozmowie z Filipem Gańczakiem

Czy w roku 1980 przywódca NRD Erich Honecker dążył do interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Polsce?

Nie ulega wątpliwości, że późną jesienią 1980 roku jednostki Narodowej Armii Ludowej NRD szykowały się do wejścia do Polski, tak jak jednostki innych krajów socjalistycznych graniczących wówczas z PRL. To naturalne, że w sytuacji przesilenia politycznego kraje ościennie przygotowują się na taką ewentualność.

Erich Honecker był zwolennikiem interwencji. Miał świadomość tego, jak niebezpieczna dla funkcjonowania NRD może być eskalacja zrywu wolnościowego w Polsce. Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy Honecker objął władzę, doszło do interesującej rozmowy między nim a Leonidem Breżniewem. Przywódca ZSRR w pewnym momencie powiedział coś takiego: „Zapamiętaj, że bez Związku Radzieckiego i jego po-



Fot. HAIT

dr Tytus Jaskułowski (ur. 1976) – politolog, pracownik Instytutu Badań nad Totalitaryzmem im. Hannah Arendt na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, znawca dziejów NRD i stosunków polsko-niemieckich; w Polsce ukazały się m.in. jego książki *Władza i opozycja w NRD 1949–1988: próba zarysu* (2004 i 2007), *Pokojowa rewolucja w Niemieckiej Republice Demokratycznej w latach 1989–1990: geneza, przebieg efekty* (2007) i *Ostatnie miesiące NRD* (2010)

tegi NRD nie istnieje”. Niemiecka Republika Demokratyczna była państwem sztucznym, nie miała tożsamości. Bez wsparcia Armii Radzieckiej partia komunistyczna i system władzy nie miały szans na utrzymanie się. Pokazało to już powstanie berlińskie w 1953 roku. Dlatego też tak bardzo został rozbudowany aparat przymusu i przemocy. Każda próba demokratyzacji wewnątrz obozu państw socjalistycznych była zagrożeniem dla grupy osób, które sprawowały władzę w NRD. Interwencja w PRL – jakiegokolwiek plany istniały w 1980 roku – była z pewnością w żywotnym interesie NRD. Rzeczą wtórną jest to, czy doszłoby także do zaangażowania jednostek liniowych Narodowej Armii Ludowej NRD w jakąś formę spacyfikowania Solidarności w Polsce.

▶ Erich Honecker i Wojciech Jaruzelski podczas spotkania młodzieży we Wrocławiu, czerwiec 1988 roku





Fot. BStU

► Prywatne spotkanie z udziałem czołowych polskich opozycjonistów, druga połowa lat osiemdziesiątych; zdjęcie pochodzi z teczki Detlefa Rusera, pracownika naukowego Politechniki Gdańskiej, zarejestrowanego przez Stasi jako tajny współpracownik „Henryk”

Narada w Moskwie w grudniu 1980 roku pokazała jednak, że Honecker był odosobniony na tle przywódców innych krajów Układu Warszawskiego. Zajął w sprawie Polski najradykałniejsze stanowisko.

Niewątpliwie tak. A ponieważ zorientował się, że zbrojna interwencja nie wchodzi w grę, uznał, że władzom NRD pozostają inne metody. Przede wszystkim dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co dzieje się w Polsce. Nie chodziło jednak o zrozumienie wewnętrznych przemian w PRL, lecz o dostarczenie Moskwie argumentów, że sytuacja wymyka się spod kontroli i należy podjąć zdecydowane działania.

To był jeden z głównych celów Grupy Operacyjnej Warszawa (OGW), powołanej już we wrześniu 1980 roku przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD (MfS), znane lepiej jako Stasi.

OGW była ostatnią grupą tajnej policji politycznej państwa socjalistycznego, która za zgodą państwa gospodarza, czyli PRL, miała prawo do przebywania i wykonywania zadań na terytorium Polski. Powstała pod egidą II Głównego Zarządu MfS, czyli kontrwywiadu. Formalnie OGW realizowała więc zadania *stricte* kontrwywiadowcze, takie jak ochrona obywateli NRD czy prowadzenie na terenie Polski operacji przeciwko służbom specjalnym państw NATO. W rzeczywistości najważniejsze było zbieranie jak największej ilości informacji o tym, co się dzieje w PRL.

Czym kierowały się ówczesne władze PRL, dając zgodę na powołanie na swoim terytorium enerdowskiej rezydentury?

Krytycy tej decyzji uważają, że było to wpuszczenie na własne terytorium obcej służby wywiadowczej i danie jej nadzwyczajnych możliwości.

Enerdowskie służby działały w ambasadzie NRD w Warszawie. Funkcjonariusze MfS otrzymywali przepustki do gmachu MSW. Niektórzy byli oficerowie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w rozmowie ze mną twierdzili, że pracownicy Stasi mieli nawet legitymacje tego resortu. Co więcej, minister Czesław Kiszczak deklarował, że MSW będzie zapewniało tej rezydenturze stały dopływ informacji, np. informacje dzienne i inne opracowania różnego rodzaju. Część pracowników MSW uznawała taki model za całkowicie niedopuszczalny. Gdy tymczasem patrzymy na wewnętrzne meldunki wschodniobierlińskiej rezydentury polskiego wywiadu w NRD, to są tam skargi, że nie ma dostępu do żadnych materiałów, nie można wejść do budynku Stasi. Tutaj jednak pojawia się druga teza, którą można usłyszeć w rozmowach z byłymi funkcjonariuszami: wpuszczenie obcej służby do ministerstwa daje gospodarzowi możliwości manipulacji i prezentowania własnego punktu widzenia.

Służby NRD nie tylko prowadziły w PRL standardową pracę operacyjną, lecz także próbowały podsłuchiwać „polskich towarzyszy”.

Te działania, które przygotowywano już od 1980 roku, nosiły kryptonim „Wolke” („Chmura”). Korzystano z manewrów wojskowych, które w latach osiemdziesiątych były dość ważnym instrumentem wywierania nacisku na władze PRL i opinię publiczną w Polsce. Związki taktyczne NRD przywoziły ze sobą sprzęt podsłuchowy, aby podsłuchiwać polskie władze. Korzystano też z jednostek pływających na Bałtyku, z budynków na przejściach granicznych i z pomocy Czechosłowacji, która udostępniała swoje terytorium. Urządzenia podsłuchowe umieszczano również w mieszkaniach należących do ambasady

NRD w Warszawie. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że podsłuchiowano także stacjonujące w Polsce oddziały Armii Radzieckiej.

Jak władze PRL reagowały na próby podsłuchiwania?

Taśmy z nagraniami z podsłuchów były przechowywane w mieszkaniach należących do ambasady NRD. W pewnym momencie zaczęły się włamania do tych lokali. Co ciekawe, nie ginęło nic wartościowego. Znikały jedynie taśmy magnetofonowe. Ambasada NRD poprosiła polskie władze o wzmocnienie ochrony. Włamania zdarzały się jednak tylko wówczas, kiedy obok mieszkań stały patrole MO. Kiedy milicji nie było, nikt nie kradł. Enerdowcy zrozumieli, w czym rzecz, i z czasem zrezygnowali ze zbyt nachalnego podsłuchiwania.

Czy – w porównaniu z innymi krajami socjalistycznymi – działania podjęte przez Stasi w PRL po sierpniu 1980 roku były czymś wyjątkowym?

Od 1980 roku sytuacją w Polsce interesowały się rezydentury wszystkich państw socjalistycznych i sam fakt, że Berlin Wschodni chciał wiedzieć więcej, nie był niczym wyjątkowym. Czym innym była próba wpływania na system polityczny PRL. Była to jednak próba raczej nieudana. Władze NRD starały się wspierać konserwatywnych działaczy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, którzy nie zgadzali się z polityką Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka, bo uważali ją za zbyt miękką i ugodową. Paradoks polega na tym, że służba NRD, małego kraju socjalistycznego, była zmuszona do działania w innym kraju totalitarnym, jakim była PRL. Polska była może najweselszym barakiem w obozie, ale mimo wszystko był to kraj policyjny z rozwiniętym systemem donosicielstwa i siecią tajnych współpracowników. Jeśli ktoś w Polsce rozmawiał z działaczem partyjnym czy dyplomatą z NRD, to z reguły nie czynił tego zupełnie prywatnie, tylko donosił później MSW o swoich rozmowach. W rezultacie informacje na ten temat lądowały u Jaruzelskiego i Kiszczaka.

Dziennikarze i naukowcy, którzy w latach dziewięćdziesiątych mieli okazję po raz pierwszy korzystać z akt Stasi, byli jednak zszokowani, że niektórzy działacze PZPR wysokiego szczebla tak dużo mówili aparatczykom i dyplomatom z NRD. W tym kontekście padały m.in. nazwiska Michała Atlasa i Stanisława Cioska.

Inny przykład to płk Henryk Sokolak, mający kontakty w Niemczech jeszcze z czasów II wojny światowej i swojego pobytu w obozie koncentracyjnym. W latach osiemdziesiątych był już, co prawda, emerytowanym funkcjonariuszem bezpieczeństwa, ale mimo to należał do pierwszych adresów dla dyplomatów z NRD, którzy próbowali dowiedzieć się czegoś o sytuacji w Polsce. Znając tylko akta wschodnioniemieckie, można pomyśleć: „Powinien był uważać na to, co mówi”. Tymczasem w polskiej tece Sokolaka też znajdują się raporty z tych rozmów. W tym momencie możemy sobie zadać pytanie: Kto dla kogo pracował? Czy Sokolak dla rozmówców z NRD, czy raczej oni dla niego?

Podstawą pracy wywiadu jest rozmowa i to naturalne, że po spotkaniach – tak jak w dyplomacji – sporządza się notatki. Ale i druga strona może zostawić po rozmowie jakiś pisemny ślad. Trudno więc oceniać zachowanie danej osoby tylko na podstawie akt jednej instytucji. Badania zaczniemy od sprawdzenia, na ile osoby, które rozmawiały z przedstawicielami NRD, robiły to za plecami polskich władz i służb.

Tak czy inaczej twardegołowym działaczom PZPR nie udało się przejąć władzy, jak życzyłyby sobie tego Erich Honecker.

Możliwości wpływu Honeckera na inne państwa Układu Warszawskiego były bardzo ograniczone. Decyzje zapadały w Moskwie, a tam Wojciech Jaruzelski miał mocną pozycję. Jawił się gospodarzom Kremla jako ten, który zaprowadzi porządek i będzie w stanie skonsolidować system władzy w Polsce. Honecker mógł więc jedynie zachęcać ekipę Jaruzelskiego do wprowadzenia stanu wojennego i pomagać logistycznie polskiemu MSW w przygotowaniach do tej operacji.

Jak znacząca była to pomoc?

Bez zagranicznych dostaw granatów z gazem łzawiącym, amunicji, ale też bielizny dla funkcjonariuszy przeprowadzenie stanu wojennego byłoby dużo trudniejsze. Gros tej pomocy logistycznej – *stricte* wojskowo-milicyjnej – pochodziło właśnie z NRD. Pamiętajmy też, że NRD dostarczała 20 proc. ▶

▶ Lech Wałęsa przy bramie Stoczni Gdańskiej, 3 października 1980 roku; zdjęcie wykonał obywatel NRD Andreas Ciesielski, w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych zarejestrowany przez Stasi jako „Andreas” i „Josef”



wszystkich urzędzeń podsłuchowych w Polsce, które w stanie wojennym były niezbędne do namierzania radiostacji podziemnej Solidarności. Te enerdowskie urzędzenia cieszyły się w MSW znakomitą opinią.

Kierownictwo partyjno-państwowe PRL z jednej strony potrzebowało więc tej pomocy i musiało dbać o dobre relacje z NRD, ale z drugiej strony wiedziało, że enerdowcy chcą zbierać w Polsce informacje. Części osób pozwolono rozmawiać z dyplomatami i politykami z NRD i przekazywać im pewne dane, ponieważ traktowano to jako mało szkodliwe. Jeśli jednak te rozmowy nabierały charakteru, który mógłby zagrażać tandemowi Kiszczak-Jaruzelski, to takie nieożądane osoby były później w elegancki sposób dymisjonowane.

Oficjalnie SB i Stasi były „bratnimi służbami”.

Służby z założenia nie mają przyjaciół, służby są tylko obce. To, że MSW i MfS miały czasem wspólne interesy i je realizowały, nie oznacza, że sobie ufano i nie walczone przeciwko sobie. Ambasada PRL w Berlinie Wschodnim była podsłuchiwana. Polscy robotnicy kontraktowi w NRD

bywali namawiani przez Stasi do współpracy. Potrafili jednak poskarżyć się ambasadzie PRL, a ta natychmiast informowała MSW, które ze swej strony również oferowało tym ludziom współpracę. Bo przecież nie tylko służby NRD podejmowały działania na terenie Polski – było też odwrotnie. Polska miała ponadto ambicję rozwijać własne siatki wywiadowcze w RFN, co niekoniecznie podobało się w Berlinie Wschodnim.

Wspólne operacje Stasi i MSW były prowadzone w pewnym sensie po to, żeby udowodnić kierownictwu politycznemu, że jednak jakaś współpraca jest. Jeżeli jechał przemyt przez NRD, to zdarzały się prośby ze strony polskiej, żeby go kontrolować, ale oficjalnie nie zauważyć. Zwalczano przewóz do PRL nielegalnego sprzętu radiowego. Ważne dla SB było również ustalanie dokładnego miejsca pobytu poszukiwanych działaczy Solidarności, którzy znaleźli się na terenie Republiki Federalnej Niemiec. MSW liczyło w tej sprawie na pomoc służb NRD, bo wychodziło z założenia, że są tam lepiej umocowane. Czym rewanżowała się SB? Jeśli np. w podziemnym polskim czasopiśmie pojawiał się krytyczny artykuł o Niemieckiej Republice Demokratycznej, napisany przez obywatela NRD, to natychmiast były podejmowane działania zmierzające do ustalenia tożsamości autora i jego nazwisko przekazywano stronie wschodniemieckiej.

Kilka lat temu media ogłosiły, że w latach osiemdziesiątych w Polsce było aktywnych pięciuset agentów Stasi.

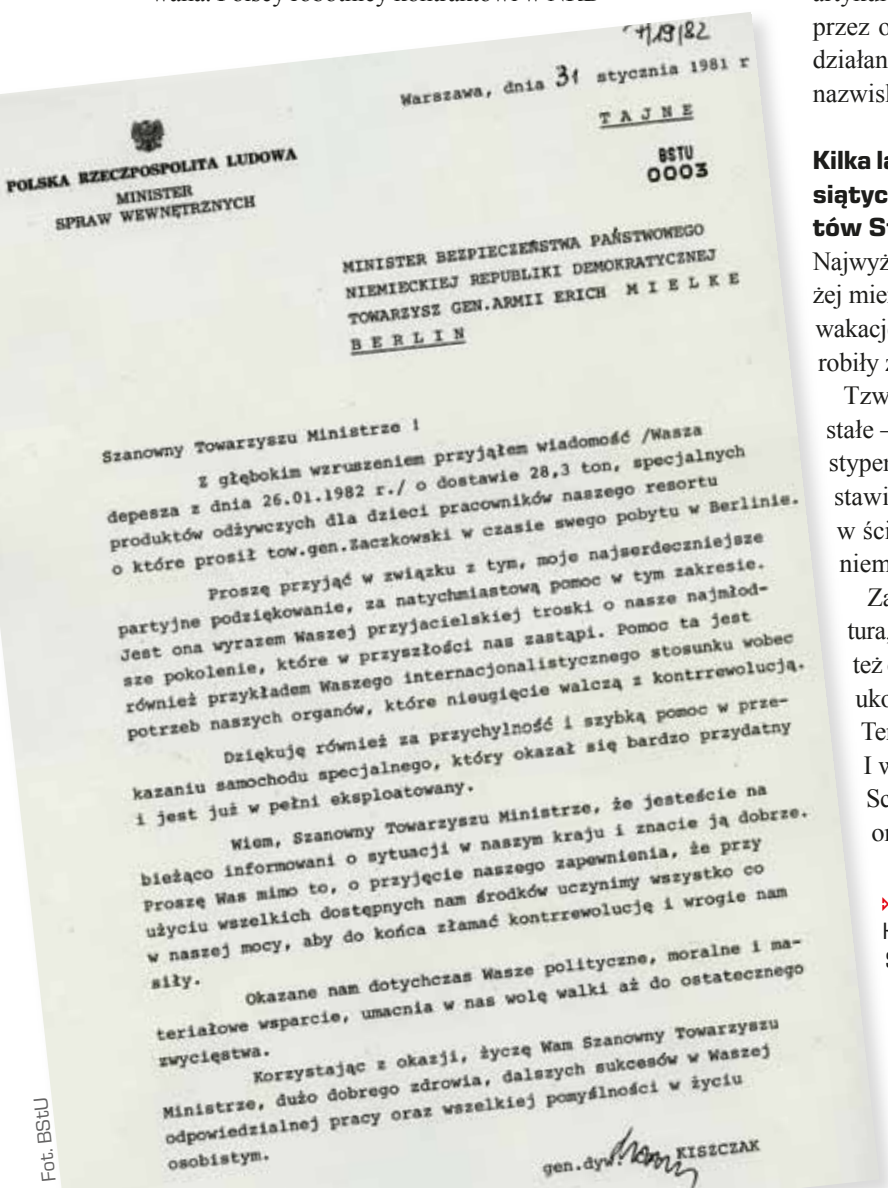
Najwyższa podawana w literaturze liczba to nawet 1500. W dużej mierze były to jednak osoby, które np. spędzały w Polsce wakacje i przy tej okazji rozmawiały ze znajomymi Polakami, robiły zdjęcia czy zbierały ulotki.

Tzw. rezydentów – osób przebywających w Polsce na stałe – było już tylko kilkudziesięciu. Byli to np. studenci, stypendyści, pracownicy ambasady czy niemieckich przedstawicielstw kulturalnych. Zajmowali się nie tylko Polską w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz także np. donoszeniem na innych obywateli NRD.

Zaledwie około dziesięciu osób to tzw. operatorzy – agencja, z którą nie tylko można porozmawiać, ale której można też coś zasugerować. Najbardziej znani to pracownicy naukowi o pseudonimach „Henryk” oraz „Detlef Schröder”. Ten ostatni obracał się w kręgach trójmiejskiej opozycji. I właśnie to zdekonspirowało go przed SB. Z kolei „Dr. Schreiber” pomagał w infiltracji Solidarności w Poznaniu oraz Berlinie Zachodnim. „Holger Werner” utrzymywał zaś kontakt z ks. Henrykiem Jankowskim. Czy jednak była to agencja mogąca pomóc w wywieraniu realnego wpływu na opozycję? Można w to wątpić.

► Pismo gen. Czesława Kiszczaka do szefa Stasi gen. Ericha Mielke; błędna data w prawym górnym rogu – rok 1981 zamiast 1982 – to przypadkowa pomyłka

Do tego dochodzą jeszcze tzw. oferenci – np. pracow-



nik polskiego wywiadu, niezadowolony ze swojej sytuacji w pracy, pomijany w awansach i wylewający swoje żale. Nie dostarczał jednak Stasi żadnych dokumentów. Co więcej, cały czas prezentował w gruncie rzeczy postawę własnego rządu.

To znaczy, że Stasi nie potrafiła zapewnić sobie w Polsce trwałego źródła wartościowych informacji?

Podstawowym celem tajnej służby jest nie tylko zrozumienie środowiska, w którym się jest, ale również próba wpływu na to środowisko. Stasi miała problem nawet z tym pierwszym.

W planie dla Grupy Operacyjnej Warszawa na rok 1987 najważniejszym wydarzeniem jest II Kongres Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Pielgrzymka Jana Pawła II pojawia się gdzieś dalej, a Solidarności w ogóle nie ma, choć toczyły się już wówczas sondażowe rozmowy władz PRL z opozycją. Można zadać pytanie, jaki jest wobec tego cel służby wywiadowczej. Czy chce się ona dowiedzieć, co się dzieje w PRON-ie, albo wpływać na PRON? Jeśli tak, świadczy to o skrajnej nieznamomości realiów życia politycznego w PRL, gdzie rzeczywistość władza należała w tym czasie do duetu Jaruzelski–Kiszczak. Prawdą jest, że Stasi próbowała podchodzić do Jaruzelskiego, ale się to nie udało, ponieważ osoby z jego otoczenia, do których starano się zbliżyć, były dość wyczulone.

Mimo to rezydentura Stasi w PRL miała dostęp do naprawdę interesujących informacji. Często jednak był to materiał jednostronny. Rozmówcami ambasady NRD w Warszawie byli głównie zaawansowani wiekowo funkcjonariusze PZPR. Ich punkt widzenia na sytuację w PRL był absolutnie inny niż szeregowego członka Solidarności. Owszem, po sierpniu 1980 roku Stasi podjęła również akcję „Besinnung”, starając się rozpracować polską opozycję. Postawiono jednak na ilość, a nie jakość. Sięgnięto po wszystkich agentów, którzy jeździli kiedyś do PRL. Wysyłano ich tam ponownie i kazano rozmawiać ze znajomymi Polakami. To, co słyszeli, było często interesujące. Ale enerdowscy oficerowie, którzy analizowali ten materiał, nie byli w stanie wyjść ze swojego ideologicznego gorsetu. Moja teza jest więc taka, że z punktu widzenia sowieckiego KGB Stasi w Warszawie pełniła jedynie funkcję dostarczyciela nieopracowanych informacji.

Wspomniał Pan o rozpracowywaniu przez Stasi polskiej opozycji. Z materiałów, które widziałem, wynika, że np. rozpracowanie Lecha Wałęsy pozostawiało wiele do życzenia.

Polegało tylko na tym, żeby znaleźć dowody jego „kontrowersyjności”. Wychodzą z założenia, że cała polska opozycja – i ta bardziej radykalna, i ta umiarkowana – jest równie niebezpieczna. Stasi poszukiwała więc przede wszystkim kolejnych dowodów potwierdzających tę tezę. Był to problem nie tyle tajnych współpracowników i ich oficerów prowadzących, ile funkcjonariuszy wyższego szczebla. Na poziomie kierowniczym nie dało się przewyciężyć utartych schematów myślowych.

Pod tym względem polskie MSW było lepsze. Kiedy porównuje się polskie raporty na temat sytuacji politycznej w NRD i wschodniemieckie na temat PRL, to są to intelektualnie inne ligi. Departament I MSW był przekonany, że to tylko kwestia czasu, kiedy dojdzie do przesilenia politycznego, i że zjednoczenie Niemiec jest nieuniknione.

W materiałach Stasi – przynajmniej tych, które trafiały do najważniejszych osób w państwie – nie ma tymczasem równie śmiałych tez. A przecież część tajnych współpracowników Stasi, którzy pracowali np. w ambasadzie NRD w Warszawie, to były osoby o olbrzymiej wiedzy, znające język polski i potrafiące dostrzec już w 1987 czy pierwszych miesiącach 1988 roku, że dojdzie w Polsce do porozumienia władzy z częścią opozycji, bo kraj znajduje się w fatalnej sytuacji gospodarczej. Przywódcy NRD nie przygotowali się jednak na taki scenariusz. Do końca ludzili się też, że sytuacja w ich kraju jest stabilna.

Honecker chętnie się, że opozycja w NRD właściwie nie istnieje.

Enerdowcy chcieli opozycję zniszczyć, nie zwracając uwagi na nastroje społeczne. Polskie MSW również traktowało opozycję jako wroga, ale wychodziło z założenia, że z tym wrogiem trzeba żyć – czasami warto wesprzeć jednego opozycjonistę, a innego przesunąć na boczny tor. Dzięki temu w 1989 roku peerelowska opozycja mogła się stać partnerem w rozmowach Okrągłego Stołu.

Co więcej, już od 1983 roku polski wywiad zaczął się interesować opozycją w NRD – tą samą, której według Stasi właściwie nie było. Próbowano z nią rozmawiać, świadomie tolerowano obecność na terytorium PRL enerdowskich dysydentów.

Powszechnie przyjęło się uważać, że to Stasi była najlepszą po KGB służbą obozu wschodniego, a służby PRL działały nieudolnie.

Taki obraz wyłania się z pierwszych badań i przede wszystkim publicystyki lat dziewięćdziesiątych, a nawet następnej dekady. Moim zdaniem, to mit.

Franciszek Szlachcic, w roku 1971 minister spraw wewnętrznych PRL, we wspomnieniach *Gorzki smak władzy* zacytował swoją rozmowę z Ericchem Mielke. Szefer Stasi tłumaczy, że wie, co robią, co mówią i gdzie się znajdują jego obywatele. Ale jego to nie interesuje, bo on chce wiedzieć, co myślą. Jeśli jakaś instytucja ma takie ambicje, to musi upaść – musi zawalić się pod ciężarem danych, które zbiera. Sztuką jest oddzielanie informacji ważnych od nieważnych. Stasi miała z tym olbrzymi problem. Potrafiono np. otworzyć postępowanie przeciwko komuś, kto miał breloczek z amerykańską flagą. MSW było na tym tle ministerstwem dużo bardziej elastycznym. Walczyło z opozycją i Kościołem, dochodziło nawet do morderstw politycznych – ale jednocześnie część kierownictwa resortu miała instynkt samozachowawczy. W Stasi – może poza szefem Głównego Zarządu Wywiadu, Markusem Wolfem – tego instynktu nie widać. 🍷

Przeciwko osobom zaangażowanym w działalność opozycyjną (lub uznaną za taką przez władze) aparat bezpieczeństwa prowadził wielorakie działania. Nie inaczej było w przypadku Ludwika Dorna.

Ludwikiem Dornem, w 1976 roku studentem Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Służba Bezpieczeństwa interesowała się z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że zaangażował się w obronę dwóch kolegów represjonowanych przez władze PRL: Stanisława Kruszyńskiego studiującego w Lublinie i Jacka Smykały ze Szczecina. Nawiasem mówiąc, dzisiaj powody ich szykanowania mogą budzić zdziwienie, jednak – o czym warto pamiętać – prawie czterdzieści lat temu, za czasów „dobrego” I sekretarza Edwarda Gierka, zdarzały się takie wypadki. Obaj studenci byli mianowicie represjonowani za poglądy, w dodatku wyrażane raczej w bardzo wąskim gronie. W przypadku Kruszyńskiego chodziło bowiem o prywatne listy, a w przypadku Smykały – o wypowiedzi podczas dyskusji prowadzonych w czasie zajęć na uczelni.

Wracając do Dorna, kolejnym powodem rozpracowywania go przez bezpiekę było jego zaangażowanie w pomoc osobom represjonowanym po robotniczych protestach w czerwcu 1976 roku oraz kolportowanie na uniwersytecie „Komunikatu”, wydawanego przez opozycyjny (choć działający jawnie) Komitet Obrony Robotników. Jakby tego było mało, „miał czelność” poskarżyć się prokuraturze na zachowanie wobec niego funkcjonariuszy podczas jego wyjazdów (16 i 23 września 1976 roku) do Radomia w charakterze obserwa-

tora organizowanych przez władze procesów uczestników wydarzeń z czerwca. Wówczas to był dwukrotnie zatrzymywany (wraz z koleżankami i kolegami, m.in. Antonim Macierewiczem, współzałożycielem KOR), łżony i bity. Za pierwszym razem – jak to opisywano na łamach „Komunikatu” – obrażano go antysemitkami wyzwiskami, bito go po żebrach i duszono, za drugim zaś „był bity pałąk w gołe pięty”. W obu przypadkach nie podano przyczyny zatrzymania, a funkcjonariusze starali się przesłuchiwanym zastraszyć i wprowadzali w błąd odnośnie do własnych uprawnień.

Dorna zaczęto rozpracowywać 13 października 1976 roku, początkowo w ramach kwestionariusza ewidencyjnego (zob. G. Majchrzak, *Kwestionariusz na niepokornych*, „Pamięć.pl” nr 7/2012), a następnie sprawy operacyjnego rozpracowania i ponownie (od sierpnia 1986 roku – ze względu na brak informacji o jego zaangażowaniu opozycyjnym po jego ujawnieniu się we wrześniu 1983 roku) kwestionariusza ewidencyjnego pod kryptonimem „Baum”. Wcześniej, w grudniu 1975 roku, Dorna wytypowano na kandydata na tajnego współpracownika. Oczywiście, do werbunku, ze względu na jego zaangażowanie opozycyjne, nie doszło. Działania przeciwko niemu w ramach sprawy „Baum” zakończono 10 lutego 1988 roku ze względu na – jak stwierdzono w uzasadnieniu – brak „danych świadczących o aktywnej działalności antypaństwowej” Dorna od 1983 roku.

W dniu, w którego pochodzi prezentowany meldunek, w działaniach prowadzonych przeciwko Dornowi wykorzystywano trzech agentów (dwóch tajnych współpracowników i jeden kontakt operacyjny), podsłuch telefoniczny i perlustrację (czyli kontrolę i cenzurę) korespondencji. A ponadto zastrzeżono mu wyjazdy zagraniczne. Środki, z których korzystała SB (konkretnie Komenda

Stołeczna MO, a następnie Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych), zmieniły się. Ludwika Dorna spotkały szykany nie tylko ze strony Służby Bezpieczeństwa i milicji, lecz także innych instytucji. Między innymi Komisja Dyscyplinarna Uniwersytetu Warszawskiego za list otwarty z 22 listopada 1976 roku „Studenci, uniwersytety, chwila obecna” ukarała go naganą z upomnieniem. Działania te jednak (podobnie jak szykany wobec niego ze strony innych instytucji) nie przyniosły oczekiwanych rezultatów – Ludwik Dorn angażował się w kolejne przedsięwzięcia opozycji zarówno przed sierpniem 1980 roku, jak i w „solidarnościowym karnawale” czy w stanie wojennym i kolejnych latach.

Warto wspomnieć, że oddzielnie Służba Bezpieczeństwa interesowała się nim, z nieznanых powodów, w latach 1984–1985. Wówczas to jednak – jak wynika z zachowanych akt – w ramach sprawy operacyjnej (bez kryptonimu) ograniczono się do zebrania danych na jego temat, głównie związanych z jego zatrudnieniem w 1981 roku w Ośrodku Badań Społecznych Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”.

Prezentowany obok meldunek operacyjny z października 1976 roku, zawierający informację o powodach rozpoczęcia rozpracowania, zachował się w aktach rozpracowania Ludwika Dorna, pod sygnaturą IPN BU 0258/130 (tom 1, karty 36–37). 📄

dr Grzegorz Majchrzak
– historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej; ostatnio wydał (wspólnie z Janem Mariuszem Owińskim) *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy*, tom 2 (2013)



W grudniu 1975 roku jeden z 218 sygnatariuszy listu do sejmu PRL przeciwko planowanym zmianom w konstytucji, uczestnik akcji zbierania podpisów pod tym listem wśród studentów i pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego, od lipca 1976 roku współorganizator pomocy dla represjonowanych robotników Ursusa i Radomia, od września 1976 roku współpracownik Komitetu Obrony Robotników, drukarz i kolporter pism niezależnych

Informacja uzyskana w trakcie działań operacyjnych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa

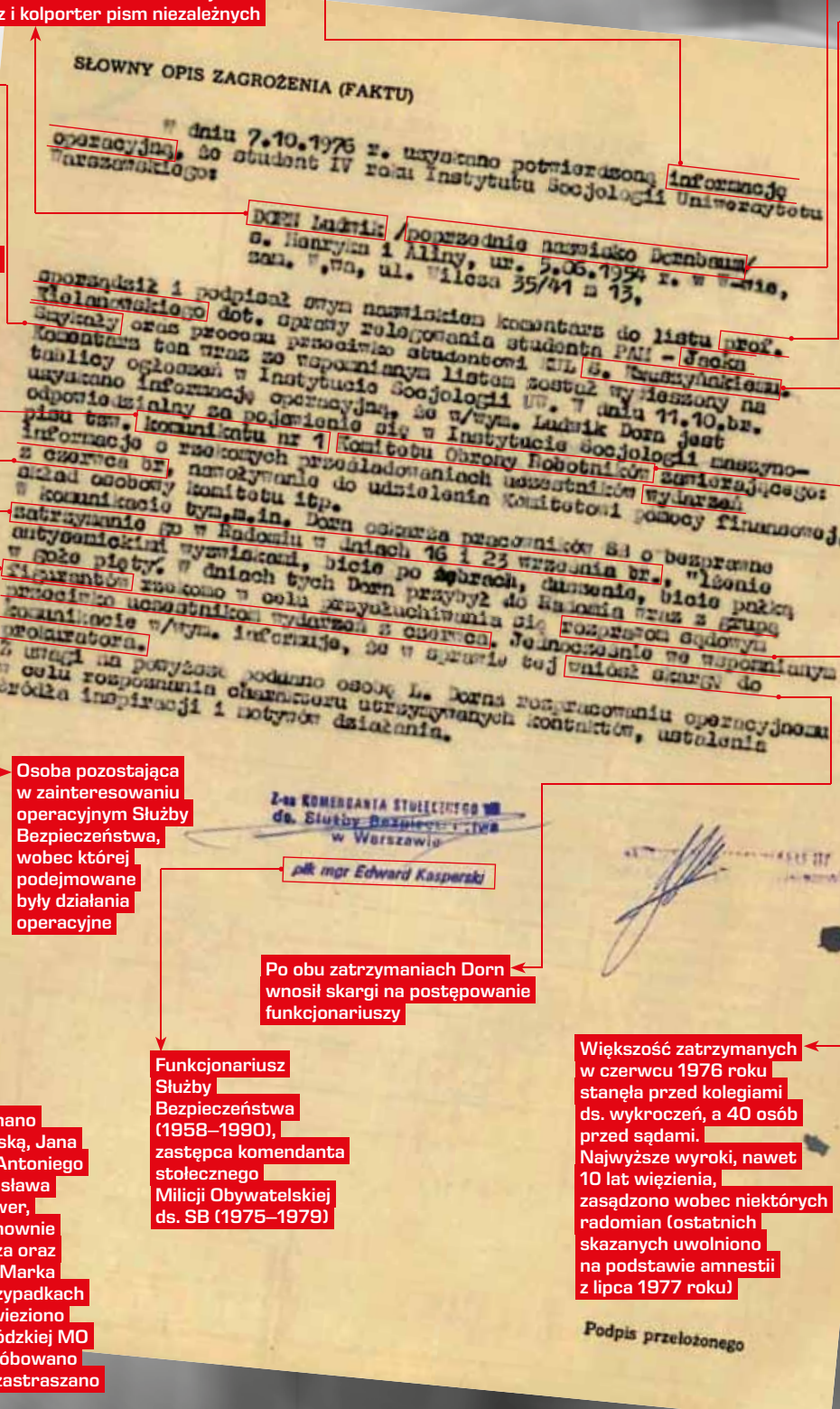
Ojciec Ludwika, Henryk, pochodził z asymilującej się rodziny żydowskiej z Tarnopola, działał w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i Komunistycznej Partii Polski, wojnę przeżył dzięki ucieczce do Kazachstanu – (pozostała część rodziny zginęła w Holokauście), po powrocie do kraju wykładowca marksizmu i leninizmu, po odejściu od komunizmu właściciel zakładu optycznego

Student Pomorskiej Akademii Medycznej, wyrzucony z uczelni w grudniu 1975 roku (z inspiracji SB i przy wykorzystaniu jej danych); bezpośrednią przyczyną jego usunięcia była krytyka peerelowskich władz wyrażana podczas dyskusji w trakcie zajęć o wydarzeniach z lat 1956, 1968 i 1970

„Komunikat” nr 1 – pierwszy numer pisma wydawanego przez Komitet Obrony Robotników nosił datę 29 września 1976 roku; do 30 listopada 1980 roku ukazało się ich 46; pierwsze numery były przepisywane na maszynie przez kalkę

Chodzi o protesty z 25 czerwca 1976 roku, kiedy robotnicy blisko stu zakładów pracy na terenie 24 województw wystąpili przeciwko znaczącym podwyżkom cen; najtragiczniejszy przebieg miały protesty w Płocku, Ursusie i Radomiu

16 września zatrzymano Dorna, Zofię Krajewską, Jana Tomasza Lipskiego, Antoniego Macierewicza, Stanisława Puzyńkę i Zofię Winawer, a tydzień później ponownie Dorna i Macierewicza oraz Grażynę Jaglarską i Marka Tomczyka; w obu przypadkach zatrzymanych przewieziono do Komendy Wojewódzkiej MO w Radomiu, gdzie próbowano ich przesłuchiwać i zastraszano



SŁOWNY OPIS ZAGROZENIA (FAKTU)

"dnia 7.10.1976 r. uzyskano potwierdzoną informację operacyjną, że student IV roku Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego:

DORNA Ludwik /poprzednie nazwisko Dobnau/ s. Henryka i Aliny, ur. 5.06.1954 r. w Warszawie, sam. W, wa, ul. Wilcza 35/41 m 13,

sporządził i podpisał swój nazwiskiem komentarz do listu prof. Zielenieckiego dot. sprawy relegowania studenta PAN - Jacek Komitarsa ten wraz ze wspomnianym listem został wydany na tablicy ogłoszeń w Instytucie Socjologii UW. W dniu 17.10.76. uzyskano informację operacyjną, że w/wym. Ludwik Dorna jest odpowiedzialny za pojawienie się w Instytucie Socjologii naszego pisu tzw. „komunikatu nr 1 Komitetu Obrony Robotników” maszynowo- z czerwca br., namotywanie do udziału w uczestnictwie w wydarzeniach osobowy Komitetu itp.

W komunikacie tym, m.in. Dorna oskarża pracowników SB o bezprawne zatrzymanie go w Radomiu w dniach 16 i 23 września br., o bezprawne antysemickie wyzwiscania, bicie po głowach, dżaszanie, bicie pośladki w gołe plecy; w dniach tych Dorna przybył do Radomia wraz z grupą współpracowników w celu przyłapania się rozpracowania sądowego pracownika uczestnika wydarzenia z czerwca. Jednocześnie we wspomnianym komunikacie w/wym. informuje, że w sprawie tej wnioskował o areszt do z uwagi na powyższe podano osobę L. Dorna rozpracowaniu operacyjnemu w celu rozpoznania charakteru utrzymywanych kontaktów, ustalenia źródła inspiracji i motywu działania.

Z-ca KOMENDANTA STOLECZNEGO ds. Służby Bezpieczeństwa w Warszawie
płk mgr Edward Kasperki

Osoba pozostająca w zainteresowaniu operacyjnym Służby Bezpieczeństwa, wobec której podejmowane były działania operacyjne

Po obu zatrzymaniach Dorna wnosił skargi na postępowanie funkcjonariuszy

Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa (1958–1990), zastępca komendanta stołecznego Milicji Obywatelskiej ds. SB (1975–1979)

Większość zatrzymanych w czerwcu 1976 roku stanęła przed kolegami ds. wykroczeń, a 40 osób przed sądami. Najwyższe wyroki, nawet 10 lat więzienia, zasądzono wobec niektórych radomian (ostatnich skazanych uwolniono na podstawie amnestii z lipca 1977 roku)

Jan Kielanowski – profesor zootechniki, założyciel i dyrektor Instytutu Fizjologii i Żywienia Zwierząt Polskiej Akademii Nauk w Jabłonie, członek Polskiej Akademii Nauk, w grudniu 1975 roku sygnatariusz Listu 59 przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji

Stanisław Kruszyński – student Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; tymczasowo aresztowany, a następnie oskarżony o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących wyrządzić poważną szkodę interesom PRL” – chodziło m.in. o jego postulat „zdelegalizowania PZPR jako największego bankruta politycznego 1000-letniej Polski”; te „fałszywe wiadomości” znalazły się w jego listach do żony, brata i kolegi

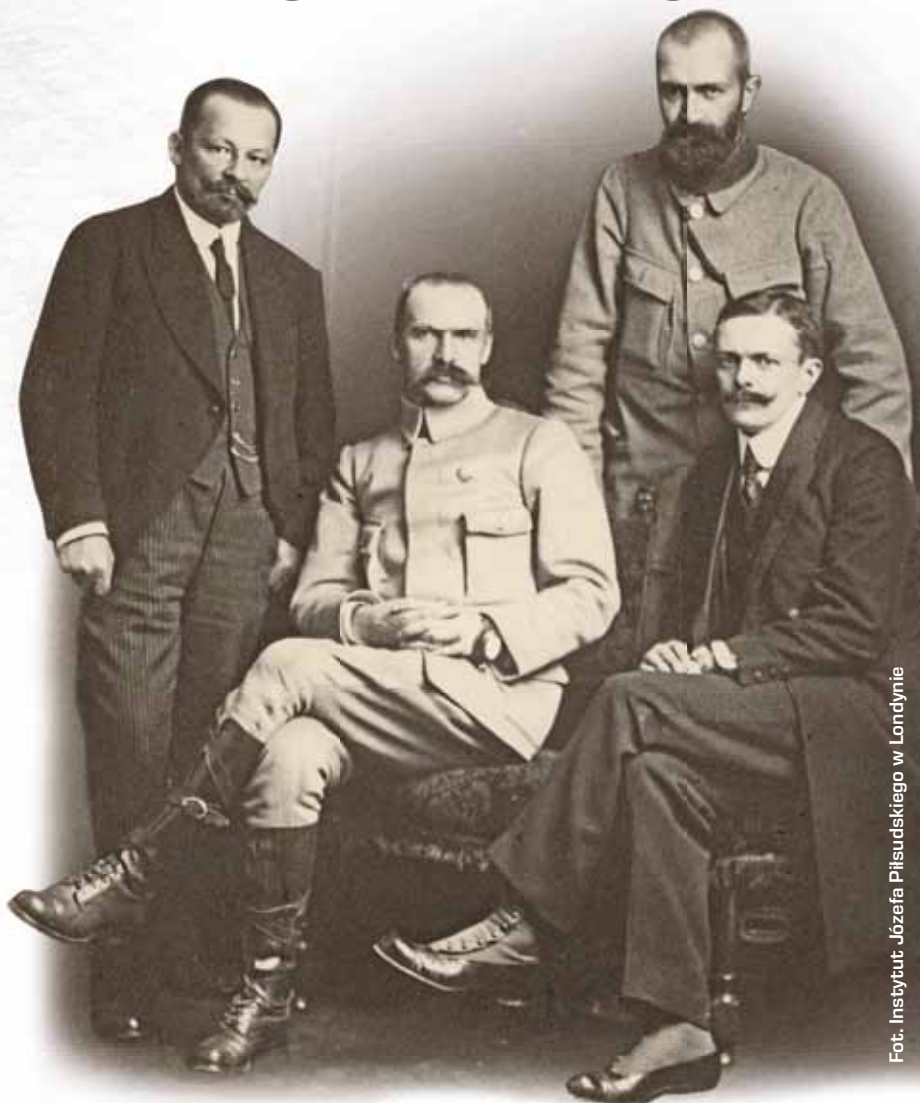
Organizacja utworzona w celu niesienia pomocy robotnikom i ich rodzinom represjonowanym po Czerwcu 1976; o jej powstaniu poinformowano 23 września 1976 roku

Podpis przełożonego

Czterej premierzy terroryści

Maciej Żuczkowski

„Mój drogi! Niegdyś obiecywałeś mi, że napiszesz śliczny nekrolog, gdy diabli mnie wezmą. Teraz gdy idę na wyprawę, z której może nie wrócę, posyłam Ci swoją kartkę. [...] Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa. [...] Moneta! Niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak, jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u dzieciinniałego z tchórzostwa społeczeństwa polskiego, bo przecie jej nie mam, a mieć muszę dla celów zakreślonych”. Tak w lecie 1908 roku Józef Piłsudski, w swoim nieformalnym testamencie, uzasadniał Feliksowi Perlowi „Folkowi” sens przygotowywanej przez siebie akcji pod Bezdunami, która faktycznie zamykała jego zaangażowanie w rewolucję 1905 roku.



Fot. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie

Kryzys gospodarczy, ucisk polityczny oraz przegrana wojna z Japonią to główne przyczyny rewolucji 1905 roku w Cesarstwie Rosyjskim. Szczególnie burzliwy przebieg miała ona na terenie dawnego Królestwa Polskiego (oficjalnie zwanego od 1874 rokiem Krajem Przywiślańskim), w czym znaczny udział miała Organizacja Bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej (OB PPS). Pierwsze jej wystąpienie zbrojne miało miejsce 13 listopada 1904 roku na pl. Grzybowskiem w Warszawie, gdzie oddział „beków”, jak w partyjnym żargonie nazywano członków OB, przeciwstawił się żandarmom usiłującym rozbić demonstrację patrio-

► Józef Piłsudski (siedzi z lewej) ze swymi współpracownikami (od lewej): Hipolitem Śliwińskim, Walerym Sławkiem i Michałem Sokolnickim; Wiedeń, 1915 rok

tyczną. Był to pierwszy od czasu stłumienia Powstania Styczniowego przypadek walki Polaków z bronią w ręku przeciwko przedstawicielom władzy rosyjskiej. Za nim w niedługim czasie poszły kolejne...

„Pozbawili znaczenia policję”

Przez kolejne trzy lata Organizacja Bojowa PPS toczyła z różnym natężeniem „wojnę” z caratem. Z uwagi na ogromną dysproporcję sił, miała ona charakter partyzancki – grupa kilku, rzadko kilkunastu i więcej „beków” wykonywała z doskonałości zlecone im przez kierownictwo organizacji

zadanie, a następnie starała się rozplątać w tłumie. Działania te szły przede wszystkim w dwóch kierunkach: zdobywania pieniędzy niezbędnych do dalszej działalności samej partii i OB (akcje ekspropriacyjne, czyli wywłaszczeniowe, zwane popularnie „eksami”) oraz likwidowania przedstawicieli władz carskich i ich współpracowników (polskich i rosyjskich). Do najbardziej znanych „eksów” z lat 1905–1907 należy zaliczyć: zorganizowaną przez Józefa Mireckiego „Montwiłła” akcję pod Rogowem (8 listopada 1906 roku) i wykonany pod dowództwem Tomasza Arci-

szewskiego „Stanisława” napad na urząd pocztowy przy ulicy Wspólnej w Warszawie (22 lutego 1907 roku). Do najgłośniejszych zamachów należały natomiast „krwawa środa” (15 sierpnia 1906 roku), tj. przeprowadzona w kilkunastu miastach i miasteczkach Królestwa seria zamachów na przedstawicieli carskiej ochrony, policji oraz ich współpracowników (zginęło kilkudziesięciu Rosjan i Polaków), jak również nieudany zamach na generał-gubernatora warszawskiego Georgija Skafona. Jak słusznie zauważył Piłsudski, działalność Organizacji Bojowej „pozbawiła znaczenia policję” oraz – co było wówczas znacznie istotniejsze – uratowała ideę zbrojnej walki przeciwko Rosjanom.

Począwszy od wiosny 1907 roku dał się jednak zauważyć stopniowy zmierzch nastrojów rewolucyjnych w społeczeństwie polskim. Było to związane zarówno z pewnymi ustępstwami cara Mikołaja II, odbieranymi powszechnie jako – drobne co prawda, ale jednak – sukcesy rewolucji, surowymi represjami powszechnie zastosowanymi przez premiera Piotra Stolypina, jak też ze społecznym zmęczeniem wydarzeniami ostatnich trzech lat. Uważny obserwator, którym był Piłsudski, postanowił w tej sytuacji – jak pisał jego biograf Władysław Pobóg-Malinowski – „zakończyć działalność bojową jakimś mocnym akordem, który by pozostawił po sobie wielki efekt moralny dla bojowców, efekt, który by musiał zrodzić przekonanie, że działalność bojowa nie kończy się wcale wskutek wyczerpania i braku sił, lecz że przerywa się ją celowo – przerywa się z myślą o ponownym podjęciu walki w późniejszych, bardziej sprzyjających okolicznościach. Z drugiej strony chodzić Piłsudskiemu musiało o osiągnięcie efektu materialnego, tj. o zdobycie jakichś większych środków pieniężnych dla zapewnienia możliwości dalszych przygotowań do wznowienia w przyszłości ruchu zbrojnego”. Realizacją tych zamierzeń miała się stać akcja bojowa pod Bezdanami.

Od Kijowa do Bezdan

Wobec znacznie utrudnionych przez ochronę i wojsko warunków działania OB na terenie byłego Królestwa, jej ściśle kierow-

nictwo, czyli Wydział Bojowy (wówczas w składzie: Piłsudski „Mścisław”, Arciszewski i Mirecki; po aresztowaniu tego ostatniego do Wydziału Bojowego weszli Włodzimierz Helman „Justyn” i Edward Gibalski „Franek”), zdecydowało o przeprowadzeniu „pożegnalnej” akcji, o której myślał „Mścisław”, w głębi Rosji. Początkowo podjęto przygotowania do skoku na bank w Kijowie, gdzie zamierzano zdobyć skarbiec filii banku państwowego, w którym – według posiadanych informacji – przechowywano sumy nierzadko sięgające kilkudziesięciu milionów rubli. Mimo że ostatecznie z akcji tej zrezygnowano, warto przedstawić dwie koncepcje tego skoku, świadczą one bowiem o pomysłowości członków OB PPS. W pierwszej zamierzano wykorzystać fakt, że skarbiec znajdował się bezpośrednio pod kotłownią, obok której w małym pokoju na stałe mieszkał palacz. Zaplanowano, że jeden z „beków” obejmie tę funkcję, a następnie „ożeni się”. W czasie „wesela” „młodzi” we współpracy z „gośćmi” przepalą kratę i rozpoczną stopniowe wynoszenie pieniędzy. Resztę, której by się nie udało wynieść, zamierzano wysadzić. Niestety, śmiały plan spalił na panewce, bo akurat posada palacza była zajęta. Alternatywna wersja planu zakładała wykonanie podkopu pod bank z sąsiedniej posiadłości, która akurat była na sprzedaż. Na zakup zabrakło jednak pieniędzy.

Prawdopodobnie w październiku 1907 roku, wobec braku perspektyw na przeprowadzenie akcji w Kijowie, Piłsudski zwrócił uwagę na Wileńszczyznę. Znał tam



▶ Tomasz Arciszewski „Stanisław”



Fot. NAC

▶ Józef Piłsudski przed 1910 rokiem

wielu ludzi i orientował się w stosunkach panujących na tym terenie. Tamtejsza policja była też znacznie mniej czujna niż na Ukrainie. Początkowo „Mścisław” swoją koncepcją podzielił się jedynie z Aleksandrem Prystorem „Bohdanem” i razem z nim zaplanował, na razie bardzo ogólnie, zamach na pociąg przewożący pieniądze na trasie Wilno–Petersburg. Napad musiał zostać przeprowadzony w pobliżu tego pierwszego miasta, bo w nim zaplanowano zaplecze całej akcji. Pierwsza wówczas stacja kolejowa za Wilnem (w kierunku Petersburga) – Wilejka – jako duży węzeł kolejowy i miasto robotnicze nie wchodziła w grę. Zdecydowano się więc na kolejną, położoną wśród lasów ułatwiających odwrót – Bezdany. O tym, jak dużą wagę do tej akcji przywiązywał Piłsudski, niech świadczy fakt, że jej kierownictwo wzięł na siebie, o czym w już cytowanym liście do „Felka” pisał: „tylem ludzi na to posłał, tylem przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą, nie posyłał ich jedynie jako narzędzia na brudną robotę, zostawiając sobie czystą”. Dla Piłsudskiego miał to być debiut w akcji z „bronią w ręku”.

Śnieg i brak pieniędzy

Po uzyskaniu akceptacji Wydziału Bojowego rozpoczęto prowadzone dwutorowo przygotowania. Oprócz zbierania informacji potrzebnych do zorganizowania i przeprowadzenia napadu na pociąg podjęto działania mające na celu zdobycie ▶

Fot. NAC



► Akcja OB PPS pod Rogowem, 1906 rok

niezbędnych do tej akcji środków finansowych (potrzebnych m.in. na prowadzenie akcji wywiadowczej na terenie Wileńszczyzny, wynajęcie niezbędnych mieszkań, bryczkę czy wreszcie na wyżywienie i bilety kolejowe dla „beków”), co – jak się później okazało – było najtrudniejszą częścią całej operacji. Z kłopotami finansowymi borykano się przez cały okres przygotowywania akcji, udało się je przezwyciężyć dopiero w sierpniu 1908 roku, głównie dzięki sprzedaży nadwyżek broni z magazynów w Berlinie i Wiedniu oraz kilku pomniejszych „eksom” zrealizowanym od października 1907 roku do końca lutego 1908 roku, które przyniosły w sumie około 38 tys. rubli.

Wiadomości zbierane w pierwszym okresie – początkowo przez „Mścislawa” i „Bohdana”, do których wkrótce dołączyły Aleksandra Szczerbińska „Ola” (później druga żona Piłsudskiego) oraz małżonka Prystora Janina „Bohdanowa” – pozwoliły ustalić, że akcja jest wykonalna, lecz z powodu dużych śniegów trzeba ją przesunąć na wiosnę 1908 roku. Potem brakowało pieniędzy i lokali, przez co przesunięto termin aż na wrzesień.

Po kilku tygodniach żmudnych i ostrożnych obserwacji udało się ustalić, że największe kwoty są wysyłane z Wilna do Petersburga ostatnim pociągiem w każdy wtorek i sobotę, w tych bowiem dniach pociąg miał ochronę wojskową, na tyle jednak nieliczną, że nie uniemożliwiała

skoku. Ponieważ część pieniędzy wywoził w poniedziałki kurier, zdecydowano się na sobotę, logicznie zakładając, że po czterech dniach sumy powinny być największe. Starano się uzyskać informacje o sposobie przewożenia pieniędzy i ich zabezpieczenia w czasie transportu. Udało się jednak dowiedzieć tylko tyle, że ochrona znajduje się w oddzielnym wagonie. Szczególną uwagę poświęcono starannemu obmyśleniu i przygotowaniu drogi odwrotu, jak bowiem uczyło doświadczenie z poprzednich akcji, było to najważniejszą i najtrudniejszą częścią planu.

Wygląd „kulturalniejszy” i „mniej kulturalny”

Po przezwyciężeniu wszystkich trudności, na przełomie sierpnia i września 1908 roku na zebraniu Wydziału Bojowego „Mścislawa” przedstawił plan akcji, w której miało wziąć udział dziesięć „beków” (ostatecznie wzięło udział siedemnastu), podzielonych na trzy grupy:

– pierwsza, pod kierownictwem „Stanisława”, licząca sześciu ludzi, miała rzucić bombę i stoczyć walkę z eskortą pociągu;

– druga, dowodzona przez „Mścislawa”, licząca czterech „beków”, początkowo miała pełnić rolę rezerwy dla grupy pierwszej, a następnie działać w samym wagonie pocztowym i brankardzie;

– trzecia, pod przewodnictwem Walegiego Sławka „Gustawa”, złożona z ośmiu osób, miała opanować stację, zniszczyć te-

lefon i telegraf, unieruchomić i unieszkodliwić służbę kolejową oraz zapanować nad przypadkowymi pasażerami.

Starannie zaplanowano zarówno dotarcie bojowców na miejsce akcji, jak i późniejszy odwrót. I tak czterech „beków” pod dowództwem „Gustawa” miało w Wilnie wsiąść do pociągu, na który zamierzano napaść, i po drodze ustalić siłę eskorty oraz stwierdzić, czy w wagonach znajdują się inne osoby mogące udzielić jej pomocy (oficerowie, żandarmi itp.); druga grupa (trzech „beków”) miała w okolicy Bezdán dotrzeć bryczką, przywożąc ze sobą materiały wybuchowe i niezbędne narzędzia; trzecia, dziesięcioosobowa, na miejsce zbiórki miała dotrzeć z Wilna na piechotę. Odnośnie do odwrotu ustalono, że wykonawcy akcji będą się wycofywać w trzech kierunkach. Co interesujące, przy ustalaniu trasy postanowiono kierować się wyglądem zewnętrznym „beków”; i tak „inteligenci” i robotnicy o „kulturalniejszym” wyglądzie mieli się pod dowództwem „Justyna” cofać łodziami do Wilna, ci „o wyglądzie mniej kulturalnym” pod dowództwem „Stanisława” na piechotę w kierunku Kien, „Mścislawa” zaś wraz z dwoma towarzyszącymi mu „bekami” miał wraz z pieniędzmi wycofywać się bryczką do specjalnej bazy pieniężnej. Akcji postanowiono ponadto nadać charakter „niepolski”, nakazując jej uczestnikom porozumiewanie się tylko po rosyjsku lub „żydowski”. Na wszelki wypadek ustalono hasło: „kto idiot?” i odpowiedź: „komuna”; trzeba przyznać, że z dzisiejszej perspektywy brzmiące dość sugestywnie.

„Bombowa” paczka śledzi

Termin przeprowadzenia akcji Piłsudski wyznaczył na 19 września 1908 roku, kilka dni po tej dacie należało się bowiem spodziewać powrotu z manewrów garnizonu wileńskiego. Tego dnia do akcji jednak nie doszło, ponieważ wskutek zgubienia drogi i problemów z bryczką wszyscy jej uczestnicy dotarli w bezpośrednią okolicę Bezdán zaledwie 15 minut przed planowym przyjazdem pociągu, a jeszcze trzeba było zająć stanowiska na stacji... W tej sytuacji „Mścislawa” zdecydował o przełożeniu akcji na kolejną sobotę.

Tydzień później, 26 września 1908 roku, wykorzystując doświadczenie poprzedniego tygodnia, wyruszone odpowiednio wcześniej, dzięki czemu zajęcie pozycji wyjściowych przebiegło niemal zgodnie z planem. Niemał, bo wskutek nieszczęśliwego wypadku Aleksander Lutze-Birk „Stefan I” poparzył się amoniakiem. Mimo to zdecydował się uczestniczyć w akcji. Nie obyło się także i tym razem bez krótkotrwałego błądzenia po okolicy Bezdán, ale ostatecznie wszyscy uczestnicy zajęli miejsca na stacji na długo przed przyjazdem pociągu. Objuczony bombą „Fratek” zdążył nawet nawiązać flirt z młodą kobietą, który jednak przerwał mu wjeżdżający na stację pociąg... Zgodnie z planem, jeszcze zanim lokomotywa się zatrzymała, „Fratek” wrzucił do wagonu eskorty dwie bomby przez okno, które wcześniej wybił inny „bek”. Wyleciały wszystkie szyby, zgasły wszystkie światła. Tak jak zakładano, eksplozje odebrały żandarmom chęć do walki (w wyniku wybuchu zginął jeden z nich) i umożliwiły grupie „Stanisława” opanowanie pociągu, przy czym nie obyło się bez krótkotrwałej strzelaniny i kilku „mocniejszych” rosyjskich słów... W tym samym czasie zespół „Gustawa” opanował sytuację na peronie oraz w budynku stacji, gdzie Kazimierz Młynarski „Wicek” uspokoił opornych przy pomocy browninga w prawej ręce i... paczki śledzi w lewej (były one zawinięte w gazety w taki sposób, że z zewnątrz wyglądały na bombę sporych rozmiarów). Za unieruchomienie pociągu odpowiadał „Stefan I”. Jako że założony przez niego na torach ładunek wybuchowy nie eksplodował, przy pomocy browninga i petardy „nakłonił” on obsługę lokomotywy do przejścia do poczekalni, gdzie czuwał „Wicek”. Chwilę później mało brakowało, by został zastrzelony przez „Justynę”, nie udzielił bowiem żadnej odpowiedzi na jego pytanie: „kto idiot?”. Szczęśliwie dla niego „Justyn”, znakomity strzelec, tym razem spudłował...

Dopiero w tym momencie do działania w wagonie pocztowym przystąpił „Mścislaw” wraz ze swoją grupą, do której na własną rękę dołączył „Stanisław”. Jak sam wspominał: „Możemy przystąpić do wagonu. Podeszliśmy z Justynem – abso-

lutnie nikogo nie było widać. Środkowy przedział oświetlony. Rozbite wszystkie szyby. Justyn zwrócił mi uwagę, abym szedł w cieniu. Podeszliśmy do drzwi-czek. Powiedziałem, żeby wagon otworzyli, w przeciwnym wypadku rzucimy bombę. Głos wystraszył: »my sdajomsia, my strielat’ nie budiem!«. Oświadczyłem, że będę liczył do dziesięciu, o ile nie otworzą – rzucę bombę (mieliśmy przy sobie tylko broń). Liczyłem bardzo wolno, bo słyszałem już odsuwanie rygli. Nie doliczyłem – drzwi otworzyli...”. Podobna sytuacja jak w wagonie pocztowym miała miejsce w brankardzie, gdzie „Stefan I” wprawdzie musiał użyć dynamitu, aby sforsować drzwi wejściowe, a następnie zagrozić konduktorom użyciem bomby, by zmusić ich do wyjścia z podniesionymi rękoma.

Przez kolejne ponad pół godziny grupa „Mścislawa” (pięciu „beków”) „pracowała” w wagonie pocztowym, a „Stefan I” wraz z oddanym pod jego kierownictwo „Stefanem II” (Janem Balagą) – w brankardzie, nad wybieraniem przesyłek zawierających większe kwoty pieniędzy.

Punktualnie o godzinie 23.45, czyli 45 minut po rozpoczęciu akcji, na rozkaz „Mścislawa” została ona zakończona. Według jednej z legend związanych z akcją pod Bezdánami w tym momencie jeden z „beków”, Czesław Świrski „Adrian”, pochodzący z książęcego rodu, miał stanąć przed Piłsudskim i zameldować mu o zakończeniu akcji... Mówiono o nim później jako o pierwszym żołnierzu niepodległej Polski.

Odwrót do Wilna wszystkich grup, pomimo pewnych komplikacji, przebiegł w zasadzie zgodnie z planem. Jedyne „Stanisław”, obarczony dodatkowo workiem pieniędzy, wskutek nieszczęśliwego wypadku był zmuszony wycofywać się

samotnie. Pomimo starannego zaplanowania tras odwrotu z Wilna, następnego dnia w pociągu został aresztowany jeden z uczestników akcji. Dzięki ścisłemu przestrzeganiu zasad konspiracji jego zatrzymanie nie pociągnęło za sobą żadnego zagrożenia dla pozostałych „beków” oraz dla pieniędzy, o które osobiście troszczył się „Mścislaw”. W sierpniu 1909 roku władzom rosyjskim udało się jednak postawić przed sądem dwóch uczestników akcji bezdąńskiej. Początkowo skazano ich na karę śmierci, którą po apelacji zamieniono na dożywotnią katorgę. Bojowcy powrócili z niej dopiero po upadku caratu.

Akcję w Bezdánach, podczas której zdobyto ponad 200 tys. rubli, bez wątpienia należy uznać za dowód sprawności OB PPS i za „mocny akord”, o którym myślał Piłsudski. Zbudowała ona w dużym stopniu jego legendę, nie tylko jako znakomitego organizatora, lecz także odważnego wykonawcy. Skok na pociąg, oprócz tego że przyniósł konkretne pieniądze, stał się ważnym „kapitałem zakładowym” dopiero co powstałego Związku Walki Czynnej. Na koniec warto zauważyć, że w akcji bojowej pod Bezdánami oprócz Piłsudskiego, którego znaczenie w najnowszej historii Polski trudno przecenić, uczestniczyło kilku innych wówczas wybitnych „beków”, a później... premierów II Rzeczypospolitej: Tomasz Arciszewski (premier Rządu RP na uchodźstwie w latach 1944–1947), Aleksander Prystor (Prezes Rady Ministrów w latach 1931–1933) oraz Walery Sławek (trzykrotny Prezes Rady Ministrów w latach: 1930, 1930–1931 i 1935).

Maciej Żuczkowski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

► Stacja kolejowa w Bezdánach

Fot. Fot. A. Zawistowski





Katastrofa w Cytadeli warszawskiej dziełem przypadku, czy zamachu?
Według władz wojskowych wybuch spowodował przypadek.
(Telefogram od naszego korespondenta.)
Warszawa, 14 października. O 9.00 w godzinach porannych, w czasie ćwiczeń, w pobliżu Cytadeli, nastąpił wybuch, który spowodował śmierć 28 osób i rany 160. W gazetach drukowano listy rannych i adresy placówek, które ich przyjmowały. O 13.15 na krótkim posiedzeniu zebrał się sejm. Obradowało także Prezydium Rady Ministrów. Premier Wincenty Witos w wydanym oświadczeniu powiedział: „Zbrodnica ręka dokonała w dzisiejszym dniu zamachu w stolicy Państwa przez wysadzenie w powietrze prochowni w Cytadeli warszawskiej. [...] Po próbach terroru przez rzucanie bomb w różnych miastach Polski i zamachach na urzędników kolejow...

Wybuch w Cytadeli

Elżbieta Szumiec-Zielińska

Minęło 90 lat od eksplozji, która wstrząsnęła przedwojenną Warszawą. Do dziś nie ma pewności, czy był to zamach inspirowany przez komunistów.

W 1923 roku sytuacja polityczna w Polsce była napięta. Wprawdzie została już uregulowana kwestia granic, ale krajem targwały konflikty wewnętrzne. Zdelegalizowana w 1919 roku Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, inspirowana przez sowiecką rezydenturę w Polsce, prowadziła akcję agitacyjną i dywersyjną, która miała osłabić odradzające się państwo. W różnych miastach Polski odnotowano zamachy bombowe. Na 3 maja sowieccy agenci OGPU planowali zamach na Józefa Piłsudskiego i przebywającego w Polsce marszałka Francji Ferdinanda Focha. Ładunek miał eksplodować na pl. Saskim podczas obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. W ostatniej chwili wycofano się z tego pomysłu. Jednak trzy tygodnie później, 24 maja, bomba eksplodowała w lokalu Bratniej Pomocy na Uniwersytecie Warszawskim. Zginął wówczas prof. Roman Orzęcki. Terrorysty zaatakowali też redakcje „Gazety Warszawskiej” i „Rzeczpospolitej”. Jednak najtragiczniejsza była eksplozja w Cytadeli Warszawskiej.

Wielki wybuch

W sobotni rano 13 października 1923 roku o 9.00 Warszawę wstrząsnęła potężna eksplozja. Jak informował popołudniowy „Kurier Warszawski”, „[...] wybuch nastąpił w prochowni centralnej składowa amunicji, mieszczącej się obok Pawilo-

nu X. W pobliżu zniszczonej prochowni znajdował się drugi skład materiałów wybuchowych, lecz ten ocalał. Dwa skrzydła X Pawilonu były zburzone do połowy. Górne piętra się zawaliły. Pozrywane zostały dachy. Runęły stajnie wojskowe. Na miejscu wysadzonej prochowni powstał dziesięciometrowy lej”.

Niemalże natychmiast drogi prowadzące do Cytadeli zostały obstawione przez policję. Rozpoczęła się akcja ratownicza. Komendę nad nią objął dowódca 28. dywizji piechoty, gen. bryg. Mieczysław Norwid-Neugebauer. Porządek na terenie Cytadeli utrzymywały trzy plutony żandarmerii. Na pl. Gwardii został zorganizowany główny punkt opatrunkowy. Drugi, mniejszy, usytuowano w koszarach 21. pułku piechoty. Kto żyw, ruszył z pomocą. Wkrótce pojawiła się straż ogniowa. Z noszami przybyli słuchacze Wojskowej Szkoły Sanitarnej. Szpitale skierowały do pomocy lekarzy i sanitariuszki. W X Pawilonie Cytadeli mieszkało około 50 rodzin oficerów i podoficerów. Wielu ludzi pracowało w warsztatach przy prochowni. Pierwsze informacje mówiły o około 30 zabitych i 400 rannych. Później podano, że zginęło 28 osób, rany odniosło 160. W gazetach drukowano listy rannych i adresy placówek, które ich przyjmowały. O 13.15 na krótkim posiedzeniu zebrał się sejm. Obradowało także Prezydium Rady Ministrów. Premier Wincenty Witos w wydanym oświadczeniu powiedział: „Zbrodnica ręka dokonała w dzisiejszym dniu zamachu w stolicy Państwa przez wysadzenie w powietrze prochowni w Cytadeli warszawskiej. [...] Po próbach terroru przez rzucanie bomb w różnych miastach Polski i zamachach na urzędników kolejow...

skrawym wyrazem bezwzględnej walki z państwowością polską – walki prowadzonej od długiego czasu na różnych polach życia państwowego”. W czasie, kiedy nastąpił wybuch, prezydent Stanisław Wojciechowski przebywał na Wileńszczyźnie. Tuż po powrocie do Warszawy był już na miejscu katastrofy, odwiedził także przebywających w szpitalu rannych.

O tym, jak potężna była siła wybuchu, świadczy także wydarzenie, które miało miejsce nad Wisłą, w pobliżu Cytadeli. Rano żołnierze 30. pp wyszli na ćwiczenia. Byli mniej więcej 200 metrów od prochowni, kiedy dwudziestu z nich podmuch powietrza wrzucił do rzeki. Wskutek wybuchu ucierpiała kolonia oficerska na Żoliborzu. Pozrywane były dachy, powybijane okna i powyrywane drzwi. Ranni byli zarówno mieszkańcy, jak i robotnicy zatrudnieni przy wykańczaniu domków. Natychmiast przybyło tam dwudziestu saperów, którzy mieli zapanować nad chaosem. Zniszczone były także budynki na Pradze, po drugiej stronie Wisły. Szyby wypadły w dopiero co odbudowanym Gimnazjum im. Władysława IV. Przesunięte zostały ceglane konstrukcje helmów wieży kościoła św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika. Zdecydowano, że zostaną one zdjęte. Zniszczone zostały witraże i zegar na wieży kościoła. Obawiając się, że zaistniała sytuacja spowoduje wzrost cen szkła okiennego, Komisariat Rządu podał do wiadomości, że kupcy, którzy będą sprzedawali szyby po wygórowanych cenach, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności sądowej na podstawie ustawy o zwalczaniu lichwy. Towar zaś miał zostać zarekwirowany. Zapas szkła okiennego znajdujący się w składach został zapieczętowany.

Straszny wybuch prochowni w Warszawie.

Mnóstwo rannych i zabitych. Zamach dziełem komunistów?

Warszawa, 13 października (G). Dział 10 godz. 5, a straszył o godz. 8:30 jako wstrząsł milionem polskiej ludz. Pękła w całym mieście wieloletnia prochownia, w której w magazynie znajdowało się 14 ton prochu. W chwili wybuchu straszył 1400 osób, z których 100 zostało rannych, a 10 zabitych. W chwili wybuchu straszył 1400 osób, z których 100 zostało rannych, a 10 zabitych.

13 października w Warszawie.

Lista rannych. — Głosy o strasznym wybuchu.

W chwili wybuchu straszył 1400 osób, z których 100 zostało rannych, a 10 zabitych. W chwili wybuchu straszył 1400 osób, z których 100 zostało rannych, a 10 zabitych.

Pogrzeb z honorami

Następnego dnia po katastrofie, w niedzielę, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych liczni dyplomaci akredytowani w Warszawie złożyli kondolencje władzom polskim i rodzinom ofiar. Depeszę przesłał papież Pius XI (Achille Ratti – były nuncjusz apostolski w Polsce) i japoński attaché obrony major Naozaburo Okabe, który ponadto przekazał rodzinom ofiar 20 mln marek polskich. Ze wsparciem finansowym pospieszyli także przedstawiciele Francji, Anglii i Finlandii. Rząd Witosa jeszcze w sobotę wyasygnował na doraźną pomoc 500 mln marek polskich, a wojsko w ciągu kilku dni zebrało ponad 109 mln marek. Pieniądze i dary rzeczowe przekazywali mieszkańcy Warszawy. W listopadzie, na specjalnej konferencji prasowej, poinformowano, że udało się zebrać ponad 8 mld marek polskich. 7 listopada 1923 roku wydano zarządzenie, aby odbudować prawe skrzydło X Pawilonu. Skrzydło lewe, zamieszkałe przez rodziny żołnierzy, miało zostać wyremontowane później. Plany te nie zostały jednak zrealizowane.

Szukanie winnych

Żandarmeria wojskowa i policja natychmiast wszczęły śledztwo mające ustalić przyczyny eksplozji. Do prasy wyciekły zeznania szer. Juszcza z 36 pp, który w sobotę stał na warcie w pobliżu prochowni. Miał on zeznać, że na kilka minut przed 9.00 zobaczył robotnika, który po wyjściu z prochowni zapalił papierosa. Żołnierz nakazał mu zgasić papierosa. Robotnik papierosa nie wyrzucił, lecz palcem przygasił i prawdopodobnie schował do kieszeni. Chwilę później, kiedy robotnik wszedł do laboratorium, w oknach błysnął płomień, a potem nastąpił wybuch. Juszcza został przysypany gruzem, ale zdołał się spod niego wydostać.

Pojawiła się również teoria, że doszło do samoczynnego zapalenia prochu. Ministerstwo Spraw Wojskowych twierdziło, że prochownia była kontrolowana w dniach 18–27 sierpnia i nie uważano, aby proch był w złym stanie. Generał brygady Kazimierz Pławski, zastępca szefa Departamentu Artylerii i Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych, stwierdził, że bez najmniejszej obawy spowodowania wybuchu mogły wejść do każdej takiej prochowni z zapalonym papierosem i ręczy za ich całość.

Jednak winnych szukano też gdzie indziej. Podejrzenia padły na komunistów. Rozpoczęły się aresztowania. Pewien trop, a właściwie nie nieznaczący incydent poprowadził śledczych do więzienia przy ul. Dzielnej w Warszawie. Od

kilku miesięcy przebywali tu dwaj oficerowie Wojska Polskiego: por. Walery Bagiński, wykładowca znajdującej się na terenie Cytadeli Centralnej Szkoły Zbrojmistrzów, i ppor. Antoni Wieczorkiewicz, oficer Ekspozytury II Oddziału Sztabu Generalnego DOK IV w Krakowie. Kiedy w sobotni poranek w prochowni wybuchło czterdzieści wagonów włoskiego prochu, oni – według świadków – stanęli na baczność i odśpiewali rewolucyjny *Czerwony sztandar*. Przed laty obaj oficerowie należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej, jednak wkrótce po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wstąpili do Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Bagiński należał do Wydziału Wojskowego, który był odpowiedzialny za działalność agitacyjno-dywersyjną wśród żołnierzy. On i Wieczorkiewicz zostali aresztowani na początku sierpnia 1923 roku na podstawie zeznań Józefa Cechnowskiego. Był to aktywista komunistyczny, który – skruszony – rozpoczął współpracę z policją. 30 czerwca Cechnowski skontaktował się z nadkomisarzem Józefem Piątkiewiczem z policji



...nie było na niego...
...nie było na niego...
...nie było na niego...



► Starszy przodownik Józef Muraszko – zabójca domniemanych zamachowców

politycznej i poinformował go o planowanych przez komunistów zamachach terrorystycznych. Mieli nimi kierować Bagiński i Wieczorkiewicz.

Surowa kara

Rozprawa przeciwko nim rozpoczęła się 20 listopada 1923 roku. Wyrok ogłoszono dziesięć dni później. Oficerów uznano za winnych udziału w stowarzyszeniu, które utworzono w celu m.in. „uszkodzenia przez wybuch dróg żelaznych Rzeczypospolitej Polskiej i ich taboru w celu spowodowania rozbicia pociągów, uszkodzenia przez wybuch pomieszczeń instytucji rządowych w Państwie Polskim i uszkodzenia przez wybuch zamieszkałych budynków rządowych oraz takich budynków niezamieszkalnych, o których wiedzieli, że w nich są ludzie i że grozi im niebezpieczeństwo”. Zarzucano im także, że przygotowali w lipcu 1923 roku materiały wybuchowe, które miały zniszczyć budynki Powiatowej Komendy Uzupełnień w rejonach: Sosnowiec, Będzin i Katowice, oraz materiały do uszko-

dzenia torów i pociągów między Krakowem, Toruniem i Radomiem. Uznawano ich za winnych udziału w podłożeniu bomby na Uniwersytecie Warszawskim 24 maja 1923 roku oraz podłożenia ładunku pod budynek Powiatowej Komendy Uzupełnień w Białymstoku i Częstochowie. Sąd skazał oficerów na karę śmierci przez rozstrzelanie, utratę praw, wydalenie z wojska i degradację. Porucznik Bagiński został również pozbawiony przyznanego mu za udział w wojnie polsko-bolszewickiej krzyża Virtuti Militari. Wkrótce po zakończeniu procesu, 6 grudnia 1923 roku, poselstwo sowieckie w Warszawie zwróciło się polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o umieszczenie Bagińskiego i Wieczorkiewicza na liście osób do wymiany. Strona polska nie była jednak zainteresowana wymianą więźniów.

Wyrok na Bagińskiego i Wieczorkiewicza spotkał się z krytyką. Zajął się nim specjalna komisja sejmowa kierowana przez posła PPS Adama Pragiera. Uznała ona, że zeznania złożone przez Józefa Cechnowskiego były niewiarygodne. Posłowie stwierdzili też, że większość zeznań została spreparowana przez nadkomisarza Piątkiewicza, który widział w tej sprawie szansę na awans. Na kolejnej rozprawie Najwyższy Sąd Wojskowy zakwestionował udział skazanych w zamachu na Uniwersytet Warszawski. Ostateczny wyrok, podtrzymujący karę śmierci, zapadł 4 kwietnia 1924 roku. Miesiąc później, 7 maja, na posiedzeniu Komitetu Politycznego Rady Ministrów Władysław Grabski zakomunikował, że prezydent Stanisław Wojciechowski „postanowił ułaskawić skazanych za działalność terrorystyczną na karę śmierci oficerów Wojska Polskiego, Bagińskiego i Wieczorkiewicza, wychodząc z założenia, że za czysto polityczne zbrodnie nie ma w obowiązującym w b. Kongresówce kodeksie karnym kary śmierci, a jakkolwiek zamach, który spowodowałby straty w życiu ludzkim, nie został im udowodniony ponad wszelką wątpliwość”. Bagińskiemu zamienił karę

śmierci na dożywotnie więzienie, Wieczorkiewiczowi zaś na 15 lat więzienia. Równocześnie Grabski powiedział, że rząd sowiecki zwrócił się z propozycją niewykonywania kary śmierci i wymiany Bagińskiego i Wieczorkiewicza na polskich skazańców w ZSRR. Komitet Polityczny wypowiedział się za odrzuceniem tej propozycji, uważając za niewłaściwą interwencję obcego rządu w sprawę należącą do polskiego wymiaru sprawiedliwości oraz stojąc na stanowisku, że zgoda na wymianę wytworzyłaby u osób prowadzących akcję antypaństwową poczucie bezkarności.

Niemalże w tym samym czasie, kiedy Stanisław Wojciechowski podejmował decyzję o ułaskawieniu skazańców, oni – według prasy – mieli szykować się do ucieczki z Wojskowego Więzienia Śledczego przy ul. Dzikiej 19. W ostatniej chwili jedna z osób zaangażowanych w ucieczkę zdradziła plan władzom więzienia. Wcześniej szer. Dąbrowski, przynoszący posiłki do części oficerskiej więzienia, dostarczył do celi Bagińskiego rewolwer ukryty w chlebie. Odnaleziono go podczas przeprowadzonej w nocy rewizji. Mówiło się też, że broń była dostarczana w częściach w paczkach żywnościowych, które otrzymywali więźniowie. W połowie maja Bagiński został odesłany do więzienia w Rawiczu, Wieczorkiewicz zaś trafił do Wronek.

Samosąd przodownika Muraszki

Najprawdopodobniej w lutym 1925 roku władze polskie zmieniły stanowisko w sprawie wymiany więźniów. Warszawa zaprzagnęła wymienić Bagińskiego i Wieczorkiewicza na 22 Polaków więzionych w ZSRR. 26 marca ustalono ostatecznie, że zostaną oni wymienieni na przetrzymywanego w Moskwie polskiego konsula w Tyflisie – Jerzego Łaskiewicza oraz ks. Bronisława Ussasa. Wymianę zaplanowano na niedzielę 29 marca 1925 roku. Miała ona nastąpić na stacji Kołosowo, niedaleko miasteczka Stołpcę. W tym samym wagonie towarowym, w którym jechali więźniowie, przebywali także starosta



W 1947 r. w Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...
 W Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...
 W Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...



Fot. NAC

▶ Józef Muraszko w drodze na salę rozpraw, 1925 rok

stołpecki Stefan Zajączkowski, dwaj urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych i eskorta policyjna. W Stołpcach do pociągu wsiadł starszy przewodnik Józef Muraszko i zaproponował Zajączkowskiemu pomoc w eskortowaniu Bagińskiego i Wieczorkiewicza. Około 16.00 Muraszko niespodziewanie oddał w kierunku więźniów kilka strzałów z rewolweru. Według świadków, strzelał spoza pleców policjantów, którzy półkolem otaczali więźniów. Muraszko miał wówczas powiedzieć, że zabijając Wieczorkiewicza i Bagińskiego, spełnił akt sprawiedliwości dziejowej wobec tych, którzy dopuścili się najcięższej zbrodni wobec ojczyzny. Dwudziestodwuletni Józef Muraszko został zatrzymany i osadzony na wileńskich Łukiszkach. Rząd polski zaraz po otrzymaniu wiadomości o tych wydarzeniach powiadomił o tym Stanisława Kętrzyńskiego, naszego posła w Moskwie, ministra pełnomocnego. Miał on zakomunikować o incydencie rządowi sowieckiemu.

Proces Muraszki rozpoczął się 22 października 1925 roku przed Sądem Okręgowym w Nowogródku. Po wysłuchaniu aktu oskarżenia Muraszko powiedział: „Przyznaję się do zastrzelenia dwóch

wściekłych psów”. Jak dowodził prokurator Michał Kaduszkiewicz, wina oskarżonego polegała na tym, że „zarządzeniem rządu polskiego przeciwstawił własny sąd”. Z kolei – według prokuratora Kazimierza Rudnickiego – „czyn Muraszki naraził Polskę na zarzut bezprawia i samowoli, i przyniósł krzywdę państwu i społeczeństwu polskiemu”. Muraszko został skazany na dwa lata specjalnego domu poprawczego. Na poczet odbywanego wyroku zaliczono czas, który spędził w areszcie. Sąd argumentował, że Muraszko działał „w stanie silnego wzburzenia duchowego” i kierowały nim pobudki patriotyczne.

Pod koniec 1925 roku powrócono do sprawy wymiany więźniów. 30 grudnia Rada Ministrów przyjęła uchwałę w sprawie wymiany personalnej między Polską a ZSRR. Czytamy w niej: „Wymiana odbyła się częściowo 1 lutego 1925 r. i dla dokończenia jej strona sowiecka miała wydać 32 osoby, zaś strona polska 9. Z powodu zabójstwa Bagińskiego i Wieczorkiewicza zakończenie wymiany zostało przez stronę sowiecką wstrzymane; gdy po pewnym czasie układy zostały wznowione, zostało ustalone przez stronę polską i sowiecką, że wstępny warunkiem zakończenia

wymiany będzie wymiana dodatkowa 5 więźniów komunistów na 5 zakładników polskich”.


Pamięć i niepamięć

Polska Ludowa przypomniała sobie zarówno o Bagińskim, jak i o Wieczorkiewiczu. Ich imię otrzymała Oficerska Szkoła Uzbrojenia w Olsztynie. Było to 29 marca 1960 roku, w rocznicę ich śmierci. Cztery lata później, 12 września 1964 roku, w szkole odsłonięto pomnik patronów. Podczas uroczystości komendant placówki powiedział m.in.: „Nazwiska te są nierozdzielnie związane z rewolucyjną walką klasy robotniczej, z najpiękniejszymi tradycjami Ludowego Wojska Polskiego. Byli żołnierzami, za to, że bronili sprawy ludu polskiego, zapłacili najwyższą cenę – cenę życia. [...] Niech ten pomnik – wspaniałych ludzi, świadomych swych obowiązków wobec ojczyzny – przypomina nam żołnierzom prawdziwe dzieje umęczonej przeszłości. Niech te świetlane postacie będą nam natchnieniem, przykładem i wzorem w naszej codziennej nauce i pracy na rzecz obronności ludowej, na rzecz naszej gotowości bojowej”. Przemówienie zakończył wezwaniem, aby na pomniku nigdy nie zabrakło kwiatów.

Bagiński i Wieczorkiewicz byli także patronami ulic. W Warszawie przy ul. Walerego Bagińskiego miał siedzibę Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. O ile instytucja ta przestała istnieć w 1989 roku, o tyle nazwa ulicy przetrwała do 21 maja 1991 roku. Dziś jest to ulica gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, a w dawnej siedzibie GZP WP od 1991 roku mieści się Kuria Polowa Wojska Polskiego. Niezbadane bywają meandry historii. Nieco dłuższy był żywot ulicy Antoniego Wieczorkiewicza w Warszawie-Rembertowie. Była to ulica prowadząca do bramy głównej Akademii Sztabu Generalnego, przemianowanej w 1990 roku na Akademię Obrony Narodowej. Dopiero 25 maja 1998 roku zmieniono nazwę na Aleję Antoniego Chruściela „Montera”.

Elżbieta Szumiec-Zielińska – dziennikarka telewizyjna, reżyserka filmów dokumentalnych i programów TV

W Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...
 W Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...
 W Warszawie, 13 października (1) Tęci i gość...
 (Tęciom i gościom) ...



Konzentrationslager-Posen

Poligon doświadczalny Holokaustu

Daniel Rubiś

Fort VII zlokalizowany był na zachodnich peryferiach Poznania, z dala od wielkomiejskich arterii. Jednocześnie był niezbyt oddalony od siedziby miejscowych władz policyjnych i gestapo. Z nieodległej dzielnicy willowej wysiedlono ludność polską, przydzielając mieszkania funkcjonariuszom obozu, urzędnikom SS i gestapo. SS-Obersturmführer Herbert Lange uznał, że jest to doskonała lokalizacja do urządzenia pierwszego na terenie okupowanej Polski obozu koncentracyjnego, miejsca kaźni tysięcy Wielkopolan.

Ruch eugeniczny narodził się w Anglii za sprawą Francisa Galtona. Uznał on, że skoro zdolności mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenie, to państwo powinno mieć prawo do sterowania prokreacją ludzi i udoskonalania społeczeństwa. Kiedy w Europie dyskutowano o jego ideach, w USA lekarze nie czekali

na jakiegokolwiek podstawy prawne i z dużym rozmachem przystąpili do działania. Wysterylizowano bądź wykastrowano ok. 30 tys. osób określanych jako przestępcze i ułomne. Blokowano zawieranie małżeństw przez cierpiących na choroby zakaźne bądź genetyczne. Nowe prądy zyskiwały na popularności m.in. w krajach skandynawskich, a pierwszą usta-

wę o przymusowej sterylizacji przyjęto w Danii w 1929 roku.

Zabić darmozjadów!

Najżyźniejszy grunt dla eugeniki znalaziono jednak w Niemczech. W 1895 roku Alfred Jost zawarł w broszurze *Prawo do śmierci* pogląd, że państwo dla usprawnienia życia może zabijać swoich obywa-

teli. Podobne założenia miała publikacja znanego prawnika i rektora Uniwersytetu w Lipsku Karla Bindinga oraz psychiatry Alfreda E. Hocheho *Wydanie zniszczeniu istot niewartych życia* (1922).

Książką, o której również należy wspomnieć, jest *Zarys ludzkiej dziedziczności i higieny rasowej* autorstwa trzech teoretyków rasy: Erwina Baura, Fritza Lenza i Eugena Fischera. Tymi ideami interesował się Adolf Hitler. Po przejęciu przez niego władzy, już z początkiem 1934 roku, zaczęła obowiązywać ustawa, na podstawie której do 1944 roku wysterylizowano 400 tys. osób. Później jej postanowienia radykalizowano: w roku 1935 ustawowo dopuszczono zabijanie chorych psychicznie i innych „darmozjadów”. Rozwinięto propagandę eutanazyjną, w której wyliczano, jak wielkim obciążeniem dla państwa jest utrzymywanie nieuleczalnie chorych. W całą akcję zaangażowało się 350 lekarzy, w tym profesorowie uniwersyteccy.

W Polsce również toczyła się debata dotycząca eugeniki, ale jej zwolennikom – skupionym w Polskim Towarzystwie Eugenicznym – nie udało się przeforsować żadnych pomysłów. Rozwiązania niemieckie krytykował m.in. Witold Łuniewski, dyrektor szpitala w Tworkach: „Gdyby względy ekonomiczne miały decydować o losie psychicznie chorych, to daleko skuteczniejszym sposobem pozbycia się tych kosztów byłaby nie sterylizacja, lecz np. wytrucie lub rozstrzelanie wszystkich chorych” – argumentował. Nikt nie przypuszczał, że za kilka lat jego słowa staną się faktem...

Lekarz gazujący

W październiku 1939 roku Hitler podpisał z datą wsteczną (1 września) pismo sankcjonujące zagładę chorych. Odwoływano się do ideologii rasowej, ale decydowały też względy ekonomiczne. Prowadzenie wojny wymagało bowiem obniżenia wydatków na cele społeczne, a budynki szpitali doskonale nadawały się na wojskowe koszary.

Akcji masowego uśmiercania chorych nadano kryptonim „T4”, od siedziby centrali przy Tiergartenstraße 4 w Berlinie.

Na terenie III Rzeszy utworzono sześć ośrodków eksterminacyjnych, do których przewożono pacjentów, i tam ich mordowano w komorach gazowych. Kurek z gazem mógł odkręcić jedynie „lekarz gazujący”. Cała akcja trwała do 21 sierpnia 1941 roku i pochłonęła ok. 70 tys. ofiar. Jej zawieszenie było skutkiem protestów społecznych i apeli Kościoła. Mimo to akcję prowadzono do końca wojny w postaci tzw. dzikiej eutanazji: decyzje podejmowali dyrektorzy szpitali, a rodzina dzięki protekcji lub łapówkom mogła uchronić chorego od śmierci.

Nieco inaczej postępowano z dziećmi, które umieszczano w specjalnych sekcjach w szpitalach. Po kilkutygodniowej obserwacji i przeprowadzonych eksperymentach medycznych były one zabijane poprzez podanie fenobarbitalu lub morfiny. Zwłoki wykorzystywano do badań naukowych. W latach 1939–1945 na terenie III Rzeszy zabito w szpitalach co najmniej 5 tys. dzieci.

Cała akcja była precyzyjnie przygotowana, począwszy od selekcji i wytypowania chorych, przez podpisanie kwestionariusza przez profesora psychiatrii, następnie przewiezienie do odpowiedniego ośrodka, a na uśmierceniu kończąc. Nie zaniedbano niczego. Rodziny były informowane o przeniesieniu chorych do innych ośrodków, o leczeniu, następnie informowano o śmierci, a ciała poddawano kremacji. Jednakże ten bezduszny mechanizm mordowania, zanim nabral takiej precyzji i rozmachu, musiał zostać najpierw dopracowany. Doskonałym poligonem doświadczalnym stały się tereny pokonanej Polski, które zostały włączone do III Rzeszy.

Plan zagłady

Mordowanie pacjentów polskich szpitali rozpoczęło się już we wrześniu 1939 roku. Okupant postępował według ustalonego schematu. Usuwano polską dyrekcję, kierownika administracji oraz nadpielegniarza. Zwalniano następnie polską część personelu, chorym zabraniano opuszczania placówki. Tam, gdzie była rozwinięta pozazakładowa opieka rodzinna, nakazywano dostarczenie chorych do placówki.

Następnie sporządzano ich listę, którą wysyłano do Berlina. Ostatnim krokiem była skrytobójcza likwidacja.

Ślady zacierano jeszcze przed zabijaniem, mianowicie przewożono pacjentów między szpitalami, aby zniechęcić rodziny do śledzenia ich losów. Informowano następnie o ich zgonie i pochowaniu na przyszpitalnym cmentarzu. Posuwano się nawet do pobierania od rodzin opłat za miejsce na takim cmentarzu.

Zabijaniem chorych na terenie Kraju Warty zajmowała się specjalna jednostka złożona z kilkudziesięciu funkcjonariuszy tworzących SS-Sonderkommando Lange, która nazwę przyjęła od nazwiska dowódcy, Herberta Langego. Jednostka ta wchodziła w skład Einsatzgruppe VI, która odpowiadała za likwidację polskich elit w ramach operacji „Tannenberg”. Rozkazy przesyłano bezpośrednio z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

► Karcer w forcie





▶ Część naziemna Fortu VII (z lewej) i wejście główne, lipiec 1945 roku

Eksterminacja dotknęła pensjonariuszy placówek w Owińskach k. Poznania, Dziekance k. Gniezna, Kościanie, Kochanówku k. Łodzi, Warcie, Gostyninie, szpitala nr III w getcie łódzkim oraz zakładów opieki społecznej w Bojanowie, Śremie i Osiecznej.

Tylko o części z nich można powiedzieć, że były likwidowane w ramach akcji „T4”. Wynikało to z różnic w metodach masowego zabijania. Nie wszędzie zastosowano komory gazowe, które były charakterystyczne dla tej akcji (stacjonarne bądź przewożone na nadwoziach samochodów ciężarowych). Niemniej los wszystkich pacjentów był równie tragiczny i zakończył się ich zagładą.

Eksterminacja chorych

Pierwszym zadaniem, które otrzymał Lange, było zorganizowanie obozu koncentracyjnego w Forcie VII w Poznaniu. Po zlustrowaniu różnych obiektów, skompletował załogę i przygotował wybrane miejsce do przyjęcia więźniów. W połowie października oddał komendanturę nowemu dowódcy.

Szpitałem, który pierwszy został zlikwidowany, był Wojewódzki Zakład Psychiatryczny w Owińskach, w którym ulokowano później koszary SS. Gdy Lange pojawił się w nim pod koniec października, przebywało tam ok. 1100 osób. Niemiecki dyrektor poczynił już odpowiednie przygotowania. Najpierw przewieziono ponad stu niemieckich chorych do szpitala w Dziekance, a następnie rozpoczęto „przenoszenie” polskich pacjentów.

Chorzy byli wywożeni w październiku i listopadzie 1939 roku samochodami ciężarowymi krytymi brezentem. Zostali przebrani w swoje rzeczy, aby ich ubrania szpitalne nie pozwoliły na jakąkolwiek identyfikację. Tak wspominała „ewakuację” jedna z polskich pielęgniarek: „W baraku byli chorzy niedołążni, często niemogący chodzić, trzeba ich było do samochodu wnieść. Przy samochodzie chorych odbierali od nas żołnierze w mundurach SS, we furażerkach, którzy chorych do samochodu wręcz wrzucali, nie licząc się z tym, że chorzy mogą doznać szkody, albo skaleczyć się. [...] Były dwie siostry z Murowanej Gośliny w wieku 13 i 15 lat, bardzo niespokojne. Jednej z nich dano zastrzyk działający w ten sposób, że niosąc ją do samochodu pielęgniarka przypuszczała, że chyba pacjentka nie żyje. Druga siostra została skrupowana. [...] Widziałam wywożenie dzieci. Najmłodsze wynoszone były z oddziału po kilka w koszu na bieliznę, SS-mani kosze te wrzucali do samochodu”. Z kolei dr Zdzisław Jaroszewski tak relacjonował wywożenie najmłodszych: „Ostatnią partię stanowiły dzieci. Te wrywano nieraz płaczące z rąk pielęgniarek i wrzucano do wozów bez najmniejszych względów, przez szpary samochodów wypadały ręce i nogi dziecięce, na co SS-mani nie zwracali żadnej uwagi”.

Pierwsze transporty były kierowane do Fortu VII, w którym przerobiony bunkier nr 17 służył za komorę gazową – pierwszą na ziemiach polskich. Pacjentów wprowadzało kilku więźniów Fortu, uszczelniali oni następnie drzwi gliną i wracali do cel. Do wnętrza włączano

no tlenek węgla. Ciała zamordowanych więźniowie ładowali na samochody, a potem wywożono je do Lasów Rożnowskich w okolicach Obornik Wlkp. Szacuje się, że w ten sposób uśmiercono około trzystu osób, w tym pacjentów Kliniki Neurologiczno-Psychiatrycznej Uniwersytetu Poznańskiego.

Pozostali chorzy tracili życie w specjalnie dostosowanych, szczelnych samochodach. Do ich wnętrza doprowadzano tlenek węgla lub spaliny. Robiono to podczas jazdy lub po dojechaniu na miejsce grzebania zwłok. Pojazd był podobny do samochodu przewożącego meble, a dla niepoznaki na boku umieszczono nazwę sieci sklepów spożywczych „Kaiser’s Kaffee-Geschäft”. Był to nowy, skuteczny wynalazek służący eksterminacji ludzi.

Wkrótce podobny los spotkał 1200 pacjentów Dziekanki. Wielkim zaskoczeniem była postawa dotychczasowego dyrektora, dr. Wiktora Ratki, który wpisał się na volkslistę i pozostał na stanowisku. Zakazał on używania języka polskiego, zwolnił większość polskiego personelu i brał udział w selekcji chorych. W 1941 roku rozpoczął pracę w centrali akcji „T4”.

Mordy rozpoczęły się w grudniu 1939 roku od wywiezienia 61 osób pochodzenia żydowskiego. Do 12 stycznia 1940 roku wywieziono do lasów w okolicach Gniezna 1043 osoby. Kilkanaście osób pochodzenia niemieckiego i polskiego ukrył, z narażeniem życia, polski personel, a następnie odesłano je do ich rodzin. W następnych latach zwożono kolejnych chorych, ale ich narodowość

była już bardziej różnorodna. Byli pośród nich Litwini, Łotysze, Niemcy, Polacy i Ukraińcy. Dziekanka stała się również miejscem „eutanazji” dzieci oraz szpitalem, w którym sporządzano fikcyjne listy chorych oraz akty zgonów. Akcje likwidacyjne były prowadzone także później, ale już przez iniekcję śmiertelnych środków.

W styczniu 1940 roku rozpoczęło się morderstwo pacjentów Krajowego Szpitala Psychiatrycznego w Kościanie, który miał zostać przejęty przez Wehrmacht. W chwili wybuchu wojny przebywało w nim 612 chorych, jednakże do początku 1940 roku kilkadziesiąt osób zmarło na skutek zbyt dużego zagęszczenia i niedostatku pożywienia.

Dramat rozegrał się w ciągu kilku dni, między 15 a 22 stycznia. Tak opisywał to jeden ze świadków: „W samochodach wojsko, na czapkach trupie czaszki. Na oddziałach powstaje wielkie zaniepokojenie wśród pacjentów i pielęgniarzy. Rozsądniejsi pacjenci zaczynają się modlić [...] jedni z łzami w oczach żegnają się z służbą, drudzy płaczą, inni proszą o zawiadomienie ich dzieci, lamentują, że pewno się z dziećmi nie zobaczą, większość zdezorientowana lub stawiająca opór. [...] Drzwi siłą zamykamy, gestapo zamyka na klucz. Z wnętrza samochodu dochodzą nas tylko głuche jęki pacjentów, którzy pierwsi jadą na wieczne spoczywanie”.

W samochodzie z napisem „Kaiser’s Kaffee-Geschäft” Niemcy wrzaskami

żądali umieszczenia aż 75 osób. Chorzy leżeli na sobie, próbując wydostać się na wierzch. W dwóch mniejszych samochodach, w wielkim ścisku, również umieszczono pacjentów. Samochody ruszyły pod wieś Jarogniewice, gdzie więźniowie z Fortu VII układali w wykopanych przez siebie dołach ciała pomordowanych. Wraz z pacjentami kościańskiego szpitala zostało straconych kilkadziesiąt osób przywiezionych z Zakładów Opieki Społecznej w Osiecznej i Śremie. Końcem działalności szpitala było przetransportowanie, począwszy od 9 lutego 1940 roku, pacjentów z niemieckich placówek i wymordowanie 2750 z nich.

W marcu 1940 roku więźniowie z Fortu VII zostali umieszczeni w szpitalu w Kochanówce. Tak jak w poprzednich przypadkach, tak i tutaj zajmowali się grzebaniem pomordowanych pacjentów. Tak opisywał to wydarzenie jeden z więźniów: „Pamiętam jedynie to, że w lesie była jakaś budowla, coś w rodzaju ziemnego bunkra albo ziemianki. Kazano nam prowadzić chorych z samochodu do ziemianki, w której chorzy byli gazowani. Używano chyba gazu z butli, nie potrafię sobie jednak dziś uprzytomnić, jak doprowadzano go do wnętrza. Zachowanie chorych było bierne – najwidoczniej otrzymywali uprzednio środki uspokajające”. Kolejną akcję przeprowadzono latem 1941 roku, a zważywszy na fakt, że obejmowała ona też placówki na terenie Łodzi, ogólną liczbę straconych ocenia się na 2200 osób.

Kolejnym miastem, do którego przybył oddział Langego, była Warta. Tamtejszy szpital miał opinię jednej z najlepszych i najnowocześniejszych placówek tego typu. Zawdzięczał to czternastoletniej pracy dyrektora dr. Karola Szymańskiego, który, zmobilizowany w 1939 roku, nie wrócił już do szpitala. 27 kwietnia 1940 roku został zamordowany w Katyniu.

Na początku września 1939 roku szpital został ewakuowany w obawie przed działaniami wojennymi, ale w październiku ponownie zapełnił się chorymi w liczbie 1300. Akcja likwidacyjna trwała od 2 do 4 kwietnia 1940 roku i zakończyła się śmiercią 499 osób. Ciała zostały pochowane w lesie koło Rossoszycy. Samo przygotowanie do transportu trwało około dwóch godzin, ponieważ przyszłe ofiary przezuwały zagrożenie i chowały się na terenie szpitala. Aby nad nimi zapanować, podawano im środki odurzające. 16 czerwca 1941 roku przewieziono z Warty do zakładu opiekuńczego w Bojanowie 81 pacjentów, którzy zostali następnie zagazowani i pogrzebani w lasach w okolicach Leszna. W późniejszym okresie do Warty byli dowożeni pacjenci z terenu Rzeszy i Pomorza. Możliwość przyjmowania nowych pacjentów



▶ Wejście do bunkra nr 17 i tablica pamiątkowa



Fot. D. Rubiś

wynikała z dużej śmiertelności (3–10 osób dziennie).

Ostatnim szpitalem w Kraju Warty, którego likwidacją zajmował się Lange, była placówka w Gostyninie. Przebywało tam 459 pacjentów, ale ich liczba szybko spadała. Przyczyną były m.in. zmniejszenie liczby przyjęć, przewożenie chorych do różnych ośrodków w Generalnym Gubernatorstwie, samowolne oddalenia oraz zwiększona śmiertelność. W 1942 roku w szpitalu pozostali tylko chorzy na gruźlicę. Warto wspomnieć w tym miejscu o zastępcy dyrektora, dr. Karolu Mikulskim, który zbiegł z transportu jeńców przewożonych przez Sowieców do Kozielska, a wróciwszy do Gostynina, objął w szpitalu stanowisko ordynatora oddziału i jednocześnie zaangażował się w konspirację. Nie chcąc przygotować listy pacjentów, których stan nie ulegał poprawie, a jednocześnie obawiając się swojego załamania podczas przesłuchania, popełnił samobójstwo. Jakże inna była to postawa w porównaniu z postępowaniem dr. Wiktora Ratki.

W łódzkim getcie Niemcy utworzyli oddział psychiatryczny. Działał on przy szpitalu nr III i dysponował pięćdziesięcioma łózkami. Tylu też chorych zamordowano podczas pierwszej akcji w marcu 1940 roku. Sytuacja powtórzyła się 29 lipca 1941 roku, podczas drugiej „ewakuacji”. Z początkiem 1942 roku rozpoczęto wywożenie mieszkańców getta do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Niemcy zapowiedzieli również zamknięcie wszystkich szpitali działających na terenie getta, co uczynili 1 września 1942 roku. Wywieziono wówczas nie tylko chorych, ale i osoby przebywające w nich na obserwacji. Liczbę ofiar z oddziału dla chorych psychicznie można określić tylko

w odniesieniu do trzech akcji likwidacyjnych, czyli na ok. 150 osób.

Tuszowanie zbrodni

Niemcy starali się zacierać ślady swoich zbrodni, ale po pewnym czasie zorientowali się, że niektóre groby zaczęły się zapadać. Wobec pogarszającej się sytuacji militarnej podjęto decyzję o rozkopaniu grobów i spaleniu wszystkich zwłok. Akcją, której nadano kryptonim „1005”, kierował Paul Blobel, a całą pracę wykonywało około trzydziestu Żydów. Przydzielono im do pomocy czterech Polaków, którzy uczestniczyli wcześniej w grzebaniu pomordowanych. Ciała były wyciągane zakrzywionymi hakami, następnie układane na żelaznych blachach i palone. Prochy były wykorzystywane jako nawóz lub wrzucane do rzek, aby nie zachował się żaden ślad po zbrodniczej działalności okupanta.

Kiedy wymordowano już pacjentów w Kraju Warty, Niemcy wykorzystali zdobyte doświadczenie w kolejnym etapie – zaczęli zabijać ludzi na skalę przemysłową. Udoskonalono służące do gazowania samochody, które zostały następnie wykorzystane w ośrodku natychmiastowej zagłady w Chełmnie nad Nerem. Obóz zorganizował, a następnie kierował nim Herbert Lange. Stało się to w grudniu 1941 roku, a więc jeszcze przed konferencją w Wansee, gdzie zapadła decyzja o wdrożeniu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. W Chełmnie zginęło od 160 do 200 tys. osób.

Uczestnicy akcji „T4” byli bardzo ceni. Wystarczy wspomnieć o komendantach obozów śmierci w Treblince, Bełżcu i Sobiborze, palaczach, kierownikach i magazynierach. Na doświadcze-

► W tym miejscu znajdowały się cele

ni weteranów akcji „T4” opierała się niemiecka machina zbrodni.

Dokładnej liczby ofiar nie udało się ustalić. Szacuje się, że na terenie Polski zgładzono ok. 20 tys. chorych, a w samym Kraju Warty ok. 6 tys. Odpowiedzialni za te czyny nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Śledztwa dotyczące mordów na terenie Kraju Warty prowadziła prokuratura w Hildesheim, która umorzyła je w 1978 roku, argumentując to śmiercią podejrzanych, brakiem wystarczających dowodów lub niemożnością ustalenia miejsca pobytu podejrzanych. W 1997 roku Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Poznaniu podjęła ponownie śledztwo, zwracając się do Centrali Ścigania Zbrodni Nazistowskich w Ludwigsburgu o pomoc prawną przez ustalenie, czy żyją i gdzie aktualnie mieszkają osoby pracujące w czasie wojny m.in. w Dziekance. Po jedenastu latach poznańska komisja postanowiła umorzyć śledztwo z powodu śmierci osób odpowiedzialnych za zabójstwa pacjentów.

Pamięć

Lasy Rożnowskie, w których pochowano około tysiąca pacjentów szpitali psychiatrycznych, należą obecnie do ważniejszych miejsc pamięci narodowej. W 2000 roku zrewitalizowano 3 ha lasu, w którym w latach 1939–1943 zamordowano i pogrzebano łącznie 12 tys. Polaków. Nie zapominają o tych wydarzeniach okoliczni mieszkańcy, którzy rokrocznie biorą udział w drodze krzyżowej odprawianej w intencji pomordowanych. ❀

Daniel Rubiś – historyk, pracownik OBEP IPN w Poznaniu

Sowiecka polityka, nasza krew

Maciej Korkuć

12–13 października 1943 roku. Lenino. Pół tysiąca zabitych Polaków. Przegrana bitwa. Krwawe wydarzenie bez militarnego uzasadnienia: na tym odcinku frontu wówczas w gruncie rzeczy nic się nie działo. A jednak Stalin był zadowolony: polityczny cel został osiągnięty. Innego przecież nie było.

Większość z poległych pod Lenino to polscy chłopcy ze wschodnich terenów kraju, okupowanych w latach 1939–1941 roku przez Sowiety. Dla większości z nich kataklizm wojenny rozpoczął się od agresji Armii Czerwonej. Niemal wszyscy tamci szeregowi żołnierze byli ofiarami sowieckiego terroru, który setki tysięcy Polaków zamienił w niewolników. Doskonale poznali

państwo, które polską krwią obficie zbroczyło więzienia, łągry i kazachskie stepy.

W czasach PRL pamięć o nich przez lata była poniewierana przez propagandę, która czyniła z nich wyrazicieli „przyjaźni polsko-radzieckiej” i przedstawiała jako tych, których śmierć przypieczętowała „polsko-radzieckie braterstwo broni”. Ta narracja niestety wciąż jest o wiele żywsza niż rzeczywiste zrozumienie tamtych wydarzeń i ofiar tej tragicznej bitwy.

Lenino było elementem układanki w wielkiej politycznej rozgrywce Józefa Stalina przeciw Polsce, prowadzonej w roku 1943. Wpisywało się w ciąg agresywnych gestów politycznych ZSRR, zmierzających do pełnej likwidacji struktur państwa polskiego i zastąpienia go tworem nowym – autorskim dziełem Stalina.

Nie było to jednak proste. Sowiecką politykę w niedocenianym dzisiaj zakresie komplikował fakt, że Rzeczpospolita Polska była od pierwszych chwil wojny częścią koalicji antyniemieckiej, a od 1941 roku – również sojusznikiem ZSRR

w alianckiej koalicji. Stalin był zmuszony rozpiąć na wiele miesięcy zestaw posunięć łączących misterne działania dyplomatyczne z polityką faktów dokonanych. Chodziło o to, aby zachodni alianci mogli stopniowo przetrwać kolejne wrogie gesty i czynne działania skierowane przeciw Polsce. Ostatecznie miliony Polaków i całe terytorium RP miały się znaleźć się na łasce i niełasce Stalina.

„Patrioci”

Rozłożony na etapy cykl działań obejmował kilka faz, rozpoczętych już w roku 1943. Pierwszym aktem było stworzenie w ZSRR ciała politycznego w pełni kontrolowanego przez Sowietów, choć przedstawianego jako niezależne. Tym miała się zająć Wanda Wasilewska, wezwana na Kreml w początkach roku. Stalin postawił ją na czele ośrodku przez niego wymyślonemu, jeszcze nieistniejącego Związku Patriotów Polskich. Samą nazwę także wymyślił sowiecki dyktator. Wasilewska miała wątpliwości. „W pierwszej chwili bardzo mi się to nie spodobało i mówiłam, że nazwa »patriota« jest dosyć skompromitowana [sic! – MK] w Polsce” – przyznawała po latach. Stalin miał tu jednak sprecyzowany pogląd. Nazwa miała być nośna, łatwa do propagandowego wykorzystania. Na uwagi Wasilewskiej odrzekł, że „każdemu słowu można ▶



▶ Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki składają przysięgę, w której m.in. ślubują dochować sojuszu ze Związkiem Radzieckim i braterstwa broni z Armią Czerwoną; Sielce, ZSRR 15 lipca 1943 roku

nadać nową treść i od was zależy, jaką treść temu nadacie”.

Wciąż fikcyjny ZPP został wyposażony w organ prasowy. Dzięki temu nieistniejąca faktycznie organizacja od razu stała się sprawnym narzędziem stalinowskiej propagandy, przedstawianym jako środowisko „polskiej lewicy” w ZSRR. Na tym etapie najważniejszym celem tworzenia związku było pokazanie, że naród polski jest podzielony, a rząd RP nie jednoczy wszystkich Polaków. I nie cieszy się dużym autorytetem, skoro istnieją „polskie” środowiska, które wprost odzęgnują się od jego polityki. Stopniowo propaganda miała wykreować ZPP na ważną reprezentację polskich środowisk w ZSRR, choć jeszcze przez kilka miesięcy cała organizacja ograniczała się do moskiewskiego rządowego mieszkania Wasilewskiej.

Dla podniesienia prestiżu i wzmocnienia siły medialnej propagandowego przekazu poszukiwano wśród byłych więźniów NKWD jakichkolwiek polityków ze znanymi nazwiskami. W ten sposób starano się przekonać opinię publiczną, że ZPP to poważna struktura, jednocząca różne nurty, a nie zwyczajna kryptokomunistyczna organizacja.

Człowiekiem noszącym najbardziej znane nazwisko, którego odnaleziono wśród zesłańców, był Witos. Wasilewska miała nadzieję, że będzie to Wincenty – przedwojenny trzykrotny premier RP. Kiedy NKWD doprowadził wystraszonego człowieka na próg jej mieszkania, okazało się, że to jedynie brat Wincentego, Andrzej. Ale nazwisko i tak było odpowiednie. Mianowano go wobec tego wiceprzewodniczącym ZPP. Zastraszony i ule-

gły, godził się na wykorzystywanie siebie w takiej roli. Rządziła i tak Wasilewska. On i jemu podobni byli traktowani jako figuranci, pozbawieni jakiegokolwiek wpływu na otaczającą ich rzeczywistość.

Zerwanie z Polską

Budowa ZPP była skoordynowana z nowym antypolskim etapem polityki ZSRR w obozie alianckim. Celem Stalina było usunięcie przeszkody, którą dla polityki sowieckiej stanowiła konieczność liczenia się z podmiotowością Rzeczypospolitej Polskiej na arenie międzynarodowej i sojuszniczej. To w sposób oczywisty utrudniało imperialne plany Moskwy. Panujące dotychczas stosunki między państwami dawały Polsce możliwość dyplomatycznych gestów i interwencji w obronie własnych obywateli. Od 1941 roku władze polskie uzyskały bowiem ograniczoną, ale realną możliwość wpływania na los polskiej ludności w Sowietach. Na terenie ZSRR działało z ramienia ambasady RP kilkuset mężów zaufania i kilkadziesiąt placówek spełniających rolę polskich przedstawicielstw państwowych i ośrodków opiekuńczych. Dystrybuowały pomoc dla ludności, ale też interweniowały w jej obronie. Dlatego już od stycznia 1943 roku Sowietci podejmowali działania, które w zamierzeniu miały doprowadzić do szybkiego kryzysu i zerwania stosunków międzynarodowych. Z propagandowego punktu widzenia najwygodniejsza dla Stalina byłaby sytuacja, w której nie on, lecz sprowokowane wła-

dze RP podjęłyby taką decyzję. Nie udało się jednak do tego doprowadzić.

Najpierw ZSRR ogłosił przejęcie przez sowiecką administrację instytucji pomocy Ambasady RP (15 stycznia). Oznaczało to ich faktyczną likwidację w dotychczasowej roli wsparcia dla polskich rodzin. Nazajutrz Moskwa, wprost gwałcąc porozumienia międzynarodowe i wcześniejsze deklaracje, ogłosiła, że wszyscy mieszkańcy obszarów wschodniej Polski zajętych przez ZSRR w 1939 roku są ponownie przez Kreml uznawani za obywateli sowieckich. Pozbawiono ich tym samym obywatelstwa RP. Polskie protesty i poszukiwanie wsparcia u sojuszników zachodnich zderzały się z dążeniem Stalina do wzmaganania napięcia.

Wreszcie w kwietniu 1943 roku Kreml wykorzystał jako pretekst ujawnienie przez Niemców zbrodni w Katyniu i polskie zabiegi o międzynarodowe śledztwo. Własne masowe zbrodnie Stalin diabolicznie obrócił przeciw państwu ofiar. 25 kwietnia ogłosił, że stosunki z Polską zostają „przerwane”. Oznaczało to natychmiastową i pełną likwidację polskich placówek dyplomatycznych i wszystkich instytucji wspieranych przez RP. Stalin znowu mógł bezkarnie wykorzystywać Polaków do własnych potrzeb.

Teatr polityczny

Dopiero wtedy zaczął się etap kolejny: nie mając dyplomatycznych przeszkód, Kreml mógł ogłosić wcześniej przygotowywaną operację

► Wanda Wasilewska przemawia w Sielcach; z lewej widoczny Zygmunt Berling; 1943 rok



budowy polskich jednostek przy Armii Czerwonej. Teraz Sowietci, tworząc nowe oddziały, nie musieli już pytać władz RP o zgodę ani też w ogóle liczyć się z Polską – przecież już nie utrzymywali z nią stosunków międzypaństwowych. Zaplanowany w gabinecie Stalina ceremoniał miał pokazać, że jest to inicjatywa „niezależnego” ZPP, „życzliwie rozpatrzona” przez rząd ZSRR. Dlatego kazał Wasilewskiej napisać w imieniu ZPP „prośbę o zgodę” na formowanie oddziałów, tak aby „rząd sowiecki” mógł ją życzliwie „rozpatrzeć”. Ten teatrzyk do dzisiaj w wielu polskich podręcznikach jest prezentowany tak, jak sowiecki dyktator to zaplanował.

Na dowódcę został wyznaczony już od dawna trzymany w pogotowiu dezerterski z Wojska Polskiego, były podpułkownik Zygmunt Berling. Faktycznie w WP był wówczas zdegradowany do stopnia strzelca (szeregowca). Stalin się tym oczywiście nie przejmował – wkrótce ogłosił jego awans na generał-majora, co przełożono na „polskiego” generała brygady. 4 maja 1943 roku, a więc niewiele ponad tydzień od zerwania przez ZSRR stosunków z Polską, Berling oficjalnie przejął ćwiczebny obóz w Sielcach nad Oką.

Złożona z Polaków dywizja w pełni podlegała strukturalnie sowieckim: zarówno militarnie jak i politycznie. Pozory odrębności stwarzały m.in. komenda w języku polskim, wykorzystanie polskich barw narodowych, obecność kapelanów, mundury inne niż sowieckie. Żeby wzmocnić ten przekaz, Kreml organizował wizyty zachodnich dziennikarzy w obozie sieleckim. Wszystko podporządkowano więc wymogom, jak byśmy dziś powiedzieli, politycznych *public relations*. „Na przykład powstała kwestia, jak ma wyglądać mundur, jak ma wyglądać orzełek, jakie mają być guziki – wspominała Wasilewska. – Wiele ciężkich chwil spędziłyśmy w Moskwie, poszukując wzoru dla orła. Zdawałoby się, że to mała techniczna sprawa, tymczasem okazała się bardzo skomplikowana: z największym trudem znalazłyśmy wreszcie piastowskiego orła z grobowców Piastów. Ten orzełek stał się znakiem 1. Dywizji i 1. Armii. Stał się częścią składową munduru żołnierza

► Wielu polskich żołnierzy – deportowanych, wyrwanych z łagrów – wierzyło w obietnicę gen. Berlinga, że idą wyzwalać Polskę; 1944 rok



Fot. NAC

polskiego”. W rzeczywistości był to orzeł wymyślony przez twórcę dziewiętnastowiecznego nagrobka z plockiej katedry, ale nie przeszkodziło to w kreacji pseudopiastowskiego mitu orzełka 1. Dywizji. Sami żołnierze z lekceważeniem nazywali go kurcią lub kaczką – choć i tak był lepszy od czerwonej gwiazdy.

„Berlingowcy”

Do jednostek tych Polacy docierali różnymi drogami. Część ochotniczo, ale niektórych tzw. wojenkomaty kierowały tam przymusowo. O tym, że to nie są zwyczajne jednostki sowieckie, wielu z nich dowiedziało się dopiero w Sielcach. Komunistów było niewiele. Tych wykorzystano przede wszystkim do obsadzenia struktur aparatu politycznej indoktrynacji.

Miażdżąca większość żołnierskiej masy to ofiary sowieckich deportacji i terroru. Dla nich fakt, że zostaną zmobilizowani do jednostek przynajmniej zewnętrznie występujących pod flagą biało-czerwoną, brzmiał jak obietnica powrotu do kraju. Sowietci takim żołnierzom nie ufali. Obawiali się powszechnych nastrojów anty bolszewickich – normalnych u ludzi, którzy przeszli gehennę sowieckich łagrów i zsyłek. „Nadal pozostawał problem granic, gdyż wielu żołnierzy i oficerów dywizji pochodziło z Wileńszczyzny, Białorusi, Ukrainy Zachodniej, a zwłaszcza ze Lwowa. Ziemie Zachodnie były mirażem dalekim i mimo że nęcącym, troszczono

się o los rodzin na dawnych »kresach polskich«” – wspominał Włodzimierz Sokorski, zastępca Berlinga do spraw polityczno-wychowawczych. „Podczas dyskusji, często prywatnych, niejednen z oficerów szczerze mi mówił, że wspólna walka prowadzi do kraju, a później drogi nasze mogą się rozejść” – dodawał. Stalin wyrażał wątpliwość, czy Polacy będą chcieli się bić po sowieckiej stronie. Wasilewska po latach przyznawała, że nie było pewności, czy ona, jako znana działaczka sowiecka, w ogóle może udać się do żołnierzy. „Przypominam sobie taki moment: kiedy z Moskwy miałam jechać do 1. Dywizji [po raz pierwszy]. [generał NKWD Georgij] Żukow miał wielkie obawy o moje osobiste bezpieczeństwo. A wyszło bardzo dobrze”.

Nic dziwnego. W jednostkach od początku zmasowaną indoktrynację polityczną łączono z zastraszaniem i powszechną inwigilacją. Obowiązywały przepisy karne analogiczne do sowieckich. Już w lipcu 1943 roku ogłoszono kodeks karny, który na wzór Armii Czerwonej przewidywał dwie możliwości: karę śmierci i 10 lat więzienia z możliwością zamiany na oddział karny (gdzie były nikielne szanse przeżycia). Na podstawie tych przepisów karano każdą, nawet prywatnie wypowiedzianą uwagę niezgodną z narzuconą propagandą. Szybko zapadły i zostały wykonane pierwsze polityczne wyroki śmierci. Tylko w początkowym okresie formowania jednostek sądy polowe ►

skazały co najmniej 46 żołnierzy za szerzenie poglądów przeciwnych ZPP i Wasilewskiej.

Argument przed Teheranem

Jesienią 1943 roku trwały przygotowania do pierwszego bezpośredniego spotkania przywódców najsilniejszych państw koalicji alianckiej: Franklina Delano Roosevelta, Winstona Churchilla i Józefa Stalina. Na tym etapie sowiecki dyktator otwarcie żądał od Zachodu akceptacji dla wcielenia wschodniej połowy Polski do ZSRR. Moskiewskie wysiłki zmierzające do systematycznego obniżania prestiżu władz RP szły w parze z potrzebą propagandowego umocnienia wizerunku Wasilewskiej i ZPP. Jest dzisiaj jasne, że już wtedy działania były ukierunkowane na – wciąż jeszcze nieujawniane – przygotowania do utworzenia alternatywnego ośrodka władzy dla Polaków. Dlatego Sowieci głosili oskarżenia, że rząd RP wcale nie chce walczyć z Niemcami. Im intensywniej to robili, tym bardziej musieli przeciwsta-

wić rzekomej bierności legalnych władz polskich militarne dokonania jednostek Berlinga. Na niwie wojennej dyplomacji to miał być ważny argument. Przed Teheranem Stalin potrzebował więc jakiegokolwiek bitwy z udziałem „berlingowców”. Udział tych formacji walkach z Niemcami miał być argumentem na rzecz tezy, że tylko środowisko Wasilewskiej i ZPP ma prawo reprezentować Polaków w obozie sojuszniczym.

Spotkanie w Teheranie zostało zaplanowane na przełom listopada i grudnia 1943 roku. Konferencja przygotowawcza ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki ostatecznie miała się odbyć 29 października 1943 roku. Należało się spieszyć, aby uprzednio wykreować jakąkolwiek bitwę z udziałem „berlingowców”. Dlatego, mimo niezakończenia szkolenia bojowego, nieprzygotowana dywizja została pośpiesznie wysłana na front.

Ostatecznie „chrzest bojowy” dywizji przeszła 12 i 13 października 1943 roku pod Lenino. Na tym odcinku frontu tak

naprawdę Sowieci nie mieli w tym czasie żadnych celów militarnych do osiągnięcia. W samej bitwie niewiele odbyło się zgodnie z planem. Ataku nie poprzedzono odpowiednim przygotowaniem artyleryjskim, które znacząco skrócono. Przed nacierającymi nie stworzono odpowiedniego wału ogniowego. Stracono efekt zaskoczenia. Do tego doszła niemal całkowita swoboda lotnictwa niemieckiego, atakującego Polaków „stadami” od kilku do kilkudziesięciu samolotów. Panował bałagan, szwankowała łączność, część żołnierzy zginęła od pocisków sowieckiej artylerii.

Odwaga i przymus

„Stan osobowy dywizji szedł do walki z determinacją. [...] Podczas podejścia do wsi Trygubowa i Puniszcz piechota dostała się pod silny ostrzał artyleryjski, zwłaszcza ognia moździerzy przeciwnika”, a niektóre oddziały „dostały się pod ogień naszej artylerii. Wskutek tego piechota zaległa, powstało zamieszanie, szy-

► Defilada żołnierzy Berlinga: Wincenty i Jan Taborowie (ojciec i syn) z 3. Kompanii Moździerzy; 1943 rok – w tle monument upamiętniający bitwę pod Lenino (zdjęcie współczesne)



Fot. A. Zawistowski



► Tablica na polskim cmentarzu wojennym w Lenino upamiętniająca poległych żołnierzy 1 DP

ki bojowe pomieszały się” – raportował potem szef Zarządu Politycznego Frontu Zachodniego gen. Makarow. I dodawał, że sąsiadujący z Polakami żołnierze z sowieckich dywizji „w czasie walki nie okazali koniecznego wsparcia, ponieważ w istocie pozostawali w miejscu” i w rezultacie niektóre polskie jednostki „zostały zaatakowane przez przeciwnika ze skrzydeł”. Braki w wyszkoleniu sprawiły, że „niektórzy z żołnierzy zwracali się o pomoc do naszych [sowieckich] żołnierzy, którzy uczyli ich, jak należy posługiwać się automatem”. Poza tym „wyjątkowo słabo w dywizji była zorganizowana dostawa amunicji, szczególnie nabojów do karabinów. [...] Doprowadziło to do tego, że w 1 i 2 p[ułku] p[iechoty] pod koniec dnia brakowało nabojów”. Berling obwiniał później gen. Wasilija Gordowa, dowódcę tego odcinka frontu; ten w raportach punktował błędy i nieudolność Berlinga.

Polscy żołnierze więc przez dwa dni bohatersko walczyli o nic nieznaczące punkty na mapie Białorusi – na odcinku frontu, gdzie nic się nie działo aż do czerwca 1944 roku. Nie mieli wyjścia. Za odmowę wykonania rozkazu groziło rozstrzelanie. Mimo wyżej wspomnianych okoliczności za cenę olbrzymich strat w zabitych i rannych wyparli Niemców z kilku wsi. Później Niemcy odzyskali utracony fragment terenu.

Co najmniej kilkuset żołnierzy wykorzystano tę pierwszą nadarżającą się okazję, aby uciec na stronę wroga. Wszak część z nich od 1939 roku nawet nie widziała innego wroga niż ZSRR. Zaznali terroru sowieckiego – niewiele wiedzieli o niemieckim. I tak rozmiary ucieczek zapewne

pomniejszał fakt, że wielu żołnierzy było swoistymi zakładnikami Sowietów: większość z nich na tyłach pozostawiło rodziny. Krewni żołnierzy mogli liczyć na nieco lepsze zaopatrzenie. Rodzinom „dezertorów” groziły ponowne represje.

Dywizja faktycznie utraciła zdolność bojową i została wycofana z frontu, ale aparat polityczny i sowiecka dyplomacja mogły robić z Lenino użytek. Machina propagandowa przegranej bitwę zaczęła kreować na wiekopomne zwycięstwo – przypiecztowanie polsko-sowieckiego „braterstwa broni”.

Walczący i „niewalczący” Polacy

Kiedy 29 października 1943 roku odbywała się w Moskwie konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki, brytyjski minister Anthony Eden próbował poruszyć sprawę potrzeby przywrócenia stosunków dyplomatycznych między ZSRR a Polską. W swoich pamiętnikach opisywał, że szef sowieckiego MSZ Władysław Mołotow zignorował problem i od razu przywołał walkę podkomendnych Berlinga. Stwierdził, że „polska dywizja walczy bohatersko z Niemcami na froncie sowieckim”. Eden próbował zaznaczyć, że jednostki polskie gen. Władysława Andersa także wkrótce będą walczyć we Włoszech. „Mołotow usiłował temu zaprzeczyć i utrzymywał, że polski wódz naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, wcale sobie tego nie życzy”. W ten sposób ukręcono łeb dyskusji na temat przywrócenia stosunków dyplomatycznych.

Zaraz potem, na początku listopada 1943 roku – a więc po bitwie pod Lenino i kon-

ferencji moskiewskiej, a przed konferencją w Teheranie – Stalin kazał Wasilewskiej przygotować projekt składu Narodowego Komitetu Wolnej Polski, jak komuniści nazywali wówczas załączek marionetkowego rządu, który miał zostać zainstalowany na ziemiach polskich zajmowanych przez Sowietów. W ten sposób bitwa pod Lenino zyskiwała wymiar przygotowania podglebia do rozgrywki ukierunkowanej na rychłe ogłoszenie powstania nowego ośrodka władzy, konkurencyjnego dla rządu RP i popieranego przez Moskwę.

W Teheranie Stalin trzymał w zanadru ten propagandowo nagłośniony „frontowy” argument. Wiedząc, że Roosevelt i Churchill znają sowiecką narrację w sprawie „Polaków walczących u boku Armii Czerwonej”, ponownie z naciskiem powtarzał deprecjonujące oskarżenia pod adresem rządu RP o niechęć do walki z Niemcami. Przy tym Sowietci podkreślali, że „z rządem polskim, który wzywać będzie do aktywnej walki z Niemcami, będziemy utrzymywać dobre stosunki”. Miało to ewidentnie tworzyć pole dla uznania zupełnie innego „rządu”.

Pomyślny dla Stalina przebieg konferencji najpierw skłonił go do intensyfikacji przygotowań do tego kroku. Ogłoszenie powstania Polskiego Komitetu Narodowego (wcześniejszego Narodowego Komitetu Wolnej Polski) pod przewodnictwem Wasilewskiej – zaczątku nowego rządu – miało nastąpić już na początku roku 1944. Potem ze względów taktycznych Stalin wyciszył te działania, aby powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego ogłosić ostatecznie w lipcu 1944 roku.

Ci Polacy, którzy polegli pod Lenino, i tak nie mieli prawa głosu. Dla Stalina byli tylko narzędziem do wykorzystania w polityce i kremlowskiej dyplomacji. To tylko powiększa rozmiary tragedii polskich chłopców, którzy siedemdziesiąt lat temu musieli ginąć na sowieckim froncie.

Dlatego też, stając pod warszawskim pomnikiem poświęconym Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, powinniśmy pamiętać także o tych, których śmierć dosięgła w boju pod Lenino. ■

dr Maciej Korkuć – historyk, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie

Ostatni. Józef Franczak „Laluś” (1918–1963)

Sławomir Poleszak



Fot. AIPN

► Lato 1947 roku, od lewej stoją: ppor. Stanisław Kuchciewicz „Wiktor”, Julian Kowalczyk „Cichy”, sierż. Józef Franczak „Laluś” i st. sierż. Walenty Waśkiewicz „Strzała”

Było ciche, poniedziałkowe popołudnie 21 października 1963 roku. Na polach obok wioski Majdan Kozic Górnych rolnicy prowadzili jesienne prace polowe. Nad okolicą unosił się dym z palonych naziemian. Nagle ciszę rozdarły serie z karabinów maszynowych: swoją ostatnią walkę toczył Józef Franczak „Laluś”, najdłużej ukrywający się żołnierz podziemia niepodległościowego.

Przez kilkanaście lat, które upłynęły od zakończenia wojny, praca oficerów operacyjnych Urzędu Bezpieczeństwa, później Służby Bezpieczeństwa nie przynosiła rezultatów – „Laluś” wymykał się z zastawianych na niego sidła. Dla rządzących komunistów – którzy na kolejny rok szykowali wielkie święto z okazji dwudziestolecia zdobycia władzy w Polsce – był to znaczny uszczerbek na prestiżu. Dopiero na początku 1963 roku funkcjonariuszom Wydziału III SB Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie udało się wytypować osobę, która – jak się później okazało – odegrała kluczową rolę w esbeckiej kombinacji operacyjnej wymierzonej we Franczaka.

Ująć lub zlikwidować

W trakcie pierwszych spotkań pracownicy SB dali figurantowi do zrozumienia, że wiedzą o jego kontaktach ze ściganym. Zrazu twierdził on, że z „Lalusiem” widział się tylko raz i to dawno – latem 1948 roku. Pod wpływem dozowanych mu dowodów przyznał się do pozostałych spotkań. W maju 1963 roku por. Kazimierz Mikołajczuk, pracownik operacyjny Wydziału III, mógł w końcu zarejestrować nowego tajnego współpracownika pod kryptonimem „Michał”. Był nim Stanisław Mazur – brat stryjeczny Danuty Mazur, narzeczonej „Lalusia”. Mieszkał wówczas w Lublinie, a pochodził z Wygnanowic, wioski położonej nieco ponad 30 km od tego miasta. To właśnie w Wy-

gnanowicach mieszkała narzeczona „Lalusia” i osoby, które mu pomagały.

Oficer kierujący pracą agenta zlecił mu częste wyjazdy do rodzinnej miejscowości. „Michał” spotykał się tam z osobami z najbliższego otoczenia „Lalusia”, które znał od lat i których zaufaniem się cieszył. Przez pierwsze miesiące nic nie wskazywało na to, że spełni pokładane w nim nadzieje. Kolejne sprawozdania ze spotkań z agentem i wewnętrzne analizy SB potwierdzają, że największym problemem był jego strach przed tym, że „Laluś” dowie się o jego współpracy. Dlatego pracownicy SB (również najwyższą rangą oficerowie lubelskiej bezpieki) przekonywali go o konieczności wydania „Lalusia”, zapewniali też, że będzie bezpieczny. Starali się go przekonać, że jest dla SB kimś ważnym, nawiązywali relacje towarzyskie: „W celu związania go z nami wytworzono przyjemną atmosferę przy kolacji zakrapianej 1/2 l alkoholu” – zapisano w esbeckiej notatce.

Przełom w operacji nastąpił w sierpniu 1963 roku. Wtedy „Michałowi” udało się osobiście spotkać z „Lalusiem”. Na następne spotkania z poszukiwanym, które odbyły się we wrześniu i październiku, SB wyposażała swojego agenta w „liliputa” i „teleportera”, czyli przenośne urządzenia nadawcze pozwalające podsłuchać rozmowę przez odbiornik umieszczony w samochodzie znajdującym się kilka kilometrów od miejsca spotkania. Kiedy na początku drugiej dekady października 1963 roku TW „Michał” za pośrednictwem Danuty Mazur ustalił z „Lalusiem” termin kolejnego spotkania na 20 października, rozpoczęto przygotowania do zakończenia „kombinacji operacyjnej”. Wczesnym rankiem w dniu spotkania agenta dowieziono samochodem służbowym SB do Piask, skąd następnie pieszo dotarł do Wygnanowic.

Baterie urządzeń podsłuchowych umożliwiały przesyłanie treści rozmowy przez godzinę, jeśli odbywała się na zewnątrz, lub o połowę krócej w zamkniętym pomieszczeniu. Po zakończeniu spotkania i odejściu agenta do akcji miała wkroczyć grupa likwidacyjna złożona z dziesięciu oficerów operacyjnych SB

i sześćdziesięciu funkcjonariuszy Zmotywowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. Jej zadaniem było okrążenie miejsca spotkania. Jednak w decydującej chwili urządzenie zawiodło. Sztab operacji bezskutecznie nasłuchiwał sygnału wskazującego miejsce spotkania.

Wydawało się, że po raz kolejny akcja zakończy się fiaskiem. Jednak rankiem 21 października „Michał” zadzwonił do por. Mikołajczuka i poprosił o spotkanie. Doszło do niego godzinę później w lokalu konspiracyjnym „Weranda”. Jak się okazało, agent podczas kontaktu z „Lalusiem” poprzedniego dnia zapamiętał markę i numer rejestracyjny motocykla, którym „leśny” został przywieziony na spotkanie. Wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. W Wydziale Komunikacji Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lublinie esbecy ustalili, że motocykl należy do Wacława Becia z Majdanu Kozic Górnych. Grupa operacyjna złożona z dwóch oficerów SB i 35 zomowców wyruszyła samochodem ciężarowym w stronę Piask, a o 15.45 otoczyła zabudowania gospodarstwa Becia. Gdy „Laluś” zauważył funkcjonariuszy ZOMO, próbo-

wał – udając gospodarza – przejść przez linię obstawy. Dalszy bieg wypadków por. Ludwik Taracha, oficer operacyjny SB w Komendzie Powiatowej MO w Lublinie, opisał następująco: „Franczaka usiłował zatrzymać »przewodnik psa«, jednak Franczak zaczął uciekać do stodoły. Po 2 minutach wypadł z innej strony stodoły i zaczął strzelać do »przewodnika«. »Przewodnik« cofnął się, a Franczak zaczął uciekać w kierunku lasu i cały czas strzelał z jednego pistoletu. Następnie, gdy zauważył funkcjonariuszy MO stojących na obstawie, którzy [wzywali] go do odrzucenia broni i podniesienia rąk do góry, Franczak wrócił w kierunku zabudowań, wskoczył w krzaki, po paru sekundach wybiegł i wówczas zauważyłem, że miał na sznurku, na szyi teczkę i [w] obydwu rękach miał pistolety, z których równocześnie strzelał. [...] nie zatrzymał się, a dobiegł do mieszkania Ludwika Miśiury i wszedł do ogródka między bzy i jaśminy, klęknął tam na kolana i zaczął strzelać do dwóch funkcjonariuszy MO biegnących w jego kierunku. Funkcjonariusze zaczęły strzelać w jego kierunku ▶

▶ List sierż. Józefa Franczaka „Lalusia” do kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka” z 9 stycznia 1949 roku

Janie kpt
 185
 Proszę o wypracowanie spotkania, o ile
 to możliwe jak najprędzej, a jeśli
 nie to krócej o dyktando i listy
 Nam pisz i jeśli masz woli
 i tego po wydaniu i t.p. potarda
 us dumać przedmiot i t.p. i t.p.
 W związku z obecną sytuacją
 będą niedatki ale spracujam się
 do minimum, jeśli potrzeba 16/11
 Tępnika na Proszę o wydanie
 Ja wystąpiam 14 października 1949 roku
 Tępnika do Brauka, ale tam było
 już ile, reszta o wysłaniu pisma
 Klipre
 Z tego serdecznie pozdrawiam i
 życe niespełnionego Towarzystwa
 Lip 9. I. 49.
 Drogą
 „Laluś”

Kto zna miejsce pobytu groźnego bandyty?

Prokuratura Wojewódzka w Lublinie poszukuje groźnego bandyty Józefa Franczaka, s. Stanisława i Antoniny z domu Kowalska, ur. 25.V.1918 r. w Kozłach Górnych pow. Lublin.



Rysopis: wzrost około 175 cm budowy krępej, włosy ciemno blond lekko szpakowate, oczy niebieskie, nos duży, prosty, twarz owalna. Franczak dokonał kilku morderstw oraz napadów terrorystyczno-rabunkowych na placówki spółdzielcze i indywidualnych gospodarzy.

Prokuratura prosi wszystkich, którzy znają miejsce pobytu ukrywanego bandyty o niezwłoczne zawiadomienie o tym Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie, ul. Okopowa 2, Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie, ul. Narutowicza 73 lub najbliższej jednostki MO w terenie. Wiadomości przekazywać można w formie osobistego zameldowania, listownie lub anonimowo.

Osobom, które udzielią informacji lub wskażą miejsce pobytu bandyty, zapewnią się całkowitą dyskrecją. Niezależnie od tego dla osób, które przyczynią się bezpośrednio do ujęcia bandyty wyznaczona jest wysoka nagroda pieniężna.

Ponadto uprzedza się, że ci, którzy udzielają pomocy lub schronienia poszukiwanemu będą pociągnięci do odpowiedzialności karnej w myśl art. 148 K. K.

– po krzakach. W pewnym momencie zauważyłem, stojąc w odległości około 15 metrów od Franczaka, że się przewrócił i upadł twarzą do ziemi. Dobiegliśmy do Franczaka, wzięliśmy go za ręce, podnieśliśmy twarzą do góry, Franczak po upływie około 2 minut zmarł”.

Żandarm, konspirator, dezerters

Józef Franczak urodził się 17 marca 1918 roku w wiosce Kozlice Górne, niedaleko miasteczka Piaski. Jego rodzice prowadzili kilkhektarowe gospodarstwo rolne. Wychowywali trzy córki i dwóch synów. Po ukończeniu szkoły powszechnej, nie mając środków na dalsze kształcenie, zdecydował się na wstąpienie do wojska i ukończył Szkołę Podoficerską w Centrum Wyszkożenia Żandarmerii w Grudziądzu. W 1939 roku rozpoczął służbę jako zawodowy podchorąży w Równem na Wołyniu, na Kresach Wschodnich walczył z sowiecką agresją. Trafił do niewoli, ale zbiegł w trakcie marszu na wschód. Pieszko dotarł w rodzinne strony. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i do jakiej organizacji podziemnej początkowo wstąpił. Ostatecznie znalazł się Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. W konspiracji dosłużył się stopnia sierżanta. Początkowo był dowódcą drużyny, a następnie plutonu w III Rejonie Obwodu Lublin-Powiat ZWZ-AK.

Nieznane są szczegóły jego udziału w walkach akcji „Burza”. Wiadomo natomiast, że po wkroczeniu Armii Czerwonej na Lubelszczyznę, w sierpniu 1944 roku, został wcielony do organizowanej przez komunistów II Armii Wojska Polskiego. Stacjonował m.in. w Kąkolewnicy w powiecie Radzyń Podlaski, gdzie urzędował także sąd polowy II Armii WP. Na pobliskim uroczysku Baran rozstrzelano skazanych na śmierć żołnierzy AK i Narodowych Sił Zbrojnych. „Laluś”, spodziewając się podobnego losu, zdezerterował. Trudno dokładnie ustalić, kiedy do tego doszło. Adnotacja na odwrocie jednej z nielicznych fotografii wskazuje, że w marcu 1945 roku przebywał w Zduńskiej Woli. Z innych dokumentów wynika, że był także w Łodzi, następnie na Wybrzeżu. W rodzinnych

stronach pojawił się ponownie prawdopodobnie wiosną 1946 roku. Po powrocie odświeżył zapewne swoje koleżeńskie i konspiracyjne kontakty.

W tym czasie Lubelszczyzna była terenem niespokojnym. Wysoką sprawność organizacyjną zachował Okręg Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. W oddziałach leśnych, w tym w zgrupowaniach kpt. Mariana Bernaciaka „Orlika” i mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, nadal walczyło około tysiąca partyzantów. Dochodziło do częstych starć zbrojnych między grupami operacyjnymi UB, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i NKWD a oddziałami leśnymi, rozbijano posterunki Milicji Obywatelskiej. W rodzinnych okolicach „Lalusia” działał kilkunastoosobowy oddział jego kolegi, ppor. Antoniego Kopaczewskiego „Lwa”, który podlegał „Zaporze”.

Ówczesna rzeczywistość to często pojawiające się w wioskach grupy operacyjne złożone z funkcjonariuszy UB, MO, żołnierzy KBW i nierzadko NKWD poszukujące „leśnych” i broni. Tuż przed wyznaczonym na 30 czerwca 1946 roku tzw. referendum ludowym intensywność tych działań była jeszcze większa. 16 czerwca funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z Lublina zatrzymali kilka osób we wsi Antoniówka, a następnie przenieśli się do Kolonii Żuków. O świcie funkcjonariusze UB otoczyli zabudowania gospodarstwa Franciszka Hołoty. Na strychu obory odnaleźli śpiących Franczaka i syna gospodarza, Franciszka Hołotę „Małego”. W sumie w okolicy zatrzymano od siedmiu do dziesięciu osób.

Po dotarciu do wsi Chmiel ubowcy zamknęli pojmanych pod strażą w komórce, a sami poszli się bawić na wesele. Po północy 17 czerwca ciężarówka z ujętymi wyruszyła w stronę Lublina. W czasie postoju w okolicach wsi Dominów więźniowie wykorzystali nieuwagę i zapewne nietrzeźwość konwojentów, uwolnili się z więzów i ich rozbroili. W czasie walki kilku funkcjonariuszy zginęło. Wszystkim pojmanym udało się zbiec. Eugeniusz Mordoń „Gitarka” wspominał, że „Laluś” zaraz po ucieczce dotarł do jego

Fot. AIPN



► Torba z uzbrojeniem znaleziona przy zabitym „Lalusiu”

oddziału, którym dowodził por. Jan Szaliłow „Renek” (zgrupowanie mjr. „Zapory”). Nie pozostał w jego szeregach na dłużej i trudno ustalić jego losy przez kilka następnych miesięcy.

Dowódca patrolu

Odnajdujemy „Lalusia” na początku 1947 roku w szeregach oddziału Zrzeszenia WiN kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”, liczącego w tym czasie około dwudziestu partyzantów, operującego na pograniczu powiatów lubartowskiego, lubelskiego i chełmskiego.

W marcu i kwietniu 1947 roku część partyzantów ujawniła się w czasie amnestii uchwalonej 22 lutego. „Laluś” nie wierzył, że UB zapomni o jego czynach, i pozostał w konspiracji. Na obszarze pojałtańskiej Polski działało jeszcze ponad 120 oddziałów zbrojnych, liczących 1200–1800 partyzantów. Na Lubelszczyźnie było dwadzieścia grup i 200–230 bojowników. Dysproporcja sił między partyzantami a siłami reżimu zmusiła tych pierwszych do zmiany taktyki na bardziej defensywną. Szanse na przetrwanie dawało podzielenie oddziału na kilkusobowe patrole, pozostające w ciągłym ruchu. Dowodzili nimi sierż. „Laluś”, ppor. Stanisław Kuchciewicz vel Kuchciewicz „Wiktor” i st. sierż. Walenty Waśkowicz „Strzała”. Dowódcy patroli działali samodzielnie, co pewien czas stawiając się na odprawę z dowódcą, który od jesieni 1947 roku przebywał przeważnie w bunkrze pod stodołą w zabudowaniach Lisowskich we wsi Dąbrówka koło Łęcznej. Każdemu patrolowi podlegał określony obszar. Patrol „Lalusia” działał na pograniczu powiatów lubelskiego i krasnostawskiego. W tym czasie służyli w nim: Walerian Goś „Walerek”, Fran-

ciszek Hołota „Mały”, Jerzy Marciniak „Sęk”, „Zygmunt” i Jan Osmoliński „Pomidorek”. Franczak przy pomocy zaufanych członków siatki terenowej zbierał informacje o prowadzonych przez UB i KBW operacjach zbrojnych, aresztowaniach, współpracownikach UB oraz najgorliwszych funkcjonariuszach bezpieki, MO i działaczach Polskiej Partii Robotniczej. Aktywność patrolu sprowadzała się do zasadzek na małe patrole milicyjne, akcji ekspropriacyjnych (przymusowego wywłaszczenia) oraz wykonywania kar chłosty lub śmierci na konfidentach i aktywistach komunistycznych. Ze względów bezpieczeństwa zazwyczaj poruszali się nocą, w dzień odpoczywali na kwaterach. W sierpniu 1947 roku patrol wdarł się na zabawę dożynkową w Gardzienicach i rozstrzelał Tadeusza Bielszę, komendanta posterunku MO w Rybczewicach. W strzelaninie zginął też przypadkowy mieszkaniec osady, a kilku zostało rannych. Z kolei w październiku 1947 roku patrol „Lalusia” rozbroił miejscowy posterunek MO we wsi Wysokie, gdzie rozstrzelał komendanta gminnego Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej i naczelnika poczty, Aleksandra Winiarskiego, oraz dokonał rekwizycji w miejscowym sklepie Gminnej Spółdzielni.

W maju 1948 roku cała piątka jechała furmanką na odprawę z kpt. „Uskokiem”. Koło wsi Kolonia Krzczonów Drugi w powiecie lubelskim wpadli w zasadzkę przygotowaną przez funkcjonariusza PUBP w Lublinie i kilku miejscowych milicjantów. Pod huraganowym ogniem broni maszynowej polegli „Pomidorek” i „Walerek”, ciężko ranny został „Mały” (zmarł po trzech miesiącach), a lżejszą ranę odniósł „Sęk”. Z zasadzki bez szwanku wyszedł jedynie „Laluś”.

W Wigilię Bożego Narodzenia 1948 roku patrol „Lalusia” odwiedził zaufanego współpracownika Antoniego Mazurka, który prowadził w Wygnanowicach sklep spożywczy. Partyzanci chcieli zrobić zakupy na święta. Funkcjonariusze UB, którzy w ciągu 1948 roku aresztowali w Wygnanowicach i okolicy wiele osób podejrzewanych o wspieranie „bandytów”, uzyskali informacje, że Mazurek i jego żona pomagają „Lalusiowi”. Uznali, że Wigilia będzie idealnym momentem na „przeгляд bandyckich melin”. Do sklepu weszło dwóch funkcjonariuszy z PUBP w Krasnymstawie. Doszło do strzelaniny, w której jeden z ubowców został ranny. Również „Laluś” dostał postrzał w brzuch. W Wygnanowicach KBW rozpoczął szczegółowe przeszukiwanie. Rannemu „Lalusiowi” udało się dotrzeć na inną kwaterę, gdzie przebrano go w strój wiejskiej kobiety i wywieziono z wioski. Zaufany lekarz opatrzył mu ranę i po kilkumiesięcznej rekonwalescencji Franczak powrócił do zdrowia. „Zygmuntowi” również udało się tym ►



Fot. AIPN

► Posesja Ludwika Misiury, miejsce śmierci „Lalusia”; funkcjonariusze SB naszkicowali sposób ułożenia zwłok zabitego

razem ująć z życiem. Niestety, na krótko. Miesiąc później, 22 stycznia 1949 roku, został otoczony na kwaterze w Klimusinie koło Fajslawic. Nie chcąc wpaść w ręce UB, podjął próbę wyrwania się z okrążenia i poległ w walce. Tym samym patrol „Lalusia” przestał istnieć.

Uderzenia sił aparatu represji dotyczyły coraz liczniejszego grona podwładnych kpt. „Uskoka”. Na początku kwietnia 1949 roku poległ dowódca innego patrolu, „Strzała”. 21 maja 1949 roku funkcjonariusze UB zlokalizowali bunkier samego „Uskoka”, który w beznadziejnej sytuacji popełnił samobójstwo, wysadzając się granatem. W odkryciu bunkra pomógł UB jego były – ujawniony – żołnierz Franciszek Kasperek „Hardy”.

„Laluś” nie odbudował już swojego patrolu. Zaczął ukrywać się samodzielnie, utrzymując jednak kontakt z nowym dowódcą, ppor. „Wiktolem”, i uczestnicząc w niektórych akcjach, m.in. – wraz z dwoma innymi partyzantami – w rozstrzelaniu 24 sierpnia 1951 roku Franciszka Drygały „Jedynki” ze wsi Passów, podejrzanego o współpracę z UB. To w jego zabudowaniach UB ujął dwóch partyzantów z patrolu „Strzały”.

10 lutego 1953 roku Franczak wziął udział w ostatniej wspólnej akcji zbrojnej. Razem z „Wiktolem” i Zbigniewem Pielakiem (Pielachem) „Felkiem” dokonali rekwizycji w kasie Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Piaskach. Do środka weszli we dwóch, „Laluś” stał na czatach w bramie miejscowego cmentarza. Partyzanci sterroryzowali urzędników, ale kasjer zdążył włączyć alarm. Zmusili go do otwarcia sejfu i zabrali pieniądze. W momencie opuszczania biura natknęli się na milicjantów. Doszło do strzelaniny, w której śmiertelnie ranny został „Wiktor”, a na miejscu zginął komendant miejscowego posterunku MO sierż. Tadeusz Stojek. Stojący na obstawie „Laluś” zranił jednego z milicjantów „Lalusiowi” i „Felkowi” udało się wycofać, ale bez pieniędzy.

Samotnie

Po akcji w Piaskach Franczak nie miał już żadnych kontaktów z innymi konspiratorami. Ukrywał się przez kolejnych dziesięć

lat. Było to możliwe dzięki zorganizowanej przez niego sieci pomocników (według danych SB liczyła ona ponad dwieście osób). Za udzielanie pomocy „niebezpiecznemu bandycie” groził kilkuletni wyrok więzienia. W tym okresie Franczak przeprowadził kilka akcji przymusowego wywłaszczenia i postrzelił milicjanta z Komendy Wojewódzkiej MO w Lublinie.

W kwietniu 1956 roku władze komunistyczne ogłosiły kolejną amnestię. Więzienia opuściło ponad 35 tys. osób, a prawie 90 się ujawniło. Józef Franczak konsultował się z jednym z lubelskich adwokatów, jednak – obawiając się długoletniego więzienia – nie zdecydował się na wyjście z podziemia. Warto podkreślić, że SB za pośrednictwem agentów również próbowała skłonić go do skorzystania z amnestii.

Poszukiwania „Lalusia” prowadzone przez UB i SB były oznaczone kryptonimem „Pożar”. Działaniami operacyjnymi objęto jego najbliższą rodzinę i znajomych. Podejmowano próby pozyskiwania konfidentów, którzy mieli obserwować i dostarczać informacji dotyczących jego najbliższych krewnych i pomocników. W domach kilku z nich zainstalowano aparaturę podsłuchową.

Na podstawie dokumentacji SB można wysnuć wniosek, że poszukujący „Lalusia” funkcjonariusze bezpieczeństwa doceniali sposób jego konspirowania. W marcu 1962 roku w jednym z raportów pisano, że przez kilka lat do SB nie docierały od lokalnej społeczności żadne informacje o tym, gdzie się ukrywał. Esbecy mieli świadomość, że osoby mu pomagające informowały go o pojawieniu się ich czy wojska. Ponadto wiedzieli, że „Laluś” do pewnego stopnia rozpoznał ich metody działania. Otrzymywał od swojej siatki informacje dotyczące tego, kto, kiedy i gdzie był wzywany przez MO. Rozmawiał z tymi osobami i dzięki temu wiedział, jakie informacje na jego temat ma Służba Bezpieczeństwa. Ponadto wiele osób pozyskanych do współpracy wyjawiało mu ten fakt, pełniąc następnie rolę tzw. agenta dwulicowego. Jeśli nie miał do kogoś pełnego zaufania, odizolowywał się od niego bądź wykorzystywał go do

swoistej gry z SB, przekazując za jego pośrednictwem nieprawdziwe informacje.

Jeden z funkcjonariuszy informował swoich zwierzchników: „[...] asekuracja i mit, jaki wytwarza bandyta i jego najbliżsi współpracownicy w rejonie ukrywania się, jakoby Franczak posiadał w organach Milicji i prokuratury swoich przyjaciół, przez których jest informowany o osobach donoszących do władz – daje mu argumenty postrachu. Z tych względów osoby, do których docieramy, obawiają się przekazywać wiernie posiadanych o nim informacji, a w częstych wypadkach odmawiają udzielenia pomocy nawet i w przypadku udowodnienia im współpracy z bandytą”.

„Laluś” był ostrożny: często zmieniał miejsce kwaterowania, nie informował swoich współpracowników, gdzie będzie w najbliższym czasie, co więcej – wskazywał kierunek swojej marszruty przeciwny do rzeczywistego.

Epilog

Na miejsce akcji w Majdanie Kozic Górnych przybyli prokurator i lekarz, którzy dokonali oględzin zwłok. Następnie przewieziono je do prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie. W trakcie sekcji, zgodnie z decyzją prokuratora, zwłoki pozbawiono głowy. Następnie złożono je w bezimiennym grobie na cmentarzu komunalnym przy ul. Unickiej. Dzięki pomocy pracownika cmentarza w 1983 roku siostrom Franczaka udało się przenieść szczątki brata do rodzinnego grobowca na cmentarzu parafialnym w Piaskach.

Miejscowa społeczność była przekonana, że zdrajcą był Wacław Beć. Prawdziwy winowajca do końca życia był poza wszelkimi podejrzeniami. Dopiero w 2005 roku piszącemu te słowa udało się odkryć sekret tajnego współpracownika „Michała”.

17 marca 2008 roku Józef Franczak został pośmiertnie odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. 🇵🇱

„Mały Londyn” po Powstaniu

Artur Zybrant

Widok konającej stolicy, za dnia ogarniętej jezorami płomieni i spowitej kirem gęstego dymu, w nocy zaś przytłoczonej ciężarem potężnej czerwonej luno, z perspektywy podmiejskiego letniska oglądano w sierpniu 1944 roku nie po raz pierwszy. Już we wrześniu 1939 roku obserwowano stąd sunące na Warszawę niemieckie bombowce, a później skutki nierównego boju warszawskiego getta. Jednak reperkusje wybuchu Powstania okazały się dla lewobrzeżnych satelitów Warszawy, takich jak Milanówek, o wiele bardziej znaczące niż wszystkie dotychczasowe wydarzenia w całych krótkich dziejach tych miejscowości. To właśnie wtedy „wielka” historia Polski zawitała tu, rozgościła się w skromnych progach i pozostała w nich przez kilka dobrych miesięcy.

Hiobowe wieści przynieśli pierwsi uciekinierzy, potwierdzając najgorsze doniesienia o masowych rzeziach na Woli. Za nimi szli już następni i w krótkim czasie kolejne fale uchodźców całkowicie zalały kilkudziesięcny Milanówek. Któż mógł przypuszczać, że ci, którzy przed wojną przyjeżdżali tu do ekskluzywnych pensjonatów na wypoczynek, teraz – umęczeni i pozbawieni dobytku – będą szukali w tym samym miejscu ledwie przetrwania. Widoczne gołym okiem kilkudziesięciotysięczne przeludnienie plastycznie odmalowała

w wspomnieniach Maria Morozowicz-Szczepkowska: „Dom nasz w Milanówku pęczniał z godziny na godzinę. Nie tylko nasz dom. Milanówek wchłaniał Warszawę. Zajęte były wszystkie domy i pensjonaty”. Kiedy wnętrza budynków zapelniały się rozbitkami, niektóre elewacje pokryło mrowie papierowych skrawków, zapisanych informacjami o poszukujących i poszukiwanych. Obok tych miejsc przewijały się dziennie setki ludzi, wśród nich pisarz Ferdynand Goettel, który zanotował: „[...] przystając pod murami i płotami, gdzie rozlepiono tysiące kartek, zaczynających się od słów:

»szukam«, »jestem«, »kto widział«, »zawiadomić«, »czy ktoś wie«. Nie pamiętam bardziej przejmującej lektury, jak ta rozdarta i rozrzucona księga niedoli stołecznej, lapidarna i prosta, a tak chwytająca za serce, że chciałoby się biec gdzieś i szukać tych zagubionych dzieci, matek, braci i sióstr”. Nie lada wyzwania stanęły też przed mieszkańcami Milanówka, którzy – jak się zresztą szybko okazało – egzamin z człowieczeństwa zdali celująco: solidarność i ofiarność stały się zjawiskami powszechnymi.

Życie nie nosiło próżni. „Nadludzkiej poddani próbie” cywile przez całą okupację zmagali się z powszechnym niedoborem podstawowych produktów. I tak jak pastylki sacharyny czy palone żołądźce stawały się surogatami niedostępnych cukru i kawy, tak teraz lewobrzeżne miejscowości w błyskawicznym tempie przemieniały się w namiastkę utraconej metropolii: „Przy torach kolejki elektrycznej wyrosły jak grzyby po deszczu kramy kupieckie, najróżniejsze drobne warsztaty, kawiarnie, restauracyjki, sklepy – opisywał metamorfozę jednego z letnisk Stanisław Wachowiak. – Wszystko to było prowizoryczne, ale czasem z dużym gustem urządzone i podzielone na ulice i uliczki”. Apropozycja takich miejsc



► Wypędzona z domu ludność stolicy poszukuje schronienia w podwarszawskich miejscowościach

Fot. NAC



► Ferdinand Ossendowski – pochowany w Milanówku pisarz i podróżnik eks-
humowany przez NKWD dwa tygodnie
po pogrzebie

nierzadko pochodziła z szabru uprawia-
nego w ruinach Warszawy. Ludzie po pro-
stu musieli z czegoś żyć.

W środowisku literackim Jarosława
Iwazkiewicza, posiadającego w okoli-
cy podmiejskiej własną willę, nazywano
to „światem na Opacz”, nawiązując do
ostatniej przed Warszawą czynnej stacji
Elektrycznej Kolei Dojazdowej, skąd da-
lej śmiałkowie wyruszali pieszo do ruin.
Tymczasem obok metodycznie niszczo-
nego miasta wyrastał nowy żywy orga-
nizm. Do Milanówka przeniesiono wiele
warszawskich szpitali, adaptując na ich

potrzeby pensjonaty i prywatne wille.
Pracowała w nich z wielką ofiarnością
młodzież, nierzadko uczestnicząca w tak
przykrych obowiązkach, jak np. przekła-
danie obrączki z ręki na rękę przed am-
putacją czy towarzyszenie umierającym.

W prawdziwą dzielnicę biznesu prze-
istoczyła się Podkowa Leśna, gdzie –
po zalaniu lokalnego rynku nadmierną
liczbą pięciusetzłotowych banknotów
(„górali”) – wybuchła panika. Dlatego
w tym „city” ustalono ich kurs na po-
ziomie 400 zł, czyli za „górala” płacono
mniej, ale za to drobnymi nominałami.
Nieodłącznym elementem pejzażu stała
się EKD – nazywana zupełnie słusznie
centralną magistralą „małej Warszawy”
– która spajała luźno rozsypane miej-
scowości w jeden zwarty organizm.
Niebiesko-zółtawe wagony popularnej
ekadeczkki, wypełnione ludźmi po brze-
gi, przypominały pod tym względem do
złudzenia stołeczne tramwaje.

W życiu codziennym wyjątkowo do-
kuczwały łapanki, prawdziwe przekleń-
stwo podmiejskiej doli. Niemcy szcze-
gólnie zaciekle tropili warszawiaków,
których wraz z ochłodzeniem aury zdra-
dzały charakterystyczne letnie płaszcze.
Obławy na ludzi trwały na okrągło, po-
chłaniając każdorazowo setki osób. Nie
ograniczały się one zresztą tylko do ulic,
nagminnie zdarzały się najścia na wille
i prywatne mieszkania.

Pod Warszawą szybko zaczęło pow-
stawać istne zagłębie konspiracyjne.
W samym tylko Milanówku funkcjono-
wały obok siebie dowództwa obwodu,
podokręgu i obszaru AK, innymi słowy
struktury podziemne od szczybla gmi-
ny do województwa. Biorąc pod uwa-
gę czasowe ulokowanie się tu Komendy
Główniej, z gen. Leopoldem Okulickim
na czele, można pokusić się o stwier-
dzenie, że w letnisku niemającym wów-
czas nawet praw miejskich znajdował
się całościowy przekrój organizacyjny
Armii Krajowej. Także urzędnicze mro-
wie Delegatury Rządu na Kraj licznie
się tu osiedliło, a Milanówek pod wzglę-
dem politycznym mienił się pełną pale-
tą barw – od prawicy po komunistów.
Centralnym punktem na konspiracyjnej
mapie tego letniska stał się bez wątpienia
lokal „U Aktorek”. W cieniu rozrywki
serwowanej przez największe gwiazdy
warszawskiej estrady codziennie odby-
wała się wyteżona praca organizacyjna.
W mieszkaniu nad lokalem debatowa-
ła Krajowa Rada Ministrów i Komisja
Główna Rady Jedności Narodowej. By-
wały tu wszystkie najważniejsze posta-
ci niepodległościowej konspiracji z gen.
Okulickim i wicepremierem Janem Sta-
nisławem Jankowskim na czele.

Nowa okupacja

Tymczasem zbliżał się kres ciszy na
froncie. Choć z nadzieją wypatrywali jej
już warszawscy powstańcy – „Czekamy
ciebie, czerwona zarazo, byś wybawi-
ła nas od czarnej śmierci”, pisał jeden
z nich, Józef Szczepański – to ofensywa
sowiecka ruszyła dopiero na początku
1945 roku. Swoim rozmachem prędko
ogarnęła okolicę podmiejską.

Czołówki Armii Czerwonej wkroczy-
ły do Milanówka 17 stycznia 1945 roku.
Moment wejścia „żołnierzy wolności”
zapamiętał Adam Bień – jeden z szes-
nastu aresztowanych wkrótce przez So-
wietów przywódców Polskiego Państwa
Podziemnego – ówczesny minister kon-
spiracyjnego rządu i zarazem mieszka-
niec Milanówka: „Patrzę, jak pierwsze
czołgi rosyjskie, stare, zdezelowane,
nędrne – lukami zwycięsko otwarte –

Fot. NAC



► Eleganckie wille Milanówka po Powstaniu Warszawskim stały się schronieniem
dla ludności stolicy, były też adaptowane na szpitale

oblepione przez liczną gawieź miejscową, pędzą ulicą Piłsudskiego w pogoni za Niemcami... Nieliczni obywatele Milanówka, z niemym zdumieniem, patrzą na zasmoloną, obszarpaną armię ową, która pokonała Niemców”. Rozterki mieszkańców, jakże charakterystyczne dla stanu umysłu ówczesnych Polaków, uwidaczniały się również na milanowskich ulicach, które – *nolens volens* – witały wkraczające wojska: „Ktoś wyciągnął butelkę wódki. Ktoś wznosił toast: »Zdrowie Armii Czerwonej«. Ktoś inny dodał »Niech ją szlag trafi«” – wspominał Stanisław Markowski. Już nazajutrz masy popowstaniowych rozbitków ruszyły długim korowodem do zrujnowanej Warszawy i podmiejskie miejscowości zaczęły się wyludniać. Nie oznaczało to jednak kresu życia konspiracyjnego – wręcz przeciwnie – wciąż ono kwitło i już w lutym kierownictwo podziemia ścigało tu znowu z różnych stron Polski. Na to tylko czekały jacejki sowieckich i „lubelskich” organów bezpieczeństwa, zagnieżdżone w prywatnych willach, w pełni gotowe do ostatecznej rozprawy.

Pierwszym przejawem działalności NKWD stała się niecodzienna wizyta na milanowskim cmentarzu. Dwa tygodnie wcześniej pochowano tu Ferdynanda Ossendowskiego, znanego podróżnika i autora wielu bestsellerów. Nie dając wiary informacjom o jego śmierci, przybyli na

miejsce funkcjonariusze zbudzili miejscowego grabarza, a następnie zmusili go do odkopania trumny i otwarcia wieka. Przeprowadzona w błyskawicznym tempie ekshumacja w pełni potwierdziła tożsamość autora głośnej powieści o Leninie, stawiającej wodza światowej rewolucji w mocno negatywnym świetle.

Ten złowieszczy incydent miał mieć swój ciąg dalszy. Rozpracowanie Milanówka rozpoczęło się jeszcze przed ofensywą, ponieważ zamknięcie frontu na kilka miesięcy nie oznaczało zupełnej ciszy na jego zapleczu. Sowietci ustawicznie przeczucali za Wisłę grupy wywiadowcze, których funkcjonowanie w dużym stopniu koncentrowało się na penetracji lokalnych struktur AK. Wspominał o tym Józef Światło, późniejszy zastępca dyrektora Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który po słynnej ucieczce na Zachód rozgłaszał swe rewelacje na falach Radia Wolna Europa. W 1945 roku brał on znaczący udział w licznych operacjach NKWD prowadzonych tu na szeroką skalę. Podkreślał potem istotną rolę, jaką w wyniszczaniu AK odegrali zrzućeni wcześniej pracownicy sowieckiego wywiadu: „Jeden z agentów zgłosił się w Milanówku, a drugi w Grodzisku Mazowieckim. Na podstawie ich informacji operacyjna grupa sowiecka rozpoczęła natychmiast masowe aresztowania”.



Fot. P. Życieński

► Tablica na bramie willi „Stefania”

Polowania na patriotów

Wkrótce narodziło się określenie „mały Londyn”, początkowo zarezerwowane dla Milanówka, z czasem rozciągnięte także na sąsiednie miejscowości. Wedle nieco anegdotycznej wersji, autorem tego terminu miał być miejscowy komendant wojskowy, kpt. Mazurow, powierzchownością przypominający głównego bohatera *Zapisków oficera Armii Czerwonej* Sergiusza Piaseckiego. Pytany o Milanówek, zwykł z przekąsem odpowiadać mieszkańcom, że bardzo mu się w nim podoba, bo to taki „mały Londyn”, co było aż nadto czytelną aluzją do gęsto skupionych tu władz uznających rząd polski nad Tamizą. Myślenie o Milanówku w takich kategoriach powodowało konkretne implikacje. Na nic się zdały akty dobrej woli czy niestosowanie odwetu wobec garstki miejscowych komunistów, sięgających tu po władzę w prawdziwie proletariackim stylu. Już w lutym NKWD doszczętnie rozbiło dowództwo milanowskiej „Mielizny”, w początkach marca spustoszone komendę Obwodu „Bażant”, ciężkie razy spadły też na kierownictwo Obszaru Warszawskiego AK. Ofiarą zawziętych polowań padł stojący na jego czele pplk. Zygmunt Marszewski „Kazimierz”, aresztowany i więziony przez kilka kolejnych miesięcy. Nieprzerwanie trwały też zatrzymania szeregowych żołnierzy AK. ►



Fot. P. Życieński

► Willa „Stefania”, miejsce spotkań Krajowej Rady Ministrów i Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej

W tej sytuacji coraz częściej salwowano się ucieczką, co uratowało komendanta Podokręgu Zachodniego, ppłk. Franciszka Jachiecia „Romana”.

Swoistym *modus operandi* NKWD na terenie Milanówka stały się kotły, czyli blokady podejrzanych mieszkań. Metoda nie należała do skomplikowanych: każdy, kto wpadł w pułapkę, nie mógł jej przed czasem opuścić. Założenie trzydziestu kotłów szybko przynosiło rezultaty. Losy aresztowanych w ten sposób ludzi zazwyczaj układały się w czytelny schemat. Po bardzo ciężkim przesłuchaniu w jednej z placówek NKWD – najczęściej w podwarszawskich Włochach lub na Pradze – aresztowany przeważnie trafiał do obozu NKWD w Rembertowie, gdzie warunki bytowe należały do niezmiernie trudnych, ale istniała możliwość otrzymywania paczek i nieformalnych widzeń z bliskimi – zza ogrodzenia, czasami nawet z wymianą kilku zdań na odległość. Powodowało to, że obóz stale otaczali bliscy więzionych (głównie kobiety), godzinami wyczekujący na siarczonym mrozie. Wobec paraliżu komunikacyjnego rodziny więźniów mieszkające w Milanówku musiały przebywać pieszo każdorazowo w obie strony niemal po 100 km.

Tę niebezpieczną drogę pokonywała też Melania Kocyan Hellersperk, żona por. Stefana Hellera, aresztowanego komendanta milanowskiej AK. Była

Amerkanką, którą wojna zaskoczyła w Polsce podczas miesiąca miodowego. Pozostała u boku męża i spędziła całą okupację w Milanówku, co po latach opisała we wspomnieniach wydanych w Stanach Zjednoczonych. Pocałunek tych dwojga przez druty kolczaste obozowego ogrodzenia, możliwy dzięki łopówce – butelce whisky – jak się wkrótce okazało, musiał wystarczyć na lata, bo dla znacznej części Polaków wojna wcale nie kończyła się w 1945 roku, co celnie uchwycił Jacek Kaczmarski w balladzie *Jałta*: „Gdy na zachodzie działa grzmiały/ Transporty ludzi szły na wschód/ Świat wolny święcił potem tryumf/ Opustoszały nagle fronty/ [...]. A tam transporty i transporty”. W jednym z eszelonów pod koniec marca znalazł się – wraz z innymi milanowskimi ofiarami – także mąż Melanii. W tym samym wagonie umieszczono legendarnego gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, aresztowanego również w Milanówku 7 marca 1945 roku. Chociaż obozowy los nie oszczędzał Hellera – stracił oko i ledwie uratował drugie – przetrwał i powrócił do kraju, a następnie uciekł z Polski, aby dotrzeć do żony i syna w USA.

Nie wszyscy podzielili dołą zesłańców, co początkowo wcale nie oznaczało lepszych perspektyw. Zazwyczaj trafiali bowiem do innych więzień. Do sporej części osadzonych w Rembertowie los

się jednak uśmiechnął. W maju udaną akcję rozbicia obozu przeprowadził oddział ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichury”. Wedle szacunków uciekło wówczas kilkaset osób. Jednak i w tym przypadku samo wydostanie się zza obozowego drutu nie gwarantowało jeszcze ostatecznego sukcesu. Znaczną część ludzi zastrzelono, sporo też ujęto i poddano torturom, w wyniku czego wielu zmarło. W grupie szczęśliwców znalazła się Weronika Oleśńska z Milanówka, łączniczka delegatury, która po prawdziwej odysei szczęśliwie dotarła do domu.

Ponurym finałem opresyjnej polityki służb sowieckich stała się marcowa prowokacja NKWD, skutecznie obliczona na ujęcie przywódców Polski Podziemnej. Pod pozorem rzekomych rozmów politycznych zwabiono ich do Pruszkowa i tam aresztowano. Pierwsze kontakty ze stroną polską nawiązano we wspomnianym już lokalu „U Aktorek”. Do właściciela zgłosił się tajemniczy oficer, Zbigniew Woronicz, z sensacyjną wiadomością, że sztab Armii Czerwonej pragnie spotkać się z dowódcą AK, aby rozwiązać wszelkie palące kwestie. Ten sam człowiek przyniósł w marcu listy, adresowane do Okulickiego i Jankowskiego, w których płk. Konstanty Pimienow, reprezentant gen. Iwanowa (Sierowa), gwarantował im bezpieczeństwo oficerskim słowem honoru.

W tym samym czasie, gdy jedni posługiwali się fortelem i wojskową kurtuzją, inni bez wkładania białych rękawiczek dokonywali licznych aresztowań – m.in. 8 marca w kotle na rynku w sąsiednim Brwinowie wspomniany Światło pojmał czołówkę polityczną Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. Jeszcze tego samego dnia zatrzymano w Milanówku endeka Aleksandra Zwierzyńskiego. Kilka tygodni później dołączono go do grupy polityków ujętych w Pruszkowie i wraz z nimi wysłano do Moskwy, gdzie zostali osądzeni w czerwcu, w słynnej Sali Oktiabrskiej Domu Związków, w głośnym pokazowym procesie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. 🇵🇱

Artur Zybrant – laureat II miejsca w konkursie „Czytelnicy do piór!”

Kawiarnia „U Aktorek” w willi „Stefania” w Milanówku, gdzie odbywały się narady władz cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego, mieściła się przy ul. Grudowskiej 6. Po wojnie patronem ulicy został Alfred Fiderkiewicz (1886–1972) – lekarz i działacz polityczny. W 1922 roku został wybrany do Sejmu RP z listy PSL–Wyzwolenie. Działał w Niezależnej Partii Chłopskiej, współpracował z Komunistyczną Partią Polski. W 1926 roku był kandydatem KPP i NPCh na prezydenta RP. Od 1943 roku do stycznia 1945 roku więziony w KL Auschwitz. Po wojnie należał do Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W 1945 roku pełnił obowiązki prezydenta Krakowa, był przedstawicielem

rządu warszawskiego w Londynie, Montrealu i Budapeszcie, a następnie dyrektorem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Na ironię zakrawa fakt, że tajne miejsce spotkań Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej – podziemnych władz polskich – mieści się przy ulicy noszącej dziś imię działacza komunistycznego.



Bitwa na rocznice

Grzegorz Dumala

Po godzinie 19.00, 11 listopada 1978 roku, na Placu Zwycięstwa w Warszawie zebrał się tłum. Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny „Polityki”, który akurat tego dnia wraz z przyjaciółmi wybrał się na kolację do hotelu „Victoria”, tak zapamiętał ten wieczór: „Na płycie przed Grobem Nieznanego Żołnierza znalazło się chyba nie więcej jak dwa tysiące ludzi, a może nawet mniej. [Daniel] Passent relacjonował mi później, że wznoszono okrzyki: »Niech żyje prymas«, »Niech żyje wolne harcerstwo«, »Niech żyje niepodległa Polska«, »Chcemy prawdy o Katyniu«, »Nie ma chleba bez wolności«. Odśpiewano wszystkie zwrotki hymnu oraz *My, pierwsza brygada*. Jakiś starszy pan powiedział: »38 lat czekałem na te chwile«. Milicja nie interweniowała. Przyglądała się z boku, ale wyobrażam sobie, ilu tam było między publicznością agentów MSW”.

Dwutysięczna cizba przybyła w okolice Ogrodu Saskiego z katedry św. Jana, w której biskupi Jerzy Modzelewski i Bronisław Dąbrowski odprawili wspólnie uroczystą mszę. Wcześniej w kościele św. Jacka poświęcono tablice ku czci komendantów głównych Armii Krajowej – Stefana Roweckiego i Leopolda Okulickiego. Poprzedniego dnia tak samo upamiętniono Józefa Piłsudskiego. Wedle wspomnień Jana Józefa Lipskiego, w czasie mszy „ogromny tłum wypełnił katedrę, sąsiadujący z nią kościół oo. Jezuitów i całą ulicę Świętojańską oraz okolice od placu Zamkowego po Rynek Starego Miasta,

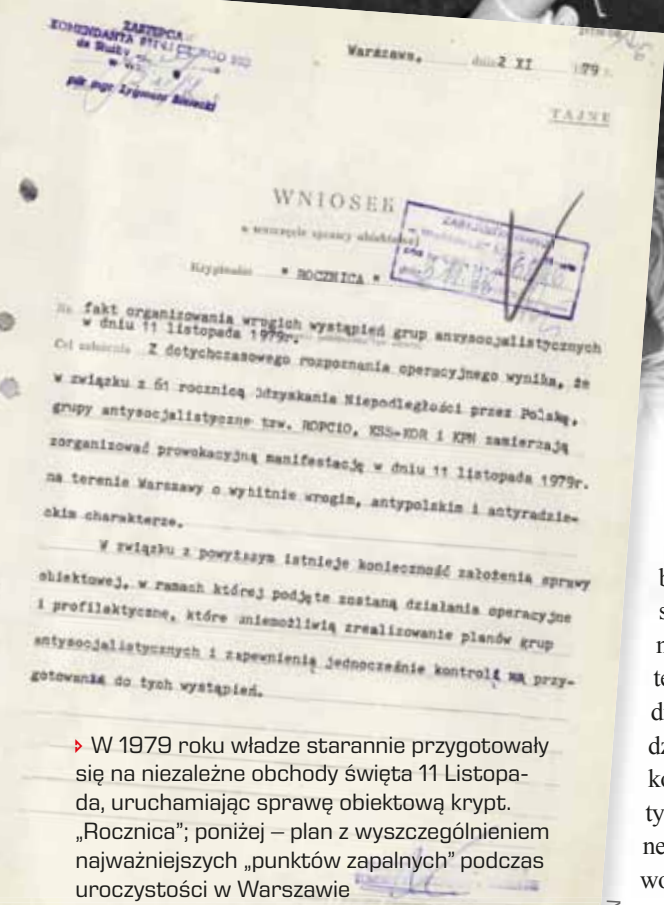
tego dnia nagłośnie”. Po mszy dwutysięczny tłum przemaszerował przed Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie przemówienie wygłosił powstaniec warszawski Jerzy Gren; złożono kwiaty i odśpiewano pieśni patriotyczne. Ludność Warszawy po raz pierwszy od czterdziestu lat obchodziła rocznicę odzyskania niepodległości.

Przed wojną i w Polsce „lubelskiej”

Święto 11 Listopada niemalże z zasady było skazane na zapomnienie w rzeczywistości, która ukształtowała się w Polsce po 1944 roku. Symbolika tego święta była bowiem związana z potępianą przez komunistów tradycją sanacyjną i piłsudczykow-

ską. W czasach II Rzeczypospolitej bardzo trudno było znaleźć datę, którą wszystkie siły polityczne wspólnie uznałyby za godną upamiętnienia. Za 11 listopada przemawiały dwa fakty – tego dnia została wyzwolona Warszawa, a we francuskim Compiègne zawarto rozejm, co zostało później uznane za koniec I wojny światowej. Symbolika była jasna, wiązała odrodzenie Polski z klęską Niemiec i zwycięstwem ententy. Dla sanacji nie bez znaczenia był jednak fakt, że tego właśnie dnia Józef Piłsudski objął najwyższą władzę wojskową w kraju. Z biegiem czasu ten ostatni czynnik przesłonił dwa pozostałe i święto na trwałe wpisało się w kult Marszałka. Dość powiedzieć, że pierwsze oficjalne obchody państwowe zostały ustanowione zaraz po przewrocie majowym, a sama data na mocy ustawy uchwalonej już po śmierci Piłsudskiego stała się świętem narodowym.

Mimo to 11 listopada 1944 roku – na całym wówczas podległym polskim komunistom terenie – hucznie świętowano 26. rocznicę odzyskania niepodległości. W okresie II wojny światowej święto nabrało nowej symboliki, stając się rzeczywiście datą jednoczącą. Zarówno endecja, jak i socjaliści – w okresie międzywojennym ostentacyjnie lekceważący 11 Listopada – w czasie II wojny światowej uznali tę datę za święto narodowe. Chęć podkreślenia ciągłości władzy i zaadaptowania ugruntowanych tradycji przeważała nad programową niechęcią do obozu ▶



► Bronisław Komorowski przemawiający przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie 11 listopada 1979 roku; obok niego współorganizatorzy manifestacji: Andrzej Czuma (zatrzymany po demonstracji przez SB) i Wojciech Ziemiński (w kożuchu)

Fot. AIPN

► W 1979 roku władze starannie przygotowały się na niezależne obchody święta 11 Listopada, uruchamiając sprawę obiektową krypt. „Rocznica”; poniżej – plan z wyszczególnieniem najważniejszych „punktów zapalnych” podczas uroczystości w Warszawie



Fot. AIPN

belwederskiego. Te same pobudki stały za decyzją nowej władzy komunistycznej w roku 1944. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że kilka dni wcześniej, 7 listopada, obchodzono święto rewolucji październikowej, a tak bliskie zestawienie obu tych dat mogło być różnie odbierane. Rok później, już po zakończeniu wojny, nie obchodzono rocznicy odzyskania niepodległości – zastąpiło ją nowe Narodowe Święto Odrodzenia Polski (22 lipca). Sytuacja ta trwała aż do 1978 roku.

Co skłoniło ówczesnie rządzących do podjęcia decyzji o zorganizowaniu oficjalnych obchodów? Włodarze kraju zdawali sobie sprawę z tego, że opozycja, a przede wszystkim Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, zamierza zorganizować własne obchody. Władze miały do czynienia z zupełnie nową sytuacją, do tej pory bowiem obchody 11 Listopada, o ile się odbywały, nie opuszczały murów kościołów, zamykały się w obrębie środowisk kombatanckich. Być może w konfrontacji z perspektywą masowych manifestacji uznano, że nierozsądnie byłoby pozwolić opozycjonistom całkowicie zawładnąć symboliką niepodległościową. W grę mogła też wchodzić reakcja na niedawny wybór Karola Wojtyły na papieża, co nadwężyło pozycję rządzącej Polską ekipy. Zresztą Edward Gierek, I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w obliczu trudności niejednokrotnie przez odwołania do przeszłości szukał społecznej akceptacji.

Fot. AIPN

Skoro udało się kilka razy, dlaczego nie miałyby się udać po raz kolejny?

Rocznica o pięć dni wcześniej

Bariera nie do przekroczenia była jednak sama data – 11 listopada był zbyt niewygodny, by dało się go wkomponować do oficjalnej polityki pamięci. Wobec tego zdecydowano się obchodzić sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości kilka dni wcześniej. Odwołano się do dawnej tradycji pepeesowskiej. W okresie międzywojennym socjaliści ostentacyjnie świętowali rocznicę powstania Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie w nocy z 6 na 7 listopada 1918 roku, bo w gabinecie tym zasiadali przede wszystkim przedstawiciele PPS, z Ignacym Daszyńskim na czele. W okresie PRL karierę zrobiło także inne zdarzenie związane z odradzeniem się Polski po I wojnie światowej. Niemal równoległe z rządem Daszyńskiego w Tarnobrzegu powstała chłopska republika komunistyczna. Na jej czele stanęli dwaj radykalni działacze ludowi: ks. Eugeniusz Okoń i legionista Tomasz Dąbał. Republika swe ostrze skierowała zarówno przeciw władzy austriackiej, jak i okolicznym ziemianom, z latyfundystami hrabiami Tarnowskimi na czele. Przywódcy republiki porozdzielali ziemię dworską w powiatach otaczających Tarnobrzeg. Efemeryda przestała istnieć w styczniu 1919 roku za sprawą wojsk Polskiej Komisji Likwidacyjnej, lecz stała się ważnym punktem odniesienia dla radykalnych polityków II Rzeczypospolitej.

Odwołanie się do dwóch wydarzeń – jednego kojarzonego z ruchem robot-

niczym, drugiego z ruchem chłopskim – wpisywało się w oficjalne legitymizowanie państwa „demokracji ludowej” jako oparte-go na sojuszu robotniczo-chłopskim. Zorganizowanie oficjalnych uroczystości na kilka dni przed obchodami opozycyjnymi zapobiegało ryzyku niebezpiecznych spięć, których w tym trudnym okresie władza wolała unikać. Ponadto pozwalało odciąć się od sanacyjnej symboliki 11 listopada, a jednocześnie można było liczyć na przejście części jednoczącego, ogólnonarodowego blasku listopadowych obchodów.

„Trybuna Ludu” już od początku listopada budowała legendę nowemu świętu. W numerze z 1 listopada ukazał się wywiad z Józefem Dumą, jednym z uczestników i założycieli republiki tarnobrzeskiej, o wymownym tytule: *Gdy Tarnobrzeg był republiką. To dziś Polska A*. Bohater wywiadu podkreślał z całą mocą, że projekt rozpoczęty przez niego 60 lat temu, znalazł swój finał w PRL, a czas pomiędzy był okresem, w którym region spadł do drugiej kategorii. Do artykułów dotyczących Republiki Tarnobrzeskiej dołączyły też te poświęcone rewolucji październikowej, oba wydarzenia często były zresztą łączone jako komplementarne – zwycięstwo rewolucji otworzyło jakoby drogę do polskiej niepodległości. Przywoływano słowa orędzia Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z marca 1917 roku: „Przesyłamy narodowi polskiemu swe pozdrowienia bratnie i życzymy mu powodzenia w oczekującej go walce o wprowadzenie w niepodległej Polsce demokratycznego republikańskiego ustroju”.

Zwieńczeniem obchodów była uroczysta sesja sejmowa z przemówieniem I sekretarza

► Ulotka ROPCiO zachęcająca do udziału w uroczystościach związanych z obchodami Święta Niepodległości

rza KC PZPR. Edward Gierek, który z powodu bólu kręgosłupa wygłaszał mowę na siedząco, ograniczył się, jak to określił Rakowski, do „zgrabnych, okrągłych zdań”, w których wspominał o roli rewolucji i tradycji ludowych w odzyskaniu przez Polskę niepodległości: „Tylko w warunkach stworzonych przez zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Rosji i klęskę wojenną mocarstw centralnych, sprzężoną z narastającą w Niemczech i monarchii habsburskiej falą rewolucyjną, mógł przynieść owoce patriotyzm wszystkich poczynań i walk niepodległościowych”. Dominowała jednak tonacja koncyliacyjna: „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest matką wszystkich Polaków. Wszyscy – niezależnie od przynależności partyjnej, zawodu i pochodzenia, wykształcenia czy stosunku do religii – są jej córkami i synami, których otacza troską”.

Opozycji spory o przeszłość

Zupełnie odmienne były opinie opozycji, w której zaczynało właśnie kipieć do podziałów ideowych, a stosunek do przeszłości był jednym z ich niebagatelnych składników.

ROPCiO, który powstał w roku 1977, równie silnie jak obronę praw człowieka, cenił sobie idee niepodległościowe, łącząc to z kultywowaniem tradycji II Rzeczypos-

politej i pielęgnowaniem pamięci o Piłsudskim. Była to główna różnica między nim a Komitetem Obrony Robotników, który miał dużo bardziej ambiwalentny stosunek do przedwojennej historii polskiej. Ten rozdzwięk objawił się właśnie w trakcie prac nad oświadczeniem Komitetu z okazji zbliżającej się rocznicy 11 listopada. Tak wspominał to Jacek Kuroń: „A tu nagle w dyskusji nad projektem tekstu podzieliliśmy się nie według opcji prawica – lewica, ale idealnie wiekowo, według pokoleń. Projekt napisany przez Jana Józefa Lipskiego i Jurka Ficowskiego cała młoda część KOR-u łącznie z grupą »Głosu« uważała za dobry, gdyż wyrażał także krytyczny stosunek do międzywojnia. Oddając cześć wielkiemu dziełu Dwudziestolecia, chcieliśmy też wspomnieć o Berezie Kartuskiej, o zamachu majowym, o prześladowaniu mniejszości narodowych. W tym momencie wszyscy, ale to wszyscy Starsi Państwo zakrzyknęli chórem: Świętości nie szargać!”. Warto przy tym pamiętać, że większość starej gwardii KOR-u stanowili członkowie przedwojennej PPS, będącej od 1926 roku w ciągłej opozycji. ►

► Przywrócenie Święta Niepodległości stało się jednym z postulatów środowisk opozycyjnych; na zdjęciu: tłumy przed katedrą św. Jana w Warszawie, 11 listopada 1981 roku



Fot. AIPN



Fot. AIPN

W tym gronie byli też przedwojenni liderzy partii, jak Antoni Pajdak i Ludwik Cohn, oraz intelektualiści w II RP ściśle związani z socjalistami, m.in. Anieła Steinsbergowa czy Edward Lipiński. Ostatecznie argumenty młodych musiały zwyciężyć, gdyż w tekście rozdawanym w katedrze św. Jana zostały także wspomniane ciemne strony II Rzeczypospolitej.

W oświadczeniach wydawanych z tej okazji przez ROPCiO mniej było mowy o niepodległej Polsce, a więcej o drodze do niej i jej utracie w latach II wojny światowej. Wymowa ulotek ROPCiO była też utrzymana w tonie bardziej bojowym i nastawionym na konfrontację – co nie może dziwić, zważywszy że to Ruch organizował wszystkie niezależne uroczystości, a przede wszystkim pochody ulicami miast. Co ważne, zarówno Komitet, jak i Ruch deprecjonowały rolę rewolucji w odzyskaniu przez Polskę niepodległości, co było oczywistą konfrontacją z linią przyjętą przez władze, a także podkreślały rolę czynników wewnętrznych – woli i czynu samych Polaków – czynniki zewnętrzne sprowadzając do roli sprzyjającej koniunktury.

Bitwa na symbole

Kraków był, po Warszawie, drugim miastem, w którym odbyły się największe manifestacje; tłumnie wzięli w nich udział studenci. Główne obchody poprzedziła msza na Wawelu, złożenie kwiatów przy kryptie Piłsudskiego, a także pochód do Grobu Nieznanego Żołnierza. „Opinia Krakowska”, niezależne pismo opozycyjne, donosiła: „W uroczystości wziął udział najstarszy stopniem żyjący żołnierz II Rzeczypospolitej gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, który przybył w przedwojennym generalnym mundurze. Po wyjściu z katedry był On formalnie oblegany przez licznie przybyłą młodzież, do której wygłosił krótkie przemówienie, i rozdał wiele autografów”. Wieczorem odbyła się msza w kościele mariackim, po której uformował się kolejny, dużo liczniejszy, pochód do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie podobnie jak w Warszawie odśpiewano pieśni patriotyczne, a głos zabrał członek ROPCiO Jan Jarosz. „Opinia Krakowska” nie omieszkła jeszcze donieść, że rankiem 11 listopada grupa studentów wymalowała na ścianie budynku przy ulicy Manifestu Lipcowego napis „Ul. J. Piłsudskiego”, czyli jej przedwojenną nazwę. Gdy napis zamalowano, młodzi aktywiści ponowili swoją akcję.

Pochody pod Grób Nieznanego Żołnierza odbyły się także w Gdańsku i w Łodzi. Jedynie w Gdańsku milicja próbowała utrudnić przemarsz, który jednak dotarł na miejsce, gdzie głos zabrał Aleksander Hall. W Lublinie władze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego połączyły obchody Święta Niepodległości z sześćdziesięcioleciem założenia ich uczelni, a studenci historii KUL zorganizowali wieczornicę i pochód nocny na groby poległych legionistów. Ich koledzy z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej również, choć w sposób mniej zorganizowany, wzięli udział w uroczystościach 11 Listopada.

Determinacja ta świadczy o jednym – docenieniu siły symboli. Tak jak władza, nakażująca ściąganie flag narodowych wywieszonych 6 listopada w nieprzekraczalnym terminie do 9 listopada, tak samo studenci, uparcie wymalowujący imię Józefa Piłsudskiego na ścianie kamienicy, zdawali sobie sprawę z mocy sprawczej symboli i doce-

niali ich znaczenie w wyrażaniu własnych wartości. Istotne miejsce wśród nich zajmowała historia. Opozycja i władza z rozmysłem sięgnęły w listopadzie 1978 roku do tego arsenału, poczucie ciągłości i zakorzenienia dawało ich działaniom szansę na społeczną akceptację i identyfikację.

W następnym roku zarówno opozycja, ośmielona zeszlórocznym, spokojnym przebiegiem uroczystości, jak i władza, działały mniej zachowawczo. Manifestacje, które zorganizowano w Warszawie, Gdańsku, Krakowie i Lublinie, były przerwane, organizatorzy aresztowani, docho- dziło także do spięć i bójek.

Opozycyjne obchody Święta Niepodległości w PRL przeżyły swój rozkwit w 1980 i 1981 roku. Objęły wówczas swym zasięgiem niemal każde większe miasto, współtworzyło je też więcej organizacji, z Solidarnością na czele. Święto nadal było polem szczególnej walki symbolicznej. W 1981 roku, po raz pierwszy od roku 1945, władza postanowiła zorganizować oficjalne obchody 11 Listopada, ale był to jednostkowy przypadek. Po wprowadzeniu stanu wojennego jedynie Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (podporządkowana władzom fasadowa koalicja PZPR, stronnictw satelickich i oficjalnych stowarzyszeń katolickich) organizował „półoficjalne” obchody 11 Listopada. Atmosfera w 1982 roku była wyjątkowo gorąca – był to pierwszy 11 listopada po wprowadzeniu stanu wojennego, w dodatku dzień wcześniej wypadała rocznica rejestracji NSZZ „Solidarność”. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, w odpowiedzi na zapowiedzianą likwidację związków zawodowych, zaplanowała na 10 listopada strajk generalny. Akurat tego dnia zmarł Leonid Breżniew, co dodatkowo wzburzyło nastroje.

Do końca istnienia PRL w kolejne rocznice odzyskania niepodległości opozycja organizowała msze, uroczyste składanie wieńców oraz przemarsze, konsekwentnie rozpędzane przez służby porządkowe. Sytuacja ta trwała do 15 lutego 1989 roku, kiedy to sejm PRL oficjalnie przywrócił obchodzenie Święta Niepodległości 11 listopada. ❀

Grzegorz Dumala – student historii i socjologii na Uniwersytecie Warszawskim



▶ Wojna na rocznice: na plakacie Sławomira Lewczuka z 1978 roku nie ma daty 11 listopada

Polonia Restituta

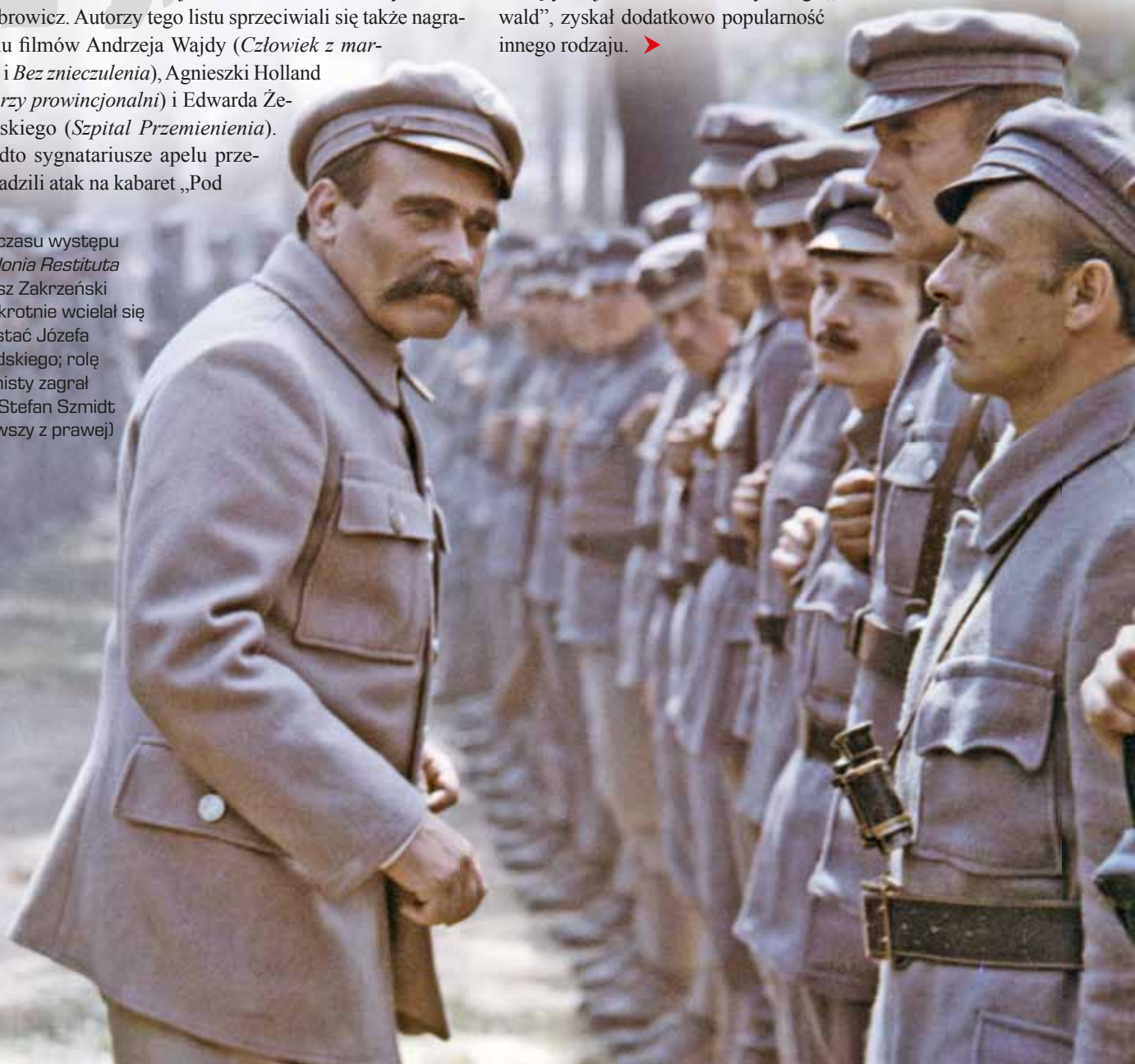
Jerzy Eisler

Bohdan Poręba, bliski władzy komunistycznej, potrafił zrealizować film, który sprawiedliwie oddaje racje poszczególnych aktorów politycznej rozgrywki z okresu walk o niepodległą Polskę.

27 marca 1980 roku 44 filmowców, historyków, publicystów i aktywistów, określających się mianem „patriotycznej lewicy”, zaapelowało do władz PRL o zaostrezenie polityki kulturalnej i ograniczenie „masowego wystawiania sztuk” takich autorów jak Sławomir Mrożek czy Witold Gombrowicz. Autorzy tego listu sprzeciwiali się także nagradzaniu filmów Andrzeja Wajdy (*Człowiek z marmuru* i *Bez znieczulenia*), Agnieszki Holland (*Aktorzy prowincjonalni*) i Edwarda Żebrowskiego (*Szpital Przemienienia*). Ponadto sygnatariusze apelu przeprowadzili atak na kabaret „Pod

Egida”, w którym – w ich ocenie – wyszydza się „podstawowe wartości socjalizmu i prowadzi nieprzebiegającą w środkach agitację antyradziecką”, oraz poddali krytyce pisma społeczno-kulturalne, takie jak: „Polityka”, „Kultura” czy „Literatura”, popierające „autorów występujących z pozycji niezyciowych cudzoziemców”. Pod listem podpisy złożyli m.in.: Ryszard Gontarz, Ryszard Filipiński, Bożena Krzywobłocka, Bohdan Poręba i Wojciech Roszewski. W tym gronie postacią najbardziej chyba znaną był reżyser filmowy Bohdan Poręba (m.in. *Hubal* oraz *Gdzie woda czysta i trawa zielona*), od pięciu lat będący kierownikiem artystycznym Zespołu Filmowego „Profil”. W marcu roku 1981, gdy Bohdan Poręba został przewodniczącym Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, zyskał dodatkowo popularność innego rodzaju. ➤

➤ Od czasu występu w *Polonia Restituta* Janusz Zakrzeński wielokrotnie wcielał się w postać Józefa Piłsudskiego; rolę legionisty zagrał m.in. Stefan Szmidt (pierwszy z prawej)



Z hollywoodzkim rozmachem

Jeżeli jednak publicznie upominał się o filmy afirmujące wartości patriotyczne i narodowe, to należy mu sprawiedliwie oddać, że sam takie obrazy starał się realizować. Bez wątpienia największą popularność przyniosła mu doskonale przyjęta zarówno przez masową widownię, jak i krytykę, wspomniana już opowieść o mjr. Henryku Dobrzańskim „Hubalu”. W końcu lat siedemdziesiątych reżyser zdecydował się dalej pójść tą drogą i zrealizować potężny, epicki film opowiadający o walce zbrojnej i działalności politycznej na rzecz odbudowy niepodległego państwa polskiego w okresie I wojny światowej. Obrazem tym Bohdan Poręba wychodził naprzeciw – powtarzającemu się stosunkowo często w tytułach prac maturalnych oraz w rozmaitych pytaniach egzaminacyjnych na studiach historycznych – kompleksowi zagadnień określanych mianem „sprawy polskiej w czasie I wojny światowej”. Miał to więc być swoisty popularny wykład na ten temat, adresowany zwłaszcza do młodszego pokolenia Polaków.

Było to w sumie logiczne w sytuacji, gdy scenariusz – bazujący na prowadzonych na szeroką skalę własnych badaniach naukowych – przygotował ówczesny „nadworny dziejopis PRL”, prof. Włodzimierz T. Kowalski. Dwuczęściowy, trwający w sumie trzy i pół godziny, barwny film zrealizował zaś Bohdan Poręba. Od razu należy zaznaczyć, że uzyskał on ogromne, trudne dzisiaj do powtórzenia, a nawet do wyobrażenia sobie możliwości realizatorskie. Polską ekipę wspierali filmowcy ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Węgier. Wystarczy przy tym powiedzieć, że – poza Polską – zdjęcia plenerowe do tej superprodukcji kręcono m.in. w: Leningradzie, Londynie, Paryżu, Rzymie, Waszyngtonie i Wersalu, co w warunkach PRL było czymś zupełnie wyjątkowym. Normą było wszak, że ze względów oszczędnościowych (aby nie wydawać – jak wtenczas mówiono – bezcennych dewiz na wyjazd ekipy na zagraniczne plany zdjęciowe) ulice polskich miast – „odpowiednio” ucharakteryzowane przez scenografów – odgrywały role zachodnich metropolii.

Tymczasem w tym filmie nie tylko zdjęcia kręcono w oryginalnych miejscach, ale jeszcze w scenach zagranicznych pojawiały się samochody z epoki i ludzie ubrani tak, jak noszono się w czasie I wojny światowej. Wszystko na to wskazuje (przede wszystkim słabe naświetlenie barwnej taśmy filmowej), że z powodów oszczędnościowych ujęcia te realizowano o świcie, bardzo wcześnie rano, aby nie trzeba było zatrzymywać ruchu pojazdów i ograniczać przejść pieszym.

Film był w ogóle wielkim przedsięwzięciem logistycznym. W jego realizacji wzięło udział kilkudziesięciu aktorów, z których zdecydowana większość wcieliła się w role postaci historycznych, a w realizacji scen masowych uczestniczyło kilka tysięcy statystów. Dla tych wszystkich ludzi należało przygotować tysiące ubrań cywilnych i mundurów. Poza tym na planie zgromadzono także ogromne ilości mebli, obrazów, bibelotów, rozmaite pojazdy, broń, konie itd. Osiągnięto jednak

dzięki temu naprawdę imponujące efekty. *Polonia Restituta* jest opowieścią o tym, jak w latach 1914–1919 walczono o odzyskanie przez Polskę niepodległości i o kształt jej terytorium państwowego. Twórcy filmu starali się przy tym uwzględnić wszystkie najważniejsze rozgrywające się wówczas wydarzenia, pokazać wszelkie inicjatywy polityczne, które – chociaż pośrednio – przyczyniły się do odzyskania przez Polskę niepodległości, jak najwierniej zaprezentować racje poszczególnych ugrupowań, obozów politycznych, a nawet konkretnych polityków, wreszcie – w szerokim zakresie uwzględnić zmieniający się z roku na rok stosunek poszczególnych mocarstw do tzw. sprawy polskiej.

Plejada gwiazd

Bohdan Poręba – co było krokiem śmiałym, ale zarazem okazało się posunięciem udanym – oprawę muzyczną filmu powierzył Czesławowi Niemenowi. Jednocześnie zgromadził na planie filmowym znakomitą obsadę aktorską, co w następnych latach w wypadku jego filmów nie było już w takim zakresie możliwe. Było to zresztą konsekwencją czynników pozateatralnych, a mówiąc dokładniej – dokonanych w początku lat osiemdziesiątych wyborów politycznych. Łączyło się to więc z jednej strony z zaangażowaniem Poręby w organizację i działalność Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, z drugiej zaś z manifestacyjnym wręcz wsparciem ze strony wielu najwybitniejszych i/lub najbardziej popularnych aktorów dla Solidarności, co w stanie wojennym przybrało formę bojkotu telewizji, a także powstrzymywania się od udziału w filmach lub spektaklach telewizyjnych realizowanych przez twórców – słusznie lub nie – uważanych (jak m.in. właśnie Poręba) za zwolenników władz stanu wojennego.

Wspomniano już, że w omawianym filmie na ekranie pojawiło się wiele postaci historycznych, odtwarzanych przez znakomitych aktorów. I tak na przykład Jerzy Kaliszewski zagrał prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Woodrowa Wilsona, Emil Karewicz wcielił się w rolę jego współpracownika i doradcy płk. Edwarda House’a, Edmund Fetting wystąpił jako brytyjski premier David Lloyd George, a ministra spraw zagranicznych w jego rządzie, którym był Arthur Balfour, zagrał Zdzisław Mrożewski. W rolę premiera Francji Georges’a Clemenceau wcielił się Józef Pieracki, w postać prezydenta Raymonda Poincaré zaś – Henryk Bista. Równie imponująca jest lista polskich postaci historycznych. Przede wszystkim właśnie w tym filmie po raz pierwszy w – odtwarzaną potem wielokrotnie przy okazji obchodów Święta Niepodległości – postać Józefa Piłsudskiego wcielił się Janusz Zakrzewski. Krzysztof Chamiec zagrał Ignacego Jana Paderewskiego, Józef Fryźlewicz Romana Dmowskiego, Ignacy Gogolewski wcielił się w postać Stefana Żeromskiego, Mariusz Dmochowski wystąpił w roli marszałka Sejmu Ustawodawczego Wojciecha Trąmpczyńskiego, Tomasz Zaliwski w roli Macieja Rataja, Tadeusz Janczar – Wojciecha Korfantego, a Zbigniew Józefowicz – Ignacego Daszyńskiego. Poza wymienionymi



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Piłsudski (Zakrzeński) analizuje sytuację geopolityczną; przy oknie: Kazimierz Sosnkowski (Marcin Sosnowski)

już aktorami w rolach postaci historycznych i fikcyjnych na ekranie pojawili się m.in.: Artur Barciś, Arkadiusz Bazak, Wiesław Gołas, Tadeusz Kondrat, Andrzej Kozak, Zdzisław Kozień, Gustaw Lutkiewicz, Laura Łącz, Marian Łącz, Henryk Machalica, Zygmunt Malanowicz, Jerzy Michotek, Stanisław Niwiński, Michał Szewczyk, Stefan Szmidt, Igor Śmiałowski i Mieczysław Voit.

Wyważone racje

Należy także odnotować spory rozmach inscenizacyjny scen batalistycznych. Na ekranie oglądamy fragmenty walk między armią austro-węgierską i polskimi legionistami z jednej strony a Rosjanami z drugiej. Zainscenizowano także walki na froncie zachodnim w 1918 roku oraz starcia w czasie Powstania Wielkopolskiego i na Górnym Śląsku. Ponadto zrekonstruowano wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej spod Krakowa i wkroczenie jej żołnierzy do Kielc, czemu towarzyszyła obojętność mieszkańców miasta, której symbolem stało się manifestacyjne wręcz zamykanie okiennic. Była to wyraźna oznaka nie tylko strachu przed czymś nowym, nieznanym i zarazem niebezpiecznym, ale także braku zaufania do umundurowanych przybyszów z Galicji. Na bieżąco możemy śledzić zabiegi na rzecz odrodzenia Polski podejmowane zarówno przez polityków i wojskowych orientujących się na państwa centralne,

a zwłaszcza monarchię Habsburgów (głównie obóz polityczny Piłsudskiego), jak i tych opierających swoje polityczne rachuby na państwach Ententy, w tym po części pierwotnie przede wszystkim na Rosji (zwłaszcza środowisko skupione wokół Dmowskiego i Paderewskiego).

Zasługą twórców filmu jest to, że nader wiernie odtworzyli przebieg wydarzeń i starali się sprawiedliwie oddać racje poszczególnych aktorów politycznej rozgrywki. Jednocześnie skutecznie udało im się uniknąć nadmiernego dydaktyzmu oraz historycznego prezentyzmu. Co więcej, widać wyraźnie, że rozumieli, iż proces historyczny nie jest czymś stałym, niezmiennym, że coś, co jest niekorzystne dzisiaj, nie musi być takie zawsze. Walorem tego udanego obrazu jest zatem także i to, że nie przyznaje on *a priori* racji jednej czy drugiej stronie, tej lub tamtej postaci historycznej. Być może mógłby ktoś ów polityczny eklektyzm oceniać negatywnie i zarzucać twórcom brak wyrazistych poglądów polityczno-historycznych. Rzecz w tym, że akurat dla mnie jest to atutem, zaletą i samoistną wartością filmu *Polonia Restituta*, opowiadającego o kluczowych wydarzeniach z historii Polski sprzed prawie wieku. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli kryzys(y) w PRL (2008)



Fot. PAP

Pegeery

Jerzy Kochanowski

Na współczesnej polskiej wsi ślady PRL, zarówno w krajobrazie, jak i w świadomości i zachowaniu mieszkańców wi- dać najwyraźniej tam, gdzie po wojnie powstały tzw. Państwowe Gospodarstwa Rolne, nazywane potocznie „pegeerami”. Ten skrót zawierał w sobie określony kod – zrozumiały dla wszystkich.

Państwowe Gospodarstwa Rolne były politycznym, gospodarczym i społecznym potomkiem dawnych ziemiańskich majątków rolnych, zatrudniających licznych robotników rolnych, którzy stanowili wyraźnie odróżniającą się grupę społeczną. Reforma rolna z 6 września 1944 roku przewidywała parcelację większych majątków i podział ziemi między chłopów, także tych małorolnych i bezrolnych. Z pozostałej po reformie ziemi oraz z majątków o wyróżniającej się kulturze rolnej planowano utworzyć gospodarstwa państwowe. Początkowo myślano, że nie będzie ich wiele. Miały spełniać „wzor-

cotwórczą” oraz modernizacyjną funkcję wobec indywidualnych chłopów, pokazując im ekonomiczne zalety socjalistycznego gospodarowania. Na terenie Polski przedwojennej, gdzie wolnej ziemi było mało, a chętnych na nią wielu, takich gospodarstw powstało stosunkowo niewiele. Jednak na obszarach należących do 1945 roku do Niemiec (część Prus Wschodnich, Pomorze Środkowe i Zachodnie, Dolny Śląsk, Opolszczyzna) sytuacja była odwrotna. Bezpośrednio po wojnie znaczną część dużych majątków rolnych przejęły tam Armia Czerwona lub różne polskie instytucje (np. wojsko, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego), które po pewnym czasie (nieraz po latach!) z nich zrezygnowały. Nic też dziwnego, że najwięcej pegeerów, tworzonych od 1949 roku na wzór radzieckich sowchozów, powstało na tzw. ziemiach odzyskanych. W niektórych rejonach te wielkie gospodarstwa stały się najważniejszym państwowym pracodawcą.

Marna płaca, duży socjal

Początkowo większość pracowników nowo utworzonych gospodarstw stanowili dawni robotnicy folwarczni i chłopci posiadający tak mało ziemi, że jakakolwiek gospodarka na niej była nieopłacalna. Trafiali do nich również ludzie z pozostałych grup społecznych, którzy nie potrafili znaleźć innej pracy lub zostali tam skierowani z urzędów zatrudnienia.

Chociaż pensje pracowników pegeerów były dość niskie (zdarzały się wyjątki), to zatrudnienie było pewne, pracodawca gwarantował bezpłatne lub bardzo tanie mieszkania (często w blokach, stanowiących ewenement na polskiej wsi i od razu wyróżniających w krajobrazie gospodarstwa państwowe), działki pod własne uprawy i paszę dla zwierząt hodowanych na własne potrzeby. Oprócz tego osoby te otrzymywały przydziały mleka, ziemniaków, węgla oraz rozbudowane świadczenia socjalne. Pracowały o wiele lżej niż chłopci indywidualni i w określonych godzinach. Nie musiały wykazywać się szczególną kreatywnością ani wysokimi kwalifikacjami, dysponowały natomiast sporymi możliwościami dodatkowego zarobku, np. dzięki „prywatyzacji” słabo zazwyczaj chronionego i liczonego pegeerowskiego majątku. Chłopi indywidualni, uważający pracowników pegeerów za stojących znacznie niżej w wiejskiej hierarchii (podobnie jak wcześniej robotników w ziemiańskich folwarkach!), chętnie korzystali z wygospodarowywanych przez nich nadwyżek oleju napędowego, węgla czy pasz. „Traktorzyści z kółek i pegeerów to sami przywożą paliwo. [...] Taki sposób zaopatrywania się w paliwo to we wsi już tradycja. Kierowcy sami przyjeżdżali na podwórko” – czytamy na łamach „Tygodnika Kulturalnego” z maja 1986 roku. Nieco upraszczając, można stwierdzić, że ludzie zatrudnieni

w pegeerach, zwłaszcza na niskich stanowiskach, wytworzyli osobną grupę zawodową (a może i społeczną), potrafiącą pracować tylko w specyficznych warunkach państwowych gospodarstw. Miało to swoje określone – negatywne – skutki, kiedy w 1989 roku rozpoczęła się transformacja polityczna i gospodarcza.

Przez cały okres PRL Państwowe Gospodarstwa Rolne znajdowały się w centrum uwagi władz. W 1951 roku powstało nawet Ministerstwo Państwowych Gospodarstw Rolnych, zlikwidowane na fali odwilży 1956 roku. Ale kiedy po 1956 roku zrezygnowano z kolektywizacji i tworzenia spółdzielni produkcyjnych, wzorowanych na radzieckich kołchozach, pegeery stanowiły najważniejszy rolniczy „przyczółek” władz do ewentualnej nacjonalizacji rolnictwa i jednocześnie rzekomy dowód na to, że taka forma gospodarowania ma przewagę nad rolnictwem indywidualnym i w niej leży wyżywniowa przyszłość kraju. Państwowa propaganda lubowała się więc w pokazywaniu nowoczesnych, zmechanizowanych gospodarstw, wykorzystujących najnowsze zdobycze nauki i techniki, szczęśliwych, dobrze zarabiających i żyjących pracowników, uśmiechniętych i zadbanych dzieci.... Niezależnie od tego, czy była to Polska Bieruta, Gomułki, Gierka czy nawet Jaruzelskiego, w okresie nasilonych prac rolnych (żniwa, siew) cotygodniowe kroniki filmowe nie mogły się obyć bez doniesienia z jakiegoś pegeeru.

Dotowane marnotrawstwo

Trzeba przyznać, że niektóre gospodarstwa były naprawdę nowoczesne, dobrze zarządzane i wypracowywały zysk. Tak było np. w Kietrze na Opolszczyźnie, w wielkopolskich Manieczkach czy na Bródnie – peryferyjnej dzielnicy Warszawy. W dużej mierze decydowały o tym menedżerskie zdolności dyrektorów oraz ich kontakty z miejscowymi władzami, którym zależało na takiej gospodarczej wizytówce. Zdecydowana większość pegeerów była jednak niewydajna, prowadzono w nich gospodarkę ekstensywną, którą często cechowały chaos, marno-

trawstwo i zaniedbanie. Symbolem tego ostatniego były dawne ziemiańskie dwory i pałace, przejmowane zazwyczaj przez państwowe gospodarstwa i szybko doprowadzane do ruiny. Norma zatrudnienia w pegeerach wynosiła od dwunastu do piętnastu pracowników na 100 ha, co przy marnym zarządzaniu, słabej wydajności i olbrzymich stratach powodowało, że potrzebowały zazwyczaj – aby wyprodukować tę samą ilość zboża, ziemniaków czy mięsa – dwu- a nawet trzykrotnie więcej paliwa, węgla, pasz i pracy niż indywidualni chłopi. Jednocześnie pegeery, obejmując tylko niewielką część użytków rolnych (9,6 proc. w 1950 roku i 19,5 proc. w 1980 roku), otrzymywały większość pieniędzy i środków produkcji przeznaczonych dla całego polskiego rolnictwa.

Władze dostrzegały słabości pegeerów i próbowały je reformować. Uznano, że małe (tzn. liczące kilkaset hektarów!) gospodarstwa są nieopłacalne i w latach sześćdziesiątych zaczęto łączyć je w „kombinaty rolne”. Ten proces nasilił się w dekadzie gierkowskiej. Komasacja miała usprawnić działanie, poprawić warunki socjalne pracowników, przyspieszyć budownictwo. Molochy, składające się nieraz z kilkudziesięciu dawnych folwarków, o łącznej powierzchni do 30 tys. hektarów, okazały się jednak również niewydajne i w latach osiemdziesiątych zaczęto je dzielić na mniejsze majątki. U schyłku PRL istniało około tysiąca Państwowych Zakładów Gospodarki Rolnej (tak nazywano od 1976 roku pegeery), znaczna część z nich miała po 5–10 tys. ha.

Państwowe gospodarstwa mogły funkcjonować wyłącznie dzięki olbrzymim dopłatom z budżetu państwa, stanowiącym ponad połowę wszystkich inwestycji rolnych. Tym samym pegeery przyczyniły się pośrednio do upadku systemu, państwo nie było bowiem w stanie wytrzymać takiego obciążenia. Kiedy po 1989 roku zaczęto w końcu liczyć pieniądze i np. domagać się spłaty zaciągniętych wcześniej kredytów, niemogące już liczyć na wsparcie pegeery zaczęły masowo bankrutować i zostały ostatecznie zlikwidowane ustawą z 19 października 1991 roku.

Symbol wykluczenia

Część gospodarstw została zdewastowana i rozkradziona, niektóre przejęli prywatni inwestorzy (nieraz byli to dawni dyrektorzy). Ci ostatni potrzebowali do pracy tylko części dotychczasowych pracowników. Tym samym rejony, gdzie wcześniej dominowały pegeery, zaczęły się charakteryzować strukturalnym bezrobociem, dawni pracownicy stali się zaś ogólnopolskim symbolem ludzi wykluczonych, niedających sobie rady w nowych warunkach. Nic też dziwnego, że „potransformacyjne” pegeery i ich dawni pracownicy stali się zarówno trampoliną dla populistycznych polityków (m.in. z „Samoobrony”), jak i ważnym tematem dla socjologów czy twórców. W 1997 roku powstał dokumentalny film Ewy Borzęckiej *Arizona*, pokazujący popegeerowską codzienność jednej z wsi. Zdewastowane, opuszczone pegeery stały się również tematem i scenografią takich filmów fabularnych, jak *Zmruż oczy* Andrzeja Jakimowskiego (2003) czy *Pieniądze to nie wszystko* Juliusza Machulskiego (2001).

Co charakterystyczne, ta ostatnia produkcja jest komedią o optymistycznym w sumie przesłaniu i zakończeniu. Wydaje się też, że największe „pegeerowskie” problemy zostały już może nie tyle rozwiązane, ile załagodzone, a same pegeery coraz wyraźniej stają się przedmiotem – bardziej chyba śmiesznym niż tragicznym – pamięci o komunistycznej przeszłości. Najlepszym przykładem jest inicjatywa mieszkańców popegeerowskiej wsi Bolegorzyn w północno-zachodniej Polsce, którzy – chcąc przyciągnąć turystów – otworzyli w 2008 roku (22 lipca, w największe święto PRL!) pierwsze w Polsce Muzeum PGR. Nie narzekają na brak zwiedzających. 🍷

Korzystałem z następujących książek: Włodzimierz Dzun, *Państwowe gospodarstwa rolne w rolnictwie polskim w latach 1944–1990*, Warszawa 1991; Ewelina Szpak, *Między osiedlem a zagrodą. Życie codzienne mieszkańców PGR-ów*, Warszawa 2005.

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989* (2010)

Gewehr 98 – legenda wśród karabinów

Michał Mackiewicz

Karabin systemu Mausera – Gewehr 98, określany według polskiej nomenklatury jako wzór 1898, jest uznawany, tak jak rosyjski Mosin wz. 1891 i angielski Lee-Enfield Mk III, za szczytowe osiągnięcie w dziedzinie projektowania karabinów powtarzalnych, a rozwiązania w nim zastosowane są wykorzystywane do dziś (choćby w broni snajperskiej). W dwudziestoleciu międzywojennym broń tego systemu była regulaminowa w Wojsku Polskim.

Powstanie Gewehr 98 było skutkiem gwałtownego wyścigu zbrojeń, zapoczątkowanego w 1886 roku pojawieniem się francuskiego Lebela. Była to pierwsza broń powtarzalna, strzelająca małokalibrowym nabojem z prochem bezdymnym, z pociskiem ołowianym w metalowym płaszczu. Doskonale parametry balistyczne Lebela spowodowały, że karabiny stanowiące do tej pory uzbrojenie światowych armii zostały w jednym momencie zdeklasowane.

Odpowiedź na Lebela

Firma braci Wilhelma i Paula Mauserów była od lat siedemdziesiątych XIX wieku uznaną marką, dostarczającą armii niemieckiej kolejnych udanych wzorów karabinów i karabinków (kb/kbk) oraz zaopatrującą w broń strzelecką kontrahentów zagranicznych. Pośpieszne wprowadzenie w Niemczech kb wz. 1888 (nabój 7,92 x 57 mm, proch bezdymny, pocisk pełnopłaszczowy), będącego odpowiedzią na Lebela – ale z którym Mauser nie miał nic wspólnego – zmotywowało firmę do opracowania nowej

konstrukcji, tym bardziej że kb komisyjny (Kommissionsgewehr), bo tak popularnie nazywano wz. 1888, okazał się zdecydowanie nieudany i zdawano sobie sprawę z tego, że trzeba go zastąpić innymi. W końcu XIX wieku koncern z Oberndorfu stworzył kilka wzorów kb, przy czym każdy kolejny model był coraz doskonalszy konstrukcyjnie (zwieńczeniem wysiłków był wz. 1895). Trafiły one na uzbrojenie wielu armii, w tym belgijskiej, większości południowoamerykańskich, chińskiej, tureckiej, hiszpańskiej, serbskiej i szwedzkiej. Udany sprawdzianem dla mauserów były konflikty hiszpańsko-amerykański (1898) i angielsko-burski (1899–1902). Zwłaszcza w tym drugim niemieckie kb dowiodły swych doskonałych parametrów, stając się prawdziwym postrachem Anglików. Nowatorskie rozwiązania zastosowane przez Mausera dotyczyły wszystkich najważniejszych elementów: lufy, magazynka, sposobu ładowania i oczywiście zamka – wszystkie, bez mała genialne, patenty, gdziekolwiek dodatkowo ulepszone, zostały ostatecznie zawarte w najśłynniejszym dziele zakładów Mausera

dane taktyczno-techniczne karabinu wz. 1898

długość	1250 mm
długość lufy	740 mm
masa	4,1 kg
waga bez magazynka	3,5 kg
kaliber	7,92 mm
pojemność magazynka	5 nabojów

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego



► Karabin wz. 98 produkcji Państwowej Fabryki Karabinów w Warszawie

– wzorze 1898. W trakcie testów porównawczych okazał się bezkonkurencyjny i w kwietniu 1898 roku przyjęto go oficjalnie do uzbrojenia armii Cesarstwa Niemieckiego. Poza macierzystymi zakładami Mausera w Oberndorfie – produkcję uruchomiono w pruskich państwowych zbrojowniach w Erfurcie, Spandau i Gdańsku, w bawarskim arsenale w Ambergu i zakładach DWM z Berlina. Do 1907 roku regularna armia została całkowicie przezbrojona w Gewehr 98. Równocześnie, od 1908 roku, produkowano skróconą wersję, czyli karabinek (niemieckie oznaczenie Karabiner 98 AZ), który był przeznaczony

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego



► Łódka z pięcioma nabojami 7,92 x 57 mm

m.in. dla kawalerzystów, saperów i obsługi karabinów maszynowych. Cechą charakterystyczną karabinka była zagięta do dołu raczka zamkowa oraz koźlik ułatwiający ustawianie broni w kozły. Podczas I wojny światowej używały go m.in. słynne oddziały szturmowe (*Stoßtruppen*).

Prosty, niezawodny zamek

Mauser wz. 1898 jest karabinem wielostrzałowym powtarzalnym, czyli wyposażonym w magazynek i wymagającym każdorazowego ręcznego przeładowania. Ma zamek tłokowy, ślizgowo-obrotowy, czterochwytowy, co oznacza, że w celu załadowania naboju należy wykonać cztery ruchy ręką. W broni tej można wydzielić następujące elementy: lufę ►

► Polska piechota po ćwiczeniach, w kozłach ustawione karabinki wz. 98; lata trzydzieste

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego





► Karabinek wz. 98 produkcji Państwowej Fabryki Karabinów w Warszawie

wraz z celownikiem, komorą zamkową i mechanizmem spustowym, zamek, magazynek wraz z wieczkiem i donośnikiem naboju, drewnianą osadę (łożo, kolba, nakładka). Ponadto stalowe okucia, tzw. bączki – przedni i tylny – służące do łączenia osady z lufą, nasadę bagnetu – stanowiącą element łoża – oraz wycior wchodzący w wydrążenie w łożu. Stopka kolby okuta jest stalowym trzewikiem, a u spodu ma strzemiączko do pasa nośnego (przednie umocowane jest do tylnego bączka). Prosta i niezawodna konstrukcja zamka stanowi jedną z największych zalet karabinu. Zasadniczym elementem jest jednocześnie trzon zamkowy, kryjący w sobie trzon igliczny – zakończony z jednej strony grotem, a z drugiej kurkiem – oraz sprężynę igliczną. Tył trzonu zamknięty jest tzw. zameczkiem z bezpiecznikiem skrzydełkowym. Na przedzie trzonu zamkowego znajdują się dwa symetryczne rygle odpowiadające wycięciom na wewnętrznej powierzchni pierścienia ryglowego, dodatkowy rygiel jest umieszczony u spodu trzonu, na wysokości rączki zamkowej. Wyciąg łusek znajduje się po prawej stronie trzonu zamkowego i ma postać szerokiej szyny osadzonej ruchomo za pomocą pierścienia. Magazynek pudełkowy pięcionabojowy, ładowany z łódki (wynalazek Mausera – znaczne udoskonalenie w porów-

naniu do stosowanych dotąd ładowników), jest umieszczony w środku punktu ciężkości broni i schowany całkowicie w osadzie. Naboje układają się w dwóch rzędach, niesymetrycznie względem siebie (diagonalnie). Od dołu pudełko magazynka jest zamknięte wieczkiem, które stanowi oparcie dla sprężyny podajnika.

Doskonałość budowy mauserowskiego zamka w połączeniu z pudełkowym magazynkiem dwurzędowym i łódką naboju uczyniły z kb wz. 1898 jedną z najlepszych konstrukcji w historii broni strzeleckiej – przy odpowiedniej konserwacji niezawodną i szybkostrzelną zarazem. Na początku karabin dostosowano do naboju 7,92 x 57 mm z pociskiem o owalnym wierzchołku, czyli takim, jakim strzelał karabin komisyjny. W 1905 roku wprowadzono udoskonalony nabój z pociskiem o zaostrozonym wierzchołku (tzw. Patrone S – Spitzgeschoss). Celownik został wyskalowany w przedziale 400–2000 m. Do kb/kbk wz. 98 stosowano rozmaite wzory bagnetów siecznych. Mauser znakomicie zdał trudny bojowy egzamin w czasie I wojny światowej i szybko przyjęto go w wielu armiach na całym świecie, także w Polsce.

Mauser made in Poland

Historia naszych Mauserów zaczyna się w 1921 roku, kiedy to decyzją Rady Ambasadorów przyznano Polsce wyposażenie gdańskiej fabryki karabinów. W 1922

roku w warszawskich zakładach Gerlach na Woli, które z czasem otrzymały nazwę Państwowej Fabryki Karabinów (P.F.K.), uruchomiono produkcję wiernej kopii niemieckiego wzoru 1898. Zaniechano jej już dwa lata później, w związku bowiem ze zmianami w taktyce walki za standardowe uzbrojenie piechura uznano karabinek i rozpoczęto jego wytwarzanie. Polski kbk wz. 98 różnił się od niemieckiego AZ jedynie detalami. Do 1931 roku wyprodukowano prawie 200 tys. kbk wz. 98 w Warszawie i ponad 150 tys. w nowo powstałej Fabryce Broni w Radomiu. Ponieważ jakość kbk wz. 98 okazała się niedostateczna, w końcu lat dwudziestych opracowano nową broń – karabinek wz. 29. Skrócone łożo pozwoliło na pewniejsze mocowanie bagnetu, wzmocniono komorę naboju, lufy wykonywano z nowego stopu węglowej stali, a większa tolerancja wymiarowa zapewniała wymienną część. Do 1939 roku radomska wytwórnia wyprodukowała ponad 260 tys. sztuk. Kolejna zmiana doktryny wojennej w drugiej połowie lat trzydziestych zaowocowała powrotem do długiego karabinu. Wytwarzano go od 1936 roku (wz. 98a) do wybuchu wojny. Ocenia się, że powstało do 70 tys. sztuk. Łącznie w dwudziestoleciu międzywojennym polskie fabryki wyprodukowały przeszło 700 tys. karabinów i karabinków systemu Mausera. Wiele z nich, ukrytych po klęsce wrześniowej, zasililo następnie arsenał podziemia. 🇵🇱



► Polski żołnierz z karabinem wz. 98; wrzesień 1939 roku

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kirchholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Karabinek wz. 29 produkcji Fabryki Broni w Radomiu

U progu niepodległości – orzeł wz. 17

Tomasz Zawistowski

Kwestią podstawową dla wzajemnej identyfikacji żołnierzy powstającego w 1918 roku Wojska Polskiego było wprowadzenie ujednoczonych oznak wyróżniających. W myśl pierwszego rozkazu dotyczącego mundurów, wydanego 1 listopada 1918 roku przez nowo mianowanego szefa sztabu gen. Tadeusza Rozwadowskiego, taką oznaką stał się orzeł: „Wojska polskie noszą uniform b. Korpusu posiłkowego; gdzie się nie da, to przeprowadzić przynajmniej polskiego orla na czapkach”.

Opisany w numerze 2/2013 „Pamięci.pl” mundur, zwany „beselerowskim”, który strona niemiecka przedstawiła do zaopiniowania grupie oficerów legionowych w grudniu roku 1916, a później próbowała wprowadzić w obozach ćwiczebnych w maju 1917 roku, był dla polskiej strony nie do zaakceptowania. Oznaczał ni mniej ni więcej niż przebranie legionistów w uniformy niemieckie, co było nie do pogodzenia z antyniemieckim nastawieniem społeczeństwa Królestwa Polskiego. Z drugiej strony wiadomo było, że skoro to niemiecka intendencja ma ubrać polskich żołnierzy, użycie elementów standardowego umundurowania niemieckiego jest nieuniknione. Trudne przedsięwzięcie pogodzenia tych sprzeczności stało się zadaniem komisji uniformowej, złożonej z oficerów



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł wz. 17 z cyfrą pułkową „3” produkowany przez pracownię Józefa Chylińskiego

legionowych, w której najważniejszymi postaciami byli: rtm. Wojciech Kossak, artysta malarz i znawca historii munduru, oraz kpt. Czesław Jarnuszkiewicz, autor strzeleckich oznak stopni i orłów.

Przepisy z 1917 roku

Owoce pięcioletniej pracy komisji była instrukcja *Umundurowanie polowe Wojsk Polskich*, wydana w kwietniu 1917 roku. W nowe mundury ubra-

no żołnierzy dwóch formacji. Pierwszą z nich był Polski Korpus Posiłkowy, składający się z oddziałów dawnej II Brygady Legionów Polskich, który – powróciwszy po kryzysie przysięgowym pod dowództwo austriackie – pod koniec sierpnia 1917 roku wyruszył na front bukowiński. Drugą była pozostająca pod dowództwem niemieckim Polska Siła Zbrojna. Nowy mundur został zaprojektowany właśnie z myślą o niej. ►



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł wz. 17 produkcji niemieckiej z cyfrą pułkową „6”, 1917 rok

Formacja ta, która w pierwotnym – niemieckim – założeniu miała stać się stu-tysięczną armią, w początkach listopada 1918 roku zbliżała się powoli do liczebności 10 tys. żołnierzy umundurowanych według kwietniowego przepisu z 1917 roku. Dla oceniających nowe mundury obserwatorów z zewnątrz forma ich była całkowicie obca. Znamienne jest wspomnienie gen. Kajetana Olszewskiego, byłego dowódcy Brygady Strzelców Polskich, który przybył do Warszawy w lipcu 1918 roku: „Na ulicach [Warszawy] oficerów niemieckich nie wiele [tak w oryginale] spotyka się, więcej żołnierzy, są i legionieści, ubrania ich takie same, jak u Niemców, tylko orzełek na czapce, ale jest i gwiazdka niemiecka”. Niemniej – po uwzględnieniu pewnych modyfikacji – to właśnie ten mundur stał się pierwszym regulaminowym ubiorem odradzającego się Wojska Polskiego, nierzadko – z powodu swego niemieckiego charakteru – budząc zdziwienie wśród wielu oficerów francuskich przebywających wówczas w Polsce.

Ustęp VII instrukcji z 1917 roku przewidywał, że na czapkach będzie noszony „matowy orzełek z metalu” z powtórzonym na tarczy numerem z naramienników, który w pułkach piechoty,

artylerii polowej, ułanów i saperów miał oznaczać numer pułku, w oddziałach lotnictwa, służby łączności, samochodowych, sanitarnych – numer kompanii, w taborach zaś – numer szwadronu. Ponadto w oddziałach haubic, oprócz numeru, miała być noszona litera H, a w bateriach ciężkich – litera C. Do przepisu były załączone litografowane tablice, z których jedna przedstawiała orła do czapki.

Został też określony wygląd godeł wówczas już istniejących, a pochodzących w prostej linii od orłów strzeleckich i legionowych. W praktyce używano orłów mniej więcej zgodnych z rysunkiem załączonym do instrukcji, zazwyczaj z gładkimi tarczami amazonek. Wyjątkiem od tej reguły była seria godeł produkcji niemieckiej, opatrzona numerami od 1 do 12. Monogramów „H” i „C” na orłach nigdy nie umieszczono. Ogólnie można stwierdzić, że orły wz. 17 charakteryzowały się następującymi cechami:

- sylwetką zbliżoną do godeł legionowych, choć zazwyczaj nieco smuklejszą,
- wysokością około 40 mm,
- obecnością korony, zazwyczaj zamkniętej,
- najczęściej gładką tarczką wewnętrzną.



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł wz. 17 produkcji Henryka Sztorca, Kraków, 1917 rok

Od kwietnia 1917 roku nowe godła obowiązywały już we wszystkich polskich formacjach wojskowych organizowanych u boku państw centralnych.

Pamiętny listopad

Listopad 1918 roku zastał na ziemiach powstającej Polski liczne oddziały wojskowe państw centralnych. W skład wielu z nich wchodził Polacy noszący obce mundury. Chociaż sprawa rozbrojenia oddziałów obcych i przejęcia ich materiału wojskowego została już wielokrotnie opisana, to jednak warto zwrócić szczególną uwagę na narodowościowe dylematy tych, którzy – zaskoczeni powstaniem państwa polskiego – zostali postawieni przed decyzją zdjęcia z czapek dotychczasowych oznak i zastąpienia ich orłem.

Ciekawe wspomnienie pozostawił po sobie Henryk Przyborowski, pełniący 10 listopada służbę w warszawskim Forcie Traugutta: „Podszedł do mnie »Offizierstellvertreter« Łapka. Wyglądał na bardzo zafrasowanego. »Chciałem z panem porozmawiać...« – powiedział, idąc w kierunku brzegu Wisły. »Kto to był ten Traugutt, którego tu Moskale rozstrzelali?« – zadał mi nieoczekiwane pytanie. Opowiedziałem mu pokrótce historię wyższego oficera armii rosyjskiej, Romualda Traugutta, który na wiadomość o tworzeniu się Rządu Polskiego i walkach powstańców zerwał rosyjskie epolety i objął komendę partii powstańczej.

Łapka długo chodził po brzegu rzeki. Było widoczne, że walczy ze sobą. Wreszcie stanął przede mną, zsalutował i powiedział: »Panie Henryk! Przecie jo tyż Polok. Czy nie mógłby mi pan dać n a s z e g o orzełka?«.

»Za brooón!« wydałem komendę kompanii. Kiedy się wyfrontowała, powiedziałem: »Chłopcy! Nasz instruktor-strzelec Łapka prosi o nasze-go orzełka.« »Już się robi« – odrzucił warszawiak, kapral Malinoszczak, i podszedł do Łapki. »Niech no Herr Szwab da mi swoją czapkę« – powiedział. Zdjął swoją własną i odpiął z niej orzełka, odpiął pruski bączek z czapki

Łapki i przymocował na jego miejscu swojego orzełka. Łapka powoli, ostrożnie, włożył czapkę na głowę”.

Bywało, że podjęcie decyzji było przyspieszane. Przypadek taki opisał rtm. Jan Dunin-Brzeziński, dowódca grupy Polaków, przejmującej władzę w małopolskich Osieczanach w nocy z 2 na 3 listopada: „Pierwsza rzecz, którą uczyniłem, to poszedłem do mego szwagra pułkownika Sobolewskiego, który był komendantem rejonu. Wziąłem ze sobą dwóch dryblasów z bagnętami na karabinach, ja zaś byłem w moim ukochanym mundurze. W pierwszym rzędzie poprosiłem posłusznie szwagra, by bączek austriacki zdjął i orzełek, który mu daliśmy, sobie przypiął”.

Obszernie wspominał pierwsze chwile niepodległości Antoni Stawarz, oficer rezerwy w służbie austriackiej, który jednocześnie działał w polskiej konspiracji niepodległościowej. Przewidując konieczność przygotowania oznak wyróżniających żołnierzy podczas przewrotu, podjął odpowiednie kroki: „[...] dałem

mojej gospodyni około 200 koron, prosząc, by za to nakupiła kokardek narodowych w jak największym sekrecie. [...] Proszę mi również kupić czapkę legionową”. Ciekawa jest też wypowiedź por. Stawarza na temat samorządowego oznakowania się żołnierzy czeskich. Zapisał, że rozmawiając z komendantem warty, Czechem, dał mu „[...] trochę kokardek, by jego ludzie mogli przypiąć je do czapek. Ci, jak zmówieni, czy pouczeni już wcześniej przez swoich emisariuszów, kokardki te porozwiazali i owinęli sobie nimi bączki u czapek”.

Tworzenie Wojska Polskiego

Listopad, który przyniósł Polsce niepodległość, przyniósł jej też wojnę. Gdy Europa kończyła swoje czteroletnie boje, Polskę od względnego pokoju dzieliły jeszcze dwa lata. W trybie natychmiastowym należało utworzyć armię, wykorzystając ogromną liczbę ochotników, wśród których wielu miało cenne doświadczenie wojskowe, a także włączyć w skład nowo powstającego wojska od-

- Ułan 4. szwadronu 2. Pułku Ułanów Grochowskich w marcu 1919 roku; zdjęcie dedykowane na pamiątkę zdobycia Pińska; na czapce orzeł wz. 17



Fot. ze zbiorów autora

- Odznaka dla ochotników ustanowiona rozkazem z 20 lipca 1920 roku, otempłowana pieczęcią 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej, Kraków, 1920 rok; bywało, że w braku orła rozeta ochotnicza pełniła jego funkcję

działy już istniejące, lecz działające pod własnym dowództwem: począwszy od ochotniczych oddziałów samoobrony i orląt broniących Lwowa, aż po Wojska Wielkopolskie i Armię Polską przybywającą z Francji.

Okres 1918–1921 jest z punktu widzenia mundurologicznego bodajże najtrudniejszym do opisania. Młode, nieokrzepłe jeszcze Wojsko Polskie rozrosło się w błyskawicznym tempie do miliona żołnierzy, dla których trzeba było zorganizować dostawy trumundurowania i wyposażenia. Zaopatrzenie własne, wykorzystanie materiału intendenckiego (pozostałego po zaborcach), produkcja w małych i wielkich zakładach krajowych, zdobycze wojenne, wreszcie zakupy dokonywane przez polską misję w Paryżu były składowymi, które i tak nie mogły wystarczyć do pełnego wyekwipowania i umundurowania armii, nie mówiąc już nawet o umundurowaniu jej w sposób jednolity. Mimo usilnych starań, by żołnierze przynajmniej na szczeblu kompanii prezentowali się jednolicie, braki były ogromne. Jędrzej Giertych, który walczył w Armii Ochotniczej, wspominał: „Stopniowo krystalizowaliśmy się coraz bardziej jako wojsko. Wyfasowano nam kurty wojskowe, spodnie, płaszcze, owijacze, bardzo dobre, wygodne, podkute trzewiki, parciane ►



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów Ireneusza Banaszkiwicza

► Orzeł wz. 17 produkcji Henryka Sztorca noszony przez podoficera 6 p.a.c. w roku 1919 w Wilnie

chlebaki, parciane pasy z kieszeniami do amunicji karabinowej [...]. Tylko czapka dla nas zabrakło. Nie zostały nam dostarczone do chwili naszego wyjazdu na front. Wyjechaliśmy więc na wojnę w czym kto miał. Niektórzy kupili sobie czapki lub pierożki wojskowe na mieście lub zdążyli dać je uszyć – z bardzo różnorodnych materiałów – swym rodzinom. Bardzo wielu było w czapkach harcerskich lub gimnazjalnych. Robociarze byli w granatowych maciejówkach lub cyklistówkach, inteligenci w najrozmaitszych nakryciach głowy typu sportowego, a byli i tacy, co wyruszyli na front w melonikach. Pewną jednolitość dawało wyglądowni naszych głów to, że wszyscy przypieliśmy do naszych nakryć głowy biało-czerwone rozety ochotnicze. Proszę sobie wyobrazić, jak dziarsko wyglądał żołnierz w pełnym mundurze oraz w meloniku z biało-czerwoną kokardą!”

Ciekawy jest fakt noszenia orłów na czapkach przez Rosjan walczących od pierwszych miesięcy 1919 roku w szeregach Dywizji Podlaskiej (późniejszej 9. DP), w sile batalionu liczącego ponad tysiąc ludzi. Mimo początkowych sukcesów bojowych tej jednostki nastroje antypolskie – objawiające się między innymi

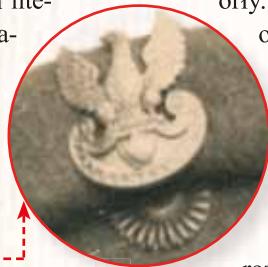


mi zrywaniem orłów z czapek – sprawiły, że została ona definitywnie rozwiązana we wrześniu 1919 roku.

Orły w latach 1918–1921/1922

Pierwsze miesiące niepodległości były czasem pełnej improwizacji. Pułkownik Bohdan Mincer wspominał: „W początkach listopada 1918 roku widziałem w pociągu pancernym koło Przemysła podporucznika z austriackimi oznakami stopnia na kołnierzu i w czarnej austriackiej czapce garnizonowej bez czarno-złotej kokardy, lecz z biało-czerwoną podpinką z wstążki”. Noszono wszelkiego typu kokardy, oznaki z motywem orła oraz oczywiście orły – jakie kto miał lub jakie dało się nabyć własnym sumptem.

Regulaminowo obowiązującymi były orły wz. 17, choć równoległe z nimi wytwarzano pewną liczbę godła odmiennych typów. Niektóre z nich miały na tarczach wewnętrznych literę S, nie występowały natomiast numery oddziałów ani symbole broni. W zasadzie nie produkowano już orłów z literą L. Prawie wszystkie



Fot. ze zbiorów autora

► Oficer w mundurze wz. 1917 z regulaminowym orłem na czapce

orły miały na głowach korony, a zdarzające się przypadki ich obcinania nie miały już charakteru tak masowego jak w minionych latach.

Orłów wz. 17 używano w Polskiej Sile Zbrojnej oraz w Polskim Korpusie Pośiłkowym w sumie przez prawie półtora roku, do pamiętnego listopada 1918. Następnie przez rok były jedynym obowiązującym godłem Wojska Polskiego, przez kolejne ponad półtora roku zaś stopniowo ustępowały miejsca orłom wz. 1919. Oznacza to, że godła te pełniły swą służbę w wojsku przez nieco ponad cztery lata. Przez ten czas uruchomiono produkcję ponad pięćdziesięciu typów orłów wz. 17.

W roku 1919 został zaprojektowany i wprowadzony nowy wzór godła, który miał obowiązywać bez większych zmian aż do końca istnienia II Rzeczypospolitej. W myśl przepisu, który zakładał przemundurowanie wojska do 1 lipca 1921 roku, do tego momentu wszyscy żołnierze powinni byli mieć już nowe orły. Regulaminowym wyjątkiem od tej zasady mieli być urzędnicy wojskowi, którym przy nowym umundurowaniu nakazano używanie orłów „wzoru dotychczasowego”, czyli wz. 1917. Przepis ten wszedł w życie i obowiązywał aż do chwili rozwiązania instytucji urzędników wojskowych w roku 1923. Podczas realizacji nowego rozkazu dotyczącego umundurowania orły wz. 17 najpierw wyszły z użycia w oddziałach pieszych, a nieco dłużej były używane w kawalerii i artylerii konnej, które zakładały nowe nakrycia głów od 1 września 1922 roku. Dopiero ta data położyła kres używaniu w Wojsku Polskim orłów, które wyewoluowały z tradycji legionowej. Wyjątkiem od tej reguły był 2. Pułk Szwoleżerów, w którym na terenie własnego garnizonu, a niekiedy nawet poza nim, noszono orły wz. 17 do roku 1939. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*



Odwrócić choć część wyroku

Karolina Wichowska

Mieczysław Misiewicz uwielbiał muzykę i nie widział świata poza rodziną; obiecywał, że po wyjściu z obozu pierwsze kroki skieruje do domu. Córka Stanisława Jurocy, choć gdy zginął, miała zaledwie 10 lat, do dziś wspomina go niezwykle ciepło. Roman Omelan nie doczekał się dzieci – małżeństwem cieszył się zaledwie przez miesiąc. To tylko trzy z trzydziestu ofiar Zbrodni Katyńskiej, które stały się bohaterami zwycięskich prac w tegorocznym – czwartym już – konkursie „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy...” ➤



Fot. A. Zawistowski

Nagroda dla laureatów był – jak co roku – wyjazd na jeden z polskich cmentarzy wojennych na wschodzie połączony z objazdem edukacyjnym. Głównym celem była tym razem nekropolia w Bykowni na obrzeżach Kijowa, gdzie są pochowane – symbolicznie i faktycznie – osoby z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Wielu z tegorocznych uczestników już miało za sobą wizytę w Bykowni – dwa lata temu bowiem odwiedziliśmy ją, podróżując do Charkowa, który wówczas był głównym celem wyprawy laureatów. Wtedy jednak nie było tu jeszcze cmentarza z prawdziwego zdarzenia – o szczególnym charakterze tego miejsca świadczyły jedynie ręczniki obwiązane wokół drzew (zwyczaj ukraiński: każdemu człowiekowi od narodzin aż do śmierci towarzyszy haftowany ręcznik), szarfy w barwach polskich i ukraińskich oraz spontanicznie postawione krzyże.

Wśród osób, które mogą porównać wygląd Bykowni sprzed otwarcia czwartego cmentarza katyńskiego z jej obecnym obliczem, jest Jeremi Dobrzański z II klasy liceum im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze. – Podoba mi się forma, którą wybrano, cieszę się, że zachowano wstążki zawiązane na drzewach, bo one nadają charakter temu miejscu, stały się jego symbolem – ocenia Jeremi. Karolina Kulla i Arkadiusz Siwko, z którymi wspólnie

► Msza św. na polskim cmentarzu wojennym w Bykowni

piisał pracę konkursową, w Bykowni są po raz pierwszy, ale rok temu odwiedzili Katyń i Miednoje. – Tu jest inaczej niż na pozostałych cmentarzach wojennych – tabliczki są kamienne, jasne, a tam ciemne, miedziane – zauważa Karolina. – To, co szczególnie zwraca moją uwagę, to puste tabliczki. Symbolizują tych, których nazwiska dopiero poznamy, ale też tych, o których nie dowiemy się nigdy, anonimowe ofiary totalitaryzmu – dodaje Arek.

– Na mnie większe wrażenie cmentarz zrobił dwa lata temu, kiedy był surowy, naturalny. Pustka z wyrysowanymi na ziemi znakami oddziaływała silniej niż starannie zagospodarowany, uporządkowany cmentarz z kamiennymi tabliczkami. W pierwotnej formie było widać tę dzicz, pustkowie, do którego wywożono ludzi i gdzie ich grzebano – mówi Waldemar Kletschka, opiekun pracy i tata Zuzanny Kletschki z gimnazjum w Kazimierzy Wielkiej.

Muzyk, urzędnik, mąż

Bohaterowie większości prac spoczywają na trzech pozostałych cmentarzach katyńskich. Tabliczkę z nazwiskiem swojego bohatera znajdują natomiast autoki pracy poświęconej Romanowi Omelanowi. – Wiedziałyśmy, że jego nazwisko jest na liście ukraińskiej, ale co innego wiedzieć, a co innego samemu odnaleźć. Towarzyszyły nam niezwykle emocje – mówi Danuta Drożdżik, nauczycielka historii w Regionalnej Szkole Turystycznej w Polanicy Zdroju. Wraz z uczennicami, autorkami pracy, przygotowały portret Omelana i pozostawiły go przy tabliczce z jego nazwiskiem. Jak podkreśla pani Danuta, przeżycia związane z tworzeniem pracy były tym większe, że bohater, gdy zginął, miał zaledwie 26 lat. – W listopadzie 1939 roku wziął ślub, a w grudniu ślad po nim zaginął – opowiada.

Jeszcze większe emocje musiały towarzyszyć Katarzynie Jurocy, maturzystce z X LO we Wrocławiu, która opisywała historię swojego pradziadka. Stanisław Juroca wraz z ojcem byli więźniami Ostaszkowa i są pochowani w Miednoje. Informacje wspólnie z koleżanką Kasia czerpała od swojej cioci, Wandy Siewior, córki Stanisława. – Chociaż minęło już tyle lat, wspomnienia o ojcu wciąż są u cioci żywe, mówi o nim bardzo ciepło – relacjonuje Kasia. – Jestem pierwszy raz na cmentarzu ofiar Zbrodni Katyńskiej. Mimo że pradziadek z prapradziadkiem są pochowani daleko stąd, to – zapalając znicz tutaj – symbolicznie zapalam go dla nich. To bardzo ważne i dla mnie, i dla mojej rodziny, zwłaszcza dla cioci – zaznacza.



Fot. M. Foks

► Ambasada RP w Kijowie, uroczystość wręczenia dyplomów laureatom konkursu; gratulacje składa konsul Rafał Wolski, obok pracownicy BEP IPN (od lewej): Anna Brojer, Kamila Sachnowska, Andrzej Zawistowski

O członku swojej rodziny – Antonim Jędrzejczyku, kuzynie pradziadka – dwa lata temu pisał Jeremi Dobrzański. Tym razem bohaterem jego, Karoliny i Arka pracy jest ppor. Mieczysław Misiewicz z 9. pp Legionów, stryj nauczycielki Karoliny. Profesorka skontaktowała zainteresowaną trójkę z siostrą podporucznika – studenta prawa i urzędnika na Kresach. – Cały czas wierzył, że przeżyje, obiecywał w listach, że jak tylko wyjdzie, pierwsze kroki skieruje do domu rodzinnego – relacjonuje Arek. Podkreśla, że siostra wspomina Mieczysława Misiewicza jako osobę bardzo ciepłą i z ogromnym poczuciem humoru. – Opowiadała na przykład, jak pewnego razu on i ojciec nie mogli iść na rezurekcję. Kiedy reszta domowników wróciła, zastała ich śpiewających pieśni wielkanocne – dodaje. Jeremi: – Misiewicz był bardzo uzdolniony muzycznie. Jako najstarszy z rodzeństwa dzielił się swoją wiedzą i umiejętnościami z młodszym rodzeństwem, a także z innymi dziećmi z rodzinnej miejscowości.

Dobrzański zaznacza, że zależy mu na tym, by – tak jak pamięć o jego krewnym Antonim Jędrzejczyku przetrwała w rodzinie – ocalić od zapomnienia innych oficerów zamordowanych przez NKWD, takich jak Misiewicz. Taki zresztą jest zamysł programu „Sprzączki i guziki...”. – Stalin skazał polskich oficerów na śmierć, ale także na zapomnienie. Życia nikt i nic im nie przywróci, ale pamiętając o nich, przypominając, kim byli, odwracamy przynajmniej tę część wyroku, która miała wymazać ich z pamięci – mówi dr Andrzej Zawistowski, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, współtwórca formuły konkursu. – Ofiary Zbrodni Katyńskiej to byli bohaterowie, ale warto pamiętać przede wszystkim o tym, że byli zwykłymi ludźmi, takimi jak my, lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. Zginęli nie na placu boju, lecz dlatego, że byli po prostu porządnymi ludźmi.

Ofiary Związku (zd)Radzieckiego

Bykownia to najważniejszy przystanek w tygodniowej podróży, ale niejedyny naznaczony tragedią. Jeszcze tego samego dnia wieczorem, po dosyć pobieżnym zwiedzeniu centrum Kijowa, odwiedzamy Babi Jar – dziś ogromny park w granicach stolicy Ukrainy. W latach trzydziestych grzebano tu ofiary NKWD, w 1941 roku Niemcy zamordowali w tym miejscu ok. 70 tys. osób, przede wszystkim Żydów, ale także m.in. Polaków i Ukraińców. Wśród ofiar było dużo dzieci. Najmłodsze upamiętnia pomnik w formie porzuconych zabawek: lalek i pajacyka. Przemierzamy ciemny park, by zapalić znicze: część osób zostawia je przy dziecięcym pomniku, część przy dużym, poświęconym dorosłym ofiarom. – To miejsce skłania do refleksji, ale też wyzwala we mnie emocje. Rozkleiłam się – przyznaje Karolina Kulla.

Symbolicznych i rzeczywistych grobów niewinnych ofiar jest na naszej trasie bez liku. W Czarnym Lesie Niemcy wymordowali w 1941 roku ok. 250 przedstawicieli polskiej inteligencji z pobliskiego Stanisławowa. W Winnicy odwiedzamy znajdujący się w Centralnym Parku Miejskim skromny obelisk upamiętniający ok. 9 tys. ofiar NKWD, w tym tzw. operacji polskiej z lat 1937–1938, polegającej na wymordowaniu obywateli ZSRR polskiego pochodzenia. Sam fakt, że ktoś miał korzenie

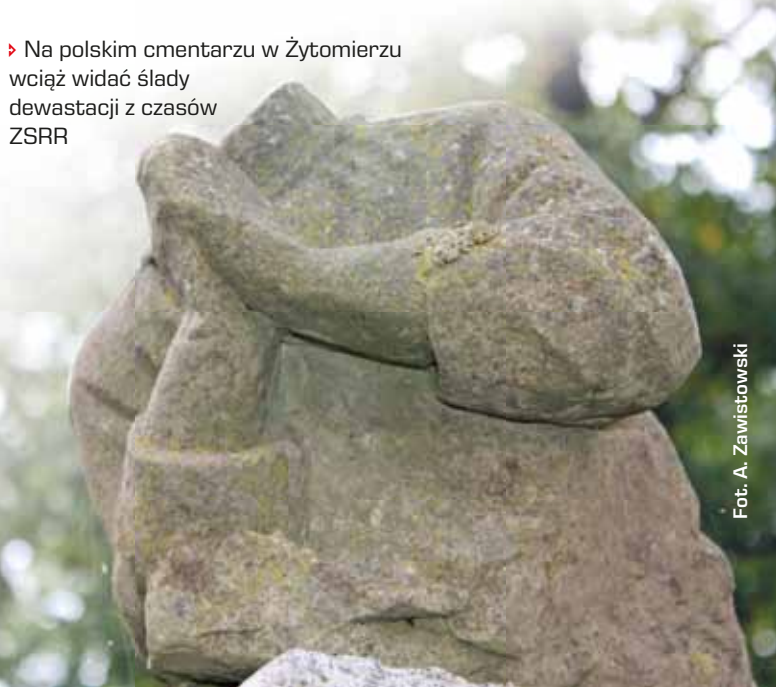
nad Wisłą, uznawano bowiem za zagrożenie. – Wśród ofiar tej operacji był brat mojego dziadka. Został zamordowany w 1937 roku, ponieważ, jak napisano w dokumentach, „jako przedstawiciel polsko-ziemiańsko-szlacheckiej rodziny nie może mieć poglądów pochwalających Związek Radziecki i nie nadaje się do reedukacji” – mówi konsul Rafał Wolski, gospodarz uroczystości wręczenia dyplomów laureatom konkursu w polskiej ambasadzie w Kijowie. Podobne miejsce pokazuje nam w Kamieńcu Podolskim Stanisław Nagórniak, mieszkający tu na stałe polski organista i przewodnik po mieście. – Tu leżą ofiary sowieckiego Kulturkampfu – wyjaśnia. To określenie, którego używa w odniesieniu do walki Sowietów z polskością, podobnie jak stosowane przez niego przezwisko ZSRR: „Związek Zdradziecki”, robi wśród młodzieży i nauczycieli prawdziwą furorę.

Pan Stanisław też w pewnym sensie padł ofiarą „sowieckiego Kulturkampfu”, oczywiście – na szczęście! – w dużo łagodniejszej wersji. – W latach osiemdziesiątych powiedziano mi wprost: nie przyjmujemy do szkoły córki Polaka, w dodatku organisty – wspomina. Dziś cała trójka jego dzieci mieszka w Polsce – wyjechali na studia i już zostali. Ale pan Stanisław nie wyobraża sobie opuszczenia miejsca, w którym mieszka od lat sześćdziesiątych (urodził się tuż po wojnie w Barze).

Kiedy nasza grupa dociera do Kamieńca Podolskiego, jest już wieczór. Mimo późnej pory pan Stanisław nie tylko oprowadza po spowitych zmierzchem zakątkach miasta (ci, którzy byli tu kilka lat temu, są pod wrażeniem dynamicznego rozwoju – ze smętnej, zaniedbanej dziury stało się miejscowością atrakcyjną i przyjazną turystom), ale też udaje mu się namówić ks. Romana Twaroga, proboszcza polskiej katedry, do otwarcia kościoła. Podróżujący z nami ks. Edward Kryściak odprawia mszę w zażytkowym wnętrzu.

Katedra św. Piotra i Pawła, podobnie jak wiele kościołów, w czasach ZSRR była zamieniona w muzeum ateizmu. Przez dziesiątki lat mieszkańcy Kamieńca, którzy chcieli wziąć udział w niedzielnej mszy, musieli podróżować co tydzień po 200–300 km do miejscowości, w których pracował jakiś ksiądz. ▶

▶ Na polskim cmentarzu w Żytomierzu wciąż widać ślady dewastacji z czasów ZSRR



Wielu z nich nie opuściło przez ten czas ani jednej niedzielnej liturgii. Pod koniec lat osiemdziesiątych, na fali pierestrojki, udało się wynegocjować udostępnienie dotychczasowego „muzeum” grupie polskich katolików. – Początkowo mieliśmy być tu wpuszczani tylko na większe święta. Ale jak już raz weszliśmy, tak się zadomowiliśmy na dobre – wspomina półzartem organista.

Więcej szczęścia miała polska katedra św. Zofii w Żytomierzu, mimo że miasto znalazło się w granicach ZSRR jeszcze przed II wojną światową. Nieprzejednana postawa wiernych okazała się skuteczną bronią przeciwko komunistycznym władzom usiłującym zamykać katedrę i więzić kapłanów. Wiktoria Zubarewa, młoda nauczycielka w polskiej szkole w Żytomierzu, opowiada jedną z dramatycznych historii z lat dwudziestych: władze sowieckie chciały skonfiskować obraz Matki Boskiej pędzla Rafaela, obficie zdobiony srebrem i złotem. Posługujący w katedrze ks. Andrzej Fedukowicz nie zgodził się na to i zaproponował, że w zamian za pozostawienie obrazu w świątyni komuniści otrzymają haracz: taką samą ilość cennych kruszców, jaka jest na obrazie. Mimo że zbiórka biżuterii wśród parafian zakończyła się sukcesem, Sowietci i tak skonfiskowali obraz – ksiądz bowiem odmówił ujawnienia listy darczyńców.

Próba ocalenia dzieła sztuki była tylko jedną z „win” ks. Fedukowicza, za które został aresztowany przez NKWD i był torturowany. Zmuszono go też do podpisania zobowiązania do współpracy z sowiecką bezpieką. Postanowił jednak obrócić na korzyść wiernych nawet tę sytuację i – udając przed oficerami, że wciąż nie ma dla nich żadnych informacji – starał się ostrzegać parafian przed planowanymi akcjami. Gdy zorientowano się, że aparat bezpieczeństwa nie ma z księdza pożytku, Fedukowicza ponownie aresztowano i torturami zmuszono do podpisania oświadczenia, że szpieguje na rzecz państwa polskiego. Nie wytrzymał psychicznie, kapłan w 1925 roku dokonał samopodpalenia i wskutek obrażeń zmarł.

Ksiądz Fedukowicz jest pochowany na miejscowym cmentarzu. Oprócz niego spoczywają

tam przedstawiciele wielu znanych rodów, m.in. rodzina Stanisława Moniuszki czy rodzice Ignacego Jana Paderewskiego. – W czasach radzieckich cmentarz był zrujnowany, groby pootwierane, czasem zajęte przez bezdomnych. Straszny widok – opisuje Wiktoria Zubarewa. Dzięki wsparciu z Polski udało się w dużej mierze cmentarz wyremontować, a miejscowa polska młodzież dwa razy w roku bierze udział w akcji porządkowania grobów.

– Mam poczucie, że Polacy mieszkający na Ukrainie w większym stopniu są patriotami i bardziej sobie cenią kulturę polską niż my. Pozytywnie zaskakuje to, jak dobrze znają polską kulturę i literaturę – dzieli się swoją refleksją Anna Galar, nauczycielka historii z III LO we Wrocławiu.

Została tylko krata...

W przeciwieństwie do ubiegłorocznej podróży po Rosji i Białorusi, tym razem za oknami autokaru rzadko widzimy symbole komunizmu (co innego – relikty epoki, np. straszące przejezdnych ruiny fabryk...). Pomniki Lenina można spotkać jedynie w Żytomierzu i Kijowie, a więc nieco bardziej w głębi kraju (im dalej na wschód, tym więcej takich obiektów). Na zachodniej Ukrainie natomiast przykrym widokiem dla Polaków są pomniki Stepana Bandery, ideologa rzezi wołyńskiej. Na niektórych ratuszach, np. w Stanisławowie (obecnie Iwano-Frankowsk), obok flag ukraińskich i w kolorach miasta powiewają również te w barwach UPA. Na lwowskiej Starówce z kolei, w stylowej, staroświeckiej palarni kawy, można kupić m.in. – oprócz kawy „Motornej” czy „Franza Josepha” – kawę „Banderowską”. – To nazwa od Stepana Bandery? – pytam sprzedawcę po polsku, chcąc się upewnić. – Tak, tak, to kawa powstańcza – wyjaśnia najspokojniej w świecie.

W lwowskich sklepach czy kawiarniach nie ma najmniejszego problemu z dogadaniem się po polsku. Na niektórych szyldach nazwy są dwujęzyczne. W innych miejscowościach, które mijamy, śladów polskości trzeba szukać

▶ Cmentarz Orłat Lwowskich: uroczysty akcent na koniec wyprawy



ze świecą. W Stryju np. o tym, że w danym budynku była polska czytelnia kolejowa, dowiadujemy się dzięki przewodniczce, bo próżno szukać jakiegokolwiek tablicy. Krótka wizyta w tym mieście rozczerowała Jeremiego Dobrzańskiego, którego rodzina ze strony ojca pochodzi właśnie stąd. – Kiedy tu jechaliśmy, miałem nadzieję zobaczyć ziemię swoich przodków. Niestety, kiedy już wysiedliśmy, okazało się, że ślady polskości są skutecznie schowane lub zniszczone. Nie potrafiłem przez to poczuć, że jestem stąd. Jedyłą namacalną pamiątką po tamtych czasach jest dla mnie zachowana – choć w nie najlepszym stanie – krata, którą mój dziadek, z zawodu kowal, wykonał dla kościoła św. Marii Magdaleny. Dziś ten kościół jest cerkwią. Bardzo trudne jest takie zderzenie rzeczywistości z wyobrażeniem o Kresach jako o raj ustronny – mówi licealista.

Niezwykły człowiek, banalna śmierć

Wyraźny polski akcent, choć też ukryty – w murach Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego Iwana Franki – to izba pamięci Brunona Schulza w Drohobyczu. Niewielką stałą ekspozycję przygotowali pracownicy tutejszego Polonistycznego Centrum Naukowo-Informacyjnego. Wielu zwiedzających, którzy czytali już *Sklepy cynamonowe*, po raz pierwszy ma szansę obejrzyć grafiki narysowane przez ich autora. Na Marcinie Sawickim, nauczycielu historii z X LO we Wrocławiu, największe wrażenie wywarła wizyta w miejscu, w którym polski artysta o żydowskich korzeniach został zastrzelony przez gestapo. – Uderzający jest kontrast między wielkością Schulza a banalnością jego śmierci: został zastrzelony na skrzyżowaniu ulic, przy jakimś niepozornym murku. Dopiero takie historie jak ta, czyli dotyczące konkretnych jednostek, pozwalają sobie uświadomić grozę totalitaryzmu – podkreśla historyk. Jest to zresztą jedna z idei przyświecających organizatorom „Sprzączek i guzików...”. – Mam wrażenie, że często myślimy o ofiarach Zbrodni Katyńskiej jak o jakichś bezcielesnych istotach, niemal aniołach – mówi Kamila Sachnowska, naczelniczka Wydziału Edukacji Historycznej BEP IPN, współtwórczyni formuły konkursu. – Im bardziej sobie uświadomimy, że byli to ludzie z krwi i kości, tym bardziej szokujące będzie zestawienie z okrutną śmiercią i pochówkiem we wspólnym grobie – podkreśla. Nie ukrywa, że na taki sposób jej myślenia wpłynęła historia z rodziny męża: – Zamordowany w 1940 roku w Smoleńsku Wojciech Sachnowski, stryj mojego teścia, był właśnie takim przykładem mężczyzny czerpiącego z życia pełnymi garściami: walczył o Lwów w 1918 roku, skończył szkołę wojskową w Paryżu, wiele podróżował. Część rodziny uważała go za lekkoducha, a jego małżeństwo uznawała za mezalians – opowiada. – Trudno mówić, że do kogoś pasuje lub nie taki czy inny rodzaj śmierci, ale słysząc jego życiorys, spodziewałabym się raczej, że zginie z szablą w dłoni, niż zostanie stracony strzałem w tył głowy – dodaje.

Szansa na opisanie i zilustrowanie kolejnych takich niezwykłych historii pojawi się w przyszłym roku, jest bowiem planowana piąta odsłona konkursu. Jesienią 2014 roku Instytut Pamięci Narodowej zamierza wydać album z pracami laureatów z tego i ubiegłego roku. 📖

PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

Zespół „Przystanku Historia Centrum Edukacyjnego IPN”, jak co miesiąc, przygotował mnóstwo atrakcji dla sympatyków historii najnowszej. Oto kilka z nich.

9 listopada o godz. 11.00 „Szkolna ławka”, czyli spotkanie dla dzieci z cyklu *Rodzinna sobota*, który przybliży najmłodszym historię PRL. Tym razem dzieci dowiedzą się m.in., jak w PRL wyglądał obowiązkowy strój ucznia, dlaczego nie można było dostać szóstki i z jakich powodów nie mówiono prawdy o Powstaniu Warszawskim. W programie troszkę teorii i dużo zabawy.

13 listopada o 17.30 zapraszamy na *Konfrontacje Antoniego Dudka*, czyli rozmowy o historii najnowszej. Przedmiotem dyskusji będzie Polska Partia Robotnicza. Profesorem Antoni Dudek i jego gość, dr Piotr Gontarczyk, autor książki *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941–1944*, spróbują określić tożsamość PPR, a także odpowiedzieć na pytania, czy założenia programowe partii były wiernym odzwierciedleniem ideologii komunistycznej, jaki był jej stosunek do przeszłości i jak kształtowała swój mit założycielski.

25 listopada o 17.00 wysłuchamy wykładu dr Alicji Bartuś z cyklu „Jednostka w trybach represji. Od nieważności do ludobójstwa”. Tematem spotkania będzie Kambodża i ludobójstwo dokonane przez Czerwonych Khmerów w Demokratycznej Kampuczy. Omówione zostaną polityczne okoliczności zdobycia władzy, sposób jej sprawowania przez Czerwonych Khmerów, a także uwarunkowania postawienia zbrodniarzy przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym oraz znaczenie wymierzenia choćby symbolicznej kary dla pamięci historycznej narodu.

29 listopada o 17.00 „Pod sierpem i młotem”, czyli seminarium popularnonaukowe przybliżające historię krajów satelickich ZSRR. Spotkanie poświęcone będzie specyfice rządów komunistycznych w Jugosławii. O ówczesnym życiu społecznym i politycznym tego kraju opowie prof. Wiesław Walkiewicz, historyk politolog.

Więcej informacji o spotkaniach, terminach i warunkach uczestnictwa:

www.przystanekhistoria.ipn.gov.pl

ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa



► Kreacja Roberta Więckiewicza to bezspornie największy atut filmu

Fot. M. Makowski / M. Cinema

Wałęsa. Film niespełnionych nadziei

Grzegorz Wolk

Najnowszy film Andrzeja Wajdy to jedna z najbardziej oczekiwanych w Polsce produkcji ostatnich lat. Jeszcze zanim na planie padł pierwszy klaps, opinia publiczna podzieliła się na krytyków i obrońców obrazu. Dla historyka najważniejsze pytanie brzmi: czy treść filmu jest zgodna z prawdą?

W jednym ze skeczów kabaretu Limo, parodiującego amerykańskie superprodukcje, pada zdanie: „Jak mawiał mój mistrz Andrzej Wajda: spoko, szkoły przyjdą!”. Pasuje ono idealnie do ostatniego filmu laureata Oscara. Jest to obraz o tyle istotny, że w czasach, gdy takie produkcje zastępują lekturę opracowań historycznych i podręczników, będzie on dla wielu osób ważnym źródłem wiedzy

o epoce PRL. Mam jednak wątpliwości, czy opowiada on prawdę o tamtych czasach.

Kiepski scenariusz i niecisłość historyczne

Największą wadą *Wałęsy. Człowieka z nadziei* jest scenariusz. Widać wyraźnie, że Janusz Głowacki nie miał pomysłu, jak ugryźć temat. O ile rozmowa prowadzona przez tytułowego bohatera z Orianą Fallaci jako wątek scalają-

cy obraz jest uzasadnionym zabiegiem, o tyle – gdy tego wątku brak – film staje się niespójny i nudny. Owszem, zostały przedstawione najważniejsze momenty życia Wałęsy, takie jak: internowanie, powrót do Gdańska, spotkanie z władzami konspiracyjnej Solidarności. Niektóre, tak jak scena przesłuchania w 1986 roku, robią duże wrażenie. W przypadku tej sceny jest ono tym większe, że sytuację rzetelnie odtworzono ze stenogramów. Są to jednak wyjątki. Zredukowanie do minimum „politycznej” otoczki zaszkodziło ciągłości scenariusza. Nie pokazano też, że Wałęsa od wprowadzenia stanu wojennego do roku 1989 pozostawał dla dużej części społeczeństwa symbolem niezłomności i cieszył się dużym poparciem. Zamiast tego Głowacki serwuje scenę, w której Wałęsę wiezionego do

ośrodka odosobnienia wykłina grupa wściekłych na niego chłopów.

W filmie nie brak scen, które możemy interpretować jako nawiązanie do współczesności. Przykładowo: pod koniec filmu nie sposób odpędzić od siebie myśli, że esbecy odgrażający się Wałęsę przemawiającemu w telewizji to bardzo czytelna aluzja do kłopotów lustracyjnych byłego prezydenta.

Są też sceny zupełnie nierealne: esbek kłękający przed telewizorem, gdy transmitowana jest pielgrzymka papieska, czy milicjantka karmiąca piersią dziecko Wałęsy. Pomijając fakt, że nie zdarzało się zamykanie w aresztach niemowląt, ta ostatnia scena jest wręcz komiczna. Podobnie jak ta, gdy helikopter – w domyśle sowiecki – celuje do internowanego w Arłamowie Wałęsy i pilnujący go esbecy obawiają się o jego życie.

Tymczasem na pokazanie niezłomności bohaterów podziemnej Solidarności nie wystarczyło już miejsca. Nie ma więc świata podziemnych drukarni, zakładowych kolporterów prasy solidarnościowej, manifestantów bitych przez ZOMO. Bunt kontestatorów systemu komunistycznego, który w filmie ma odzwierciedlenie w punkowych hitach ostatniej dekady PRL, poza muzyką prawie nie zaistniał.

Brak szerszego tła historycznego to kolejny mankament produkcji. Powie ktoś, że to film o Wałęsę, a nie o fenomenie ruchu społecznego, którym kierował. Nie sposób jednak pokazać fenomenowi lidera bez zakreślenia, w minimalnym chociażby stopniu, specyfiki jego środowiska. Czy na przykład istnieje film o Juliuszu Cezarze bez legionów rzymskich i konfliktów, którymi był targany triumwirat? *Wałęsa. Człowiek z nadziei* taki właśnie jest. Brak w nim obrazu Solidarności, czyli właśnie odpowiednika legionów rzymskich. Konflikt solidarnościowej elity został zredukowany do kilku sprzeczek i archiwalnych ujęć z tzw. kryzysu bydgoskiego. Wymaganie od duetu Wajda–Głowacki stworzenia filmowego podręcznika do dziejów Solidarności byłoby niepoważne. Z drugiej jednak strony twórcy filmu chyba zapomnieli, że

znaczna część widzów nie pamięta tych czasów, a przedstawiana na ekranie materia nie jest taka oczywista. Uogólnienia poszły zdecydowanie za daleko.

Ludzie bez nazwisk

Braki scenariusza dotyczą nie tylko zbiorowego portretu Solidarności. Fenomen polskiej opozycji przedsierpniowej został odmalowany w sposób niemalże karykaturalny. Już scena pokazująca głodujących członków Wolnych Związków Zawodowych i Wałęsę, który do nich przychodzi, jest komiczna. Wałęsa wychodzi na bufona, który niby „przyszedł porozmawiać”, ale ostatecznie wygłasza *ex cathedra* swoje zdanie i... wychodzi. Natomiast grupa wuzetzetowców to może i idealisci, ale zupełnie niepoważni, bawiący się w drukowanie gazetek, których nikt nie czyta, organizujący protesty, o których nikt nie wie itd.

W filmie zaledwie jedna scena pokazuje fenomen WZZ jako szkoły politycznej dla robotników. To zbyt duże uproszczenie, nawet jak na film fabularny. Przecież WZZ były strukturami, dzięki którym spawacz, mechanik czy elektryk mógł się dowiedzieć, jakie prawa mu przysługują, co ma zrobić w razie szykan Służby Bezpieczeństwa czy jak napisać odwołanie od niekorzystnej dla niego decyzji administracyjnej kierownictwa zakładu pracy. Zamiast tego jest grupa bezimiennych szaleńców, którzy wyciągają Lecha z mieszkania akurat wtedy, gdy ten ogląda serial *Pogoda dla bogaczy*, i każą „robić strajk”. Ta scena jest skądinąd zagrana rewelacyjnie i w mistrzowski sposób oddaje życie codzienne w PRL, ale to zdecydowanie za mało na jej obronę.

W obrazie razi bezimiennosc bohaterów opozycji. Trzeba nie lada wiedzy historycznej, by wychwycić sceny z udziałem Bogdana Borusewicza, Andrzeja Gwiazdy czy Krzysztofa Wyszowskiego. Anonimowość dotyka absolutnie wszystkich poza Wałęsą, jego żoną i Henryką Krzywonos. Ta ostatnia, grana przez Dorotę Wellman, wyrasta na osobę nr 2, zarówno podczas strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej, jak i w całym

ruchu Solidarności. W dodatku filmowa Krzywonos zna język angielski i dzięki tej umiejętności jest delegowana do rozmów z zagranicznymi dziennikarzami.

Świetni aktorzy

Wyraźne braki scenariusza ratuje bardzo dobra gra głównych bohaterów. Robert Więckiewicz jest rewelacyjnym Wałęsą. Możemy się zastanawiać, czy Wałęsa w latach siedemdziesiątych był taki sam, jakiego znamy z obecnych czasów, tzn. czy mówił w ten sam sposób, podobnie się zachowywał itp. To jednak problem drugorzędny. Kreacja Więckiewicza jest bezapelacyjnie, obok muzyki, największą zaletą filmu. Dzięki temu aktorowi widz naprawdę się nie nudzi, a często uśmiecha. Wałęsa grany przez Więckiewicza da się lubić, chociaż bywają momenty, kiedy jawi się jako bufon lub człowiek niegrzeszący inteligencją. Czasami odnosi się wrażenie, że to taki współczesny Nikodem Dyzma. Tyle że kochający żonę i dzieci, dbający o innych. Po prostu sympatyczniejszy.

Zresztą obraz domu rodzinnego Wałęsów to jeden z głównych wątków produkcji i zapewne świadoma decyzja reżysera, by uciec w ten nieco sielski świat kosztem pominięcia historii „politycznej” Lecha Wałęsy. Dzięki temu zabiegowi mamy mocno wyeksponowaną rolę Danuty Wałęsy. Gra ją Agnieszka Grochowska – i robi to dobrze. Pokazany przez nią obraz matki Polki troszczącej się o gromadkę dzieci, domowe ognisko, znoszącej ciągłą nieobecność męża w domu jest jednym z jaśniejszych wątków całego filmu. Momentami szkoda, że Andrzej Wajda nie zdecydował się na film opowiadający historię Lecha Wałęsy oczami jego żony. Przyznawał, że nosił się z tym pomysłem, ale ostatecznie go porzucił. Trudno to zrozumieć, zwłaszcza że w filmie historia „polityczna” jest zredukowana do minimum.

Życie rodzinne, mimo że pokazane w sposób sielankowy, odkrywa przed widzem niektóre aspekty funkcjonowania rodzin działaczy opozycji. Grochowska chowająca podczas rewizji ulotki do gotowanej zupy czy krzycząca na

przeszukujących mieszkanie esbeków odnajduje się w tej roli bardzo dobrze.

Muzyka

Wielkim plusem filmu jest rewelacyjna muzyka. Współgra w sposób wyjątkowy ze scenami oddającymi smutne, ale pełne buntu lata osiemdziesiąte. Raczej nie była to muzyka Lecha Wałęsy. Chociaż z drugiej strony były prezydent nieraz potrafił zaskakiwać. Może w którymś z wywiadów padnie pytanie, jakiej muzyki słuchał? Odpowiedzialny za ścieżkę dźwiękową Paweł Mykietyn wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł. Nie siłił się na tworzenie klimatu lat osiemdziesiątych odtwarzaniem piosenek opozycji. W filmie nie usłyszymy kolejnej interpretacji *Janka Wiśniewskiego* czy piosenek Jacka Kaczmarskiego lub Jana Krzysztofa Kelusza. Zamiast tego dostaliśmy zestaw największych polskich gwiazd sceny alternatywnej z tamtego okresu: Tilt, Dezerter, Brygada Kryzys czy KSU.

Sprawa „Bolka”

Kwestia ukazania współpracy Lecha Wałęsy z SB od początku budziła największe emocje. Krytycy zarzucali Wajdzie, że ucieka od tematu niewygodnego dla głównego bohatera. Reżyser bronił się, że epizod z początku lat siedemdziesiątych nie ma żadnego wpływu na



Fot. M. Makowski / ITI Cinema

► Jak to możliwe, że prosty robotnik stanął na czele masowego ruchu społecznego, który zmienił świat? Na to pytanie film nie próbuje odpowiedzieć; na zdjęciu: Robert Więckiewicz i Andrzej Wajda

postawę Wałęsy w okresie Solidarności. Po obejrzeniu filmu można jedynie dodać, że wątek współpracy się w nim znalazł. Taki *modus vivendi* nie zadowolili zapewne ani krytyków, ani obrońców głównego bohatera. Broniąc reżysera i scenarzysty, przyznać trzeba, że nagrali sporo scen na ten temat. Problem w tym, że najważniejsza, czyli moment werbowania, jest nieprawdziwa.

W filmie główny bohater podpisuje tzw. lojalkę, czyli oświadczenie, że będzie przestrzegał prawa obowiązującego w PRL. Jest to duże nadużycie. „Lojalka” różniła się ogromnie od zobowiązania do współpracy, które najpewniej podpisał Wałęsa w grudniu 1970 roku. Wajda sam sobie przeczy, gdyż później umieszcza kilka scen, w których pokazuje, że podpisy złożone przez Wałęsę pociągały za sobą konsekwencje, a sam Wałęsa miał poczucie winy z tego powodu. Zwykła „lojalka” takich skutków nie powodowała. Reżyser nie zdecydował się też na pokazanie wprost, że był krótki okres w biografii Wałęsy, kiedy spotykał się z funkcjonariuszami SB i przekazywał informacje na temat kolegów z pracy.

Prawda czasów, prawda ekranu

Film od początku był oceniany przez pryzmat obecnego życia politycznego

i oczywiste było, że nie sposób od tego uciec. Obraz jest laurką wystawioną byłemu prezydentowi. Wajda zdecydował się zakończyć film w momencie pamiętnej przemowy Wałęsy w amerykańskim Kongresie. Tworzy to mylne wrażenie: Wałęsa był wspaniały, bo pozwolono mu przemówić w Kongresie USA! Lepszą kłamrą byłaby składana przez niego przysięga prezydencka. W końcu to wybór na prezydenta był ukoronowaniem kariery politycznej Lecha Wałęsy. Byłby to też jasny sygnał, kto wygrał konfrontację lat osiemdziesiątych. Po prostu doskonale zwieńczenie produkcji.

Obraz stanie się przez lata czymś na kształt filmowego odpowiednika lektury szkolnej. Niestety, produkcja, poza licznymi nieścisłościami i uproszczeniami historycznymi, pokazuje Wałęsę jednowymiarowo. Główny bohater to postać na tyle wyłamująca się w wszelkich schematach, że zasłużył na przedstawienie go w sposób bardziej skomplikowany. Film nie odpowiada również na elementarne w biografii politycznej Wałęsy pytanie: jak to się stało, że prosty robotnik z małej wsi został liderem kilkumilionowego ruchu społecznego, który zmienił historię świata? ❄️

Grzegorz Wolk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Dziki ludobójstwo

Historia Zbrodni Wołyńskiej wywołuje – co nie dziwi – wiele emocji. Tym bardziej tragiczne wydarzenia z 1943 roku powinny być szczegółowo analizowane, a wiedza o nich jak najszerzej upowszechniana. Znanie są opracowania specjalistyczne, ale potrzebne są też prace syntetyczne, skierowane do szerszego grona odbiorców. Jedną z takich publikacji jest książka Joanny Wieliczki-Szarkowej.

Pierwsza część to krótka charakterystyka historii Wołynia. Autorka cofa się do czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zaborów oraz – przede wszystkim – do II Rzeczypospolitej. Przybliża tworzenie się nacjonalistycznego ruchu ukraińskiego oraz jego specyfiki, zauważając, że bardzo radykalne jego tendencje były widoczne już na początku jego powstania, czego wyrazem może być chociażby treść przygotowanych przez jego założycieli (wśród których występują m.in. Mykoła Michnowskij czy Dmytro Doncow) dokumentów programowych. „Wszyscy ludzie są twoimi braćmi, ale Moskale, Lachy, Węgrzy, Rumuni i Żydzi – to wrogowie naszego narodu, dopóki oni panują nad nami i wyszukują nas” – głosił ułożony jeszcze przed I wojną światową manifest nacjonalizmu ukraińskiego, którego autorem jest Michnowskij. Doncow z kolei w walce o państwo ukraińskie dopuszczał stosowanie wszystkich środków, nie wyłączając zbrodni. Na przykład w ułożonym w czerwcu 1929 „Dekalogu Ukraińskiego Nacjonalisty” czytamy: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, jeśli tego wymagać będzie dobro sprawy”. Osobną rolę w propagowaniu terroru i zbrodni jako środka realizacji celów odgrywał Stepan Bandera, od 1933 roku przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w Polsce.

W tej części książki bardzo dokładnie udokumentowano konkretne poglądy i działania przedstawicieli ruchu ukraińskiego. Może brakuje trochę (ale można zadać też pytanie, czy akurat w tej publikacji byłoby to na miejscu) refleksji na temat ewentualnych błędów popełnianych przez władze II RP w polityce wobec mniejszości ukraińskiej. Osobnego rozpatrzenia (zapewne w rozprawie naukowej) wymagałaby odpowiedź na pytanie, co przesądziło o tak specyficznych tendencjach ideologicznych występujących w ukraińskim ruchu narodowym.

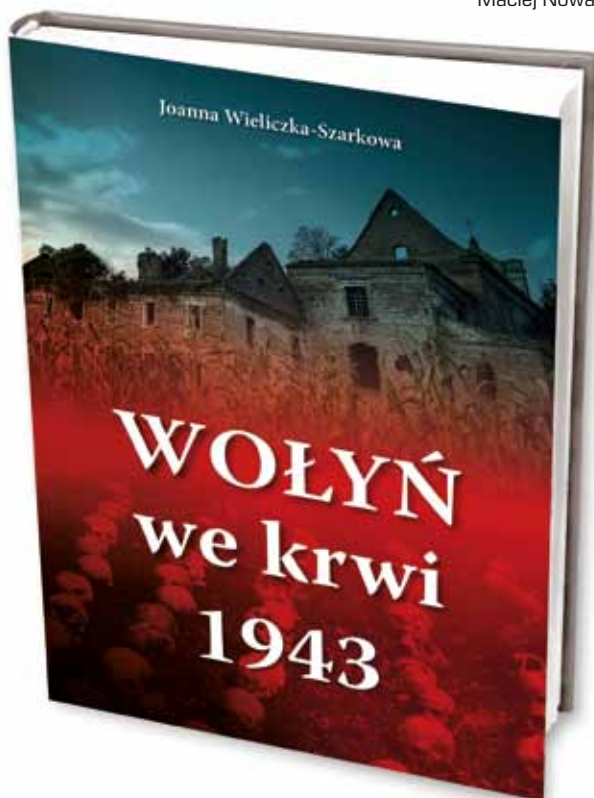
Główna część książki dotyczy zdarzeń na Wołyniu w czasie II wojny światowej, gdzie Ukraińcy wymordowali ponad 60 tys. Polaków. Autorka na podstawie licznych źródeł charakteryzuje najważniejsze wydarzenia, a zwłaszcza dokonywane przez OUN-B – UPA okrutne mordy na Polakach. Może przez zbyt obfite cytowanie źródeł książki nie czyta się lekko (zaryzykuję tezę, że poszczególne zdarzenia zostały ciekawiej dla przeciętnego odbiorcy ujęte przez innych autorów, chociażby w dotyczącym zdarzeń w Kisielinie filmie *Było sobie miasteczko*, czy nawet opracowaniach Ewy Siemaszko). Niemniej bardzo dużą wartością książki jest syntetyczne i w miarę szczegółowe podjęcie najważniejszych wątków związanych z poruszonym tematem. Wśród tych szczególnie ciekawych pierwszą kwestią jest zbyt małe zaangażowanie Armii Krajowej w obronę ludności polskiej przed ukraińskimi bandami. Niewątpliwie, swoiste zignorowanie tej sprawy kosztem akcji „Burza” było ogromnym błędem dowództwa. Inną kwestią jest stanowisko duchowieństwa – zwłaszcza grekokatolickiego – względem zdarzeń. Pomimo chwalebnych wyjątków duchowni – z metropolitą Andrzejem Szeptyckim na czele – starali się nie za-

uważać skali okrucieństw dokonywanych przez Ukraińców na Wołyniu. Bardzo ciekawy i ważny wątek dotyczy różnych form zaangażowania części Ukraińców w ochronę i pomoc przesiedlowanym Polakom.

Autorka stara się uzasadnić, dlaczego zbrodnie ukraińskich nacjonalistów na Polakach uznać należy za zbrodnię ludobójstwa. Wynika to z art. II Konwencji ONZ w sprawie Zapobiegania i Karania Zbrodni Ludobójstwa, zredagowanej przez polskiego prawnika Rafała Lemkina. Ludobójstwem jest więc m.in. zabójstwo członków grup narodowych dokonane w zamiarze zniszczenia w całości lub części tych grup. Joanna Wieliczka-Szarkowa wskazuje w tym kontekście, że ludobójstwo ukraińskie na Polakach zakładało jak najszybsze ich wymordowanie, poczynając od nienarodzonych, przez niemowlęta, dzieci, dorosłych aż po starców – bez względu na płeć. Autorka doliczyła się aż 362 bestialskich metod zadawania śmierci, chyba najgorszych, jakie da się wymyślić. Dlatego w literaturze działania te bywają określane jako *genocidium atrox*, czyli ludobójstwo okrutne, dzikie, straszne. Dodatkowo, atakowanej ludności w większości przypadków nie wzywano wcześniej do opuszczenia zamieszkiwanych terenów.

W książce Wieliczki-Szarkowej należy docenić znajomość tematu przez autorkę, a także to, że – pomimo opisu tak trudnych i bolesnych zdarzeń – zachowała odpowiedni dystans i aparat naukowy. Osobnym, specyficznym walorem książki jest umiejętność przekazania na jej kartach sentymentu do Wołynia jako pięknej, trwale wpisanej w historię wielu narodów krainy. 📖

Maciej Nowak



Joanna Wieliczka-Szarkowa, *Wołyń we krwi 1943*, Wydawnictwo AA, Kraków 2013, ss. 400

Życie „Nila” w obrazach

Późółką fotografia z 1916 roku przedstawia żołnierzy Legionów. Wśród nich młodzieniec z hiszpańską bródką, przezywany z tego powodu „Pernambuco de los Pępkos”, stoi oparty o ciężki karabin maszynowy. W wojnie polsko-bolszewickiej będzie dowodził sekcją cekaemów i za udział w walkach o Wilno w 1919 roku otrzyma swoje pierwsze odznaczenie wojskowe. Na zdjęciu z 1936 roku, już jako podpułkownik – dowódca batalionu KOP „Troki” – przemawia do swoich podkomendnych. W ocenie zwierzchnika: „Oficer o bardzo dużych zaletach charakteru. Pracy oddaje się z zapałem, nieomal z entuzjazmem. Szczere, pogodne usposobienie”. Dla wielu patrzących na międzywojenną Polskę jak na utraconą Arkadię to archetyp oficera II Rzeczypospolitej.

Kolejna fotografia to zdjęcie paszportowe pułkownika podziemnej armii o poważnym, wręcz zaciętym wyrazie twarzy. Na pozór to zwykły człowiek w cywilnym ubraniu, w rzeczywistości – emisariusz Rządu Londyńskiego i zwierzchnik największej organizacji dywersyjnej w okupowanej przez Niemców Europie, dowódca odpowiedzialny za los wielu ludzi. I jedno z ostatnich zdjęć: gen. August Emil Fieldorf stoi w drzwiach mieszkania, tuż po powrocie z łagru, w nędznym ubraniu zesłańca. Minionych kilka lat odcisnęło na nim piętno, ale legendarny „Nil” patrzy tak samo: otwarcie i pewnie, nawet się uśmiecha.

Nie można przecenić wartości albumu o Emilu Fieldorfie – kolejnego wydawnictwa IPN dotyczącego przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Na prawie trzystu stronach zgromadzono unikatowy materiał ikonograficzny, fotografie i dokumenty. Autorzy – Maria Fieldorf, bratanica „Nila” i jej mąż Leszek Zachuta, którzy wiele lat zajmowali się upamiętnianiem generała – przedstawili niepublikowane dotąd zdjęcia i rodzinne pamiątki. To właściwie kronika życia Emila Fieldorfa w obrazach. Niestety, współautorce nie było dane doczekać wydania albumu.

Część ikonograficzna poprzedzona jest wstępem zawierającym biogram generała i kalendarium jego życia. Wydawnictwo można podzielić na dwie części: w pierwszej – przedstawiającej życie „Nila” do wybuchu wojny – umieszczono liczne fotografie, w drugiej – przedstawiającej jego powojenne losy – przeważają dokumenty. Ta część albumu jest również uboższa pod względem ikonograficznym; wynika to oczywiście z przewagi licznej dostępnej materiału przedwojennego. Fotografie pochodzą m.in. ze zbiorów Marka Ney-Krwawicza, Marii Fieldorf i Leszka Zachuty oraz córki generała, Marii Fieldorf-Czarskiej.

W rozdziale dotyczącym dzieciństwa i domu rodzinnego przyszłego dowódcy Kedywu zamieszczono zdjęcia i pamiątki Fieldorfów – wśród nich cenzurę szkolną jedenastoletniego Augusta Emila. Dzięki fotografiom z początku XX wieku poznajemy krakowskie korzenie przyszłego dowódcy Kedywu, środowisko, w którym dorastał, miejsca, w których odebrał patriotyczne wychowanie. W rozdziale dotyczącym okresu służby Fieldorfa w Legionach i walki o granice Polski, zaprezentowano nieznaną szerzej zdjęcia i dokumenty dotyczące przebiegu służby wojskowej, rozkazy odznaczeń, a także listy. W tej części poświęconej działalności

Fieldorfa w okresie międzywojennym znaleźć można ciekawe pamiątki z okresu jego służby w Wilnie jako oficera Przysposobienia Wojskowego w 1DP Legionów. Zwraca uwagę wspólne zdjęcie mjr. Fieldorfa, mjr. Leopolda Okulickiego i ppor. Ludwika Muzyczki – organizatorów konspiracji w czasie wojny – powstałe w 1929 roku w Trokach w czasie odprawy komendantów Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego.

Dzięki licznyom fotografiom bardzo dobrze udokumentowano również mniej znane okresy działalności „Nila” – pracę na stanowisku komendanta Zachodniego Okręgu Związku Strzeleckiego we Francji i okres dowodzenia jednostkami Korpusu Ochrony Pogranicza w Trokach i Brzeżanach. Na zdjęciach z Francji Emil Fieldorf uczestniczy w ćwiczeniach Związku Strzeleckiego. Jak zaznaczono we wstępie, w tej działalności związanej z przygotowaniem polskich emigrantów do wojny z Niemcami Ludwik Muzyczka widział źródło sukcesów polskiego ruchu oporu we Francji.

W publikacji brakuje niestety ikonografii poświęconej służbie Emila Fieldorfa w czasie wojny obronnej 1939 roku, co jest zrozumiałe z powodu braku źródeł. Wydaje się jednak, że odtworzenie marszrutu dowodzonego przez niego pułku wchodzącego w skład Armii Prusy, a później trasy przedzierania się do granicy rumuńskiej, byłoby ciekawym uzupełnieniem wiedzy czytelników.

W drugiej części albumu zamieszczono wartościowe dokumenty, m.in. rozkazy okupacyjne „Nila”, a także jego memoriał skierowany do dowództwa AK. Fieldorf charakteryzował w nim swoich podkomendnych – młodych żołnierzy z Szarych Szeregów: „Element inteligentny, bitny i ofiarny. Dyscyplina bardzo duża. Ludzie posiadają duże doświadczenie zdobyte w szeregu walk i można na nich liczyć w najcięższych momentach”.

Okres powojenny to najbardziej przejmująca część publikacji – wybrane dokumenty pokazują osaczenie bohaterskiego generała przez komunistyczną bezpiekę i jego tragiczny los – zesłanie, powtórne uwięzienie po szczęśliwym powrocie do Polski, fałszywe oskarżenie i wreszcie wyrok śmierci. Dużą wartością albumu jest umieszczenie fotografii nielicznych pamiątek z okresu zesłania

w ZSRR. Przedstawiono także zdjęcia odebrane generałowi w czasie rewizji osobistej po aresztowaniu. Wśród nich zdjęcia rodzinne i portrety „Nila” wykonane w dniu jego powrotu z łagru. Obok protokołu przesłuchania, aktu oskarżenia, opinii w sprawie ulaskawienia zamieszczono fotokopie listów do rodziny. Zestawienie „dowodów winy” „Nila” – protokołu przesłuchania, aktu oskarżenia i prywatnych listów, które pisał przede wszystkim z troski o najbliższych – świadczy o jego silnym charakterze. „U mnie bez zmian” – pisał generał w celi śmierci.

Ostatni rozdział albumu – „Ad memoriam” – to historia rehabilitacji generała „Nila” i zestawienie pamiątek oraz fotografii miejsc i uroczystości mu poświęconych.

Album o Emilu Fieldorfie, dzięki wyeksponowaniu pamiątek po nim, zdecydowanie przybliży postać legendarnego generała i sprawia, że staje się od dla nas, ludzi żyjących w epoce obrazu, bardziej realny. ■



Maria Fieldorf, Leszek Zachuta,
General August Emil Fieldorf.
1895–1953, IPN,
Warszawa 2013, ss. 288



■ **Aparat bezpieczeństwa wobec żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza i funkcjonariuszy Straży Granicznej**, wstęp P. Skubisz, wybór dokumentów i oprac. A. Chrzanowska, S. Koller, W. Kujawa,

K. Langowski, M. Majewski, S. Pilarski, P. Skubisz, D. Wolska, IPN, Warszawa 2013, ss. 400 + ss. 16 wkł. zdj.



■ **Kornelia Banaś, Komunistyczny aparat bezpieczeństwa wobec pielgrzymek stanowych do Piekar Śląskich (1947-1989)**, IPN, Katowice 2013, ss. 390.



■ **Tomasz Bereza, Wokół Piskorowic. Przyczynek do dziejów konfliktu polsko-ukraińskiego na Zasianiu w latach 1939-1945**, IPN, Rzeszów 2013, ss. 384 + ss. 24 wkł. zdj.



■ **Franciszka Dudzińska-Reizer, Szkoły mojego życia**, IPN, Rzeszów 2013, ss. 235 + ss. 24 wkł. zdj.



■ **Wojciech Frazik, Emisariusz wolnej Polski. Biografia polityczna Wacława Felczaka (1916-1993)**, IPN, Kraków 2013, ss. 711.



■ **Historyczno-prawna analiza struktur organów bezpieczeństwa państwa w Polsce ludowej (1944-1990). Zbiór studiów**, red. A. Jusupowicz i R. Leśkiewicz, IPN, Warszawa 2013, ss. 352.



■ **Jan Hlebowicz, Niepokorni z „Topolówki”. Działalność niezależna uczniów III Liceum Ogólnokształcącego im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku w latach 1970-1989**, IPN, Gdańsk 2013, ss. 144.



■ **Wacław Jędrzejewicz, Rola Józefa Piłsudskiego w odbudowie i umacnianiu państwa polskiego. Skrypt wykładów w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce w latach 1981-1982**, red. naukowa D. Koreś, IPN, Warszawa 2013, ss. 214.



■ **Stanisław Wincenty Kasznica, Druga wojna światowa. Wspomnienia spisane na podstawie codziennych notatek**, wstęp i oprac. M. Szczesiak-Słusarek, IPN, Warszawa-Poznań 2013, ss. 272.



■ **Nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia: ludzie - koncepcje - realizacja do 1989 r.**, red. M. Semczyszyn, T. Sikorski, A. Wątor, IPN, Szczecin 2013, ss. 771.



■ **Osobowe środki pracy operacyjnej - zagadnienia źródłoznawcze**, red. F. Musiał, IPN, Kraków 2013, ss. 454.



■ **Polska Partia Robotnicza, Gwardia Ludowa/Armia Ludowa na ziemiach polskich 1942-1944/1945**, red. K. Kaczmarek, M. Krzysztofiński, IPN, Rzeszów 2013, ss. 376.



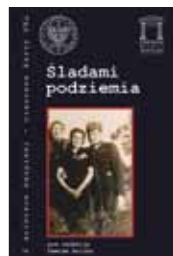
■ **Zdzisław Ropiński, Tak to wtedy bywało. Moje zapiski z lat 1977-1981**, wstęp T. Kisielewski, red. K. Osiński, IPN, Bydgoszcz-Gdańsk 2013, ss. 154.



■ **„Solidarność” od wewnątrz 1980-1981**, red. A. Friszke, K. Persak, P. Sowiński, IPN, ISP PAN, Warszawa 2013, ss. 376.



■ **Jarosław Syrnok, „Po linii” rewizjonizmu, nacjonalizmu, syjonizmu... Aparat bezpieczeństwa wobec ludności niepolskiej na Dolnym Śląsku (1945-1989)**, IPN, Wrocław 2013, ss. 310.



■ **Śladami podziemia. Działalność niepodległościowa w rejonie Tęgororza w latach 1939-1953**, red. D. Golik, IPN, Kraków 2013, ss. 168.



■ **Janusz Waluszko, Protesty przeciwko budowie elektrowni jądrowej Żarnowiec w latach 1985-1990**, IPN, Gdańsk 2013, ss. 82.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:

w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
poniedziałek - piątek w godz. 10:00-18:00,
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. (22) 576 30 06

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego miesięcznika. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88;
(22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl;
danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

